

SEPTIMUS HEAP

✠ KSIĘGA CZWARTA ✠

TAJEMNA
WYPRAWA

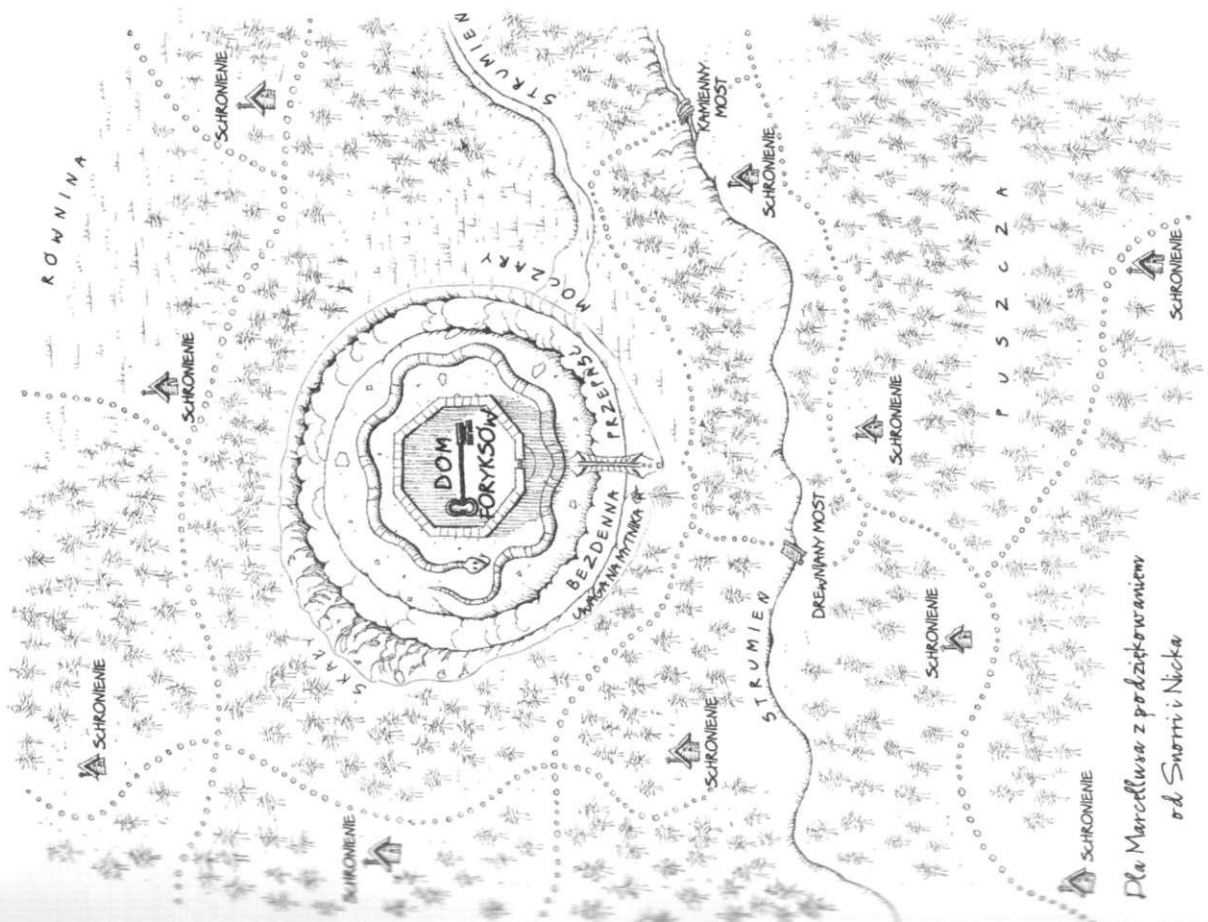
ANGIE SAGE

Ilustracje Mark Zug

Tłumaczenie Jacek Drewnowski



MAPA SNORRI
DO DOMU FORYKSÓW



Plan Marcellusa z podziękowaniem
od Snorri i Nicka

✚ z chomika Nilandir <http://chomikuj.pl/Cho>

NICKO I SNORRI

Trwa jarmark przy Drodze Czarodziejów. Dziewczyna i chłopak zatrzymują się przy straganie z marynowanymi śledziami. Jasne kręcone włosy chłopaka są zaplecione w warkoczyki, zgodnie z modą, która zapanuje wśród żeglarzy w odległej przyszłości. Jego zielone oczy mają poważny, niemal smutny wyraz, gdy namawia dziewczynę, by pozwoliła mu kupić dla niej śledzie.

Włosy dziewczyny też są jasne, niemal białe. Proste i długie, związane skórzaną

opaską, charakterystyczną dla kupców z Północy. Jasnoniebieskimi oczami wpatruje się w chłopaka.

- Nie - odpowiada. - Nie mogę ich jeść. Za bardzo przypominałyby mi dom.

- Przecież uwielbiasz śledzie - on na to.

Właścicielka straganu, starsza kobieta o oczach równie bladoniebieskich, jak u dziewczyny, przez cały ranek nie **sprzedała** ani jednego śledzia. Za żadne skarby nie chce przepuścić takiej okazji.

- Jeśli uwielbiasz śledzie, musisz skosztować - odzywa się do dziewczyny. - Są zrobione, jak należy. Właśnie tak powinno się marynować śledzie.

Odcina kawałek, po czym wbija weń mały, zaostzony patyczek i podaje dziewczynie.

- Dalej, Snorri - mówi chłopak niemal błagalnym tonem.
- **Spróbuj**. Proszę.

- Dobrze? - pyta sprzedawczyni.

- Dobrze, Stara Matko - odpowiada Snorri. - Bardzo dobre.

Nicko myśli. Myśli o tym, że właścicielka straganu wygląda jak Snorri. Ma taki sam melodyjny akcent i nie posługuje się konstrukcjami dawnej mowy, do której przywykli przez kilka miesięcy, spędzonych już w tym Czasie.

- Przepraszam - odzywa się. - Skąd pani pochodzi?

W oczach staruszki pojawia się tęskne spojrzenie.

- Nie zrozumiałabyś - mówi.

Nicko nie daje za wygraną.

- Ale nie jest pani stąd - naciska. - Poznają, bo mówi pani jak Snorri. - Obejmuje dziewczynę ramieniem, a ta się czerwieni.

Kobieta wzrusza ramionami.

- To prawda, że nie pochodzę stąd. Mój ojciec został tak daleko, że nie zdołacie tego nawet sobie wyobrazić.

Teraz także Snorri przygląda się staruszce i nagle zwraca się do niej w dziwnym języku, języku własnego Czasu.

Oczy kobiety jaśnieją, gdy słyszy mowę, którą posługiwała się w dzieciństwie.

- Tak - odpowiada na nieśmiałe pytanie dziewczyny. - Jestem **Ells. Ells** Larusdottir.

Snorri znowu zadaje pytanie, a kobieta ostrożnie odpowiada:

- Tak, mam, a raczej miałam, siostrę o imieniu Herdis. Skąd wiesz? Jesteś jedną z tych, co to przechwytyją myśli?

Snorri kręci głową.

- Nie - zaprzecza, ciągle w swoim języku. - Ale jestem Duchowidzącą. Tak jak moja babka, Herdis Larusdottir. I moja matka, **Alfrún**, która jeszcze się nie urodziła, gdy moja praciotka Ells zniknęła w Zwierciadle.

Nicko zastanawia się, co takiego powiedziała Snorri, że staruszka chwyciła się rozchwierutanego stołu tak mocno, aż pobielwały jej kłykcie. Chociaż dziewczyna uczyła go swojego języka, rozmawiała ze staruszką znacznie szybciej, niż do tego przywykł, i teraz zdołał rozpoznać tylko jedno słowo: „matka”.

* * *

A zatem praciotka Ells zabiera Nicka i Snorri do swojego wysokiego, wąskiego domu przy murach Zamku, wrzuca szczapę drewna do kaflowego pieca i opowiada im swoją historię. Wiele godzin później Snorri i Nicko wychodzą z jej domu, nasycony marynowanymi śledziami, przepełnieni

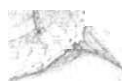
nadzieją. A co najważniejsze, mają mapę, pokazującą drogę do Domu **Foryksów**, miejsca **Połączenia Wszystkich Czasów**. Tego wieczoru Snorri sporządza dwie kopie mapy i jedną daje **Marcellusowi Pye'owi**, Alchemikowi, u którego mieszkają. Przez kilka następnych tygodni snują plany i szykują się do podróży w nieznane.

Jest szary, deszczowy dzień, gdy Marcellus Pye, zamyślony i głęboko przejęty, stoi na zamkowym nabrzeżu, machając ich łodzi na pożegnanie.

UWOLNIENIE NICKA

Jannit Maarten, zajmująca się budową łodzi, zmierzała do Pałacu.

Ta szczupła, skromna kobieta
o zdecydowanych ruchach, z włosami
związanymi z tyłu jak u żeglarza,
w najśmielszych snach nie przypuszczałaby,
że pewnego dnia zacumuje łódź przy
Wężowej Pochylni i ruszy ku Pałacowej Bramie.
Ale oto stanęła u jej podnóża,
pełna obaw, w ten szary i dżdżysty,
wiosenny dzień.



KM

Kilka minut później **Hildegarda, Podczarodziejka**, pełniąc służbę przy drzwiach Pałacu, podniosła wzrok znad swojej rozprawki do szkoły wieczorowej, zatytułowanej „Metody, zasady i praktyka transformacji”. **Ujrzała** Jannit, z wahaniem przechodzącą przez szeroki most z desek, przerzucony nad ozdobną fosą i wiodący do pałacowych wrót. Z uśmiechem skoczyła na równe nogi.

- Dzień dobry, panno Maarten. Czym mogę służyć?

- Wiesz, jak się nazywam! - stwierdziła ze zdumieniem Jannit.

Hildegarda nie przyznała się, że stara się znać nazwiska wszystkich. Zamiast tego powiedziała: - Oczywiście, że wiem, panno Maarten. W zeszłym roku pani warsztat naprawił łódź mojej siostry. Była bardzo zadowolona z usługi.

Jannit nie miała pojęcia, kim też mogła być siostra Podczarodziejki, ale mimowolnie zaczęła się zastanawiać, o którą łódź chodzi. Pamiętała łodzie. Uśmiechnęła się nieśmiało i zdjęła sfatygowany żeglarski kapelusz, który włożyła specjalnie na wizytę w Pałacu - stanowił dla niej odpowiednik sukni balowej i diademu.

- Damy nie muszą zdejmować nakrycia głowy - oznajmiła Hildegarda.

- **O?** - zdziwiła się Jannit, zastanawiając się, co ta zasada ma z nią wspólnego. Nie myślała o sobie jako o damie.

- Czy chce pani kogoś widzieć? - spytała Podczarodziejka, nawykła do gości, którzy zapominali języka w gębie.

Jannit obracała kapelusz w dłoniach.

- Sarę Heap - oznajmiła. - Proszę.

- Wyślę posłańca. Czy mogę jej przekazać, w jakiej sprawie chce się z nią pani spotkać?

Po dłuższej chwili kobieta w końcu odpowiedziała.

- Nicko Heap - wyjaśniła, wpatrując się w kapelusz.

- A. Proszę na chwilę spocząć. Zaraz znajdę kogoś, kto panią do niej zaprowadzi.

Dziesięć minut później Sara Heap, chudsza niż kiedyś, ale wciąż w posiadaniu znacznej ilości słomianych loków, typowych dla Heapów, siedziała przy niewielkim stole w swoim saloniku. Patrzyła na Jannit pełnymi niepokojem zielonymi oczami.

Jannit przycupnęła na skraju szerokiej sofy. Choć czuła się nieswojo, wcale nie dlatego siedziała na krawędzi. Po prostu na sofie zostało tylko tyle **miejsca** - resztę zajmowały rupiecie, które zdawały się podążać wszędzie za Sarą Heap. Podczas gdy parę roślin doniczkowych wbijało jej się w plecy, a chwiejna sterta ręczników opierała się o nią rozkosznie, Jannit siedziała wyprostowana i omal nie zeskoczyła, gdy ze stosu ubrań przy kominku rozległo się ciche kwakanie. Ku jej zdumieniu pomiędzy ubrań wyłoniła się porośnięta szczeciną kaczka o różowej skórze, nosząca wielobarwną, zrobioną na szydełku kamizelkę. Kaczka poczłapała w jej stronę i usadowiła się u jej stóp.

Sara pstryknęła palcami.

- Chodź tu, **Ethel** - powiedziała do kaczki, a ta podniosła się i podeszła do Sary, która wzięła ją i posadziła sobie na kolanach. - Jedno ze stworzeń Jenny - wyjaśniła z uśmiechem. - Nigdy nie marzyła o zwierzątkach domowych, a teraz ma nagle dwa. Dziwne. Nie wiem, skąd je wzięła.

Jannit uśmiechnęła się uprzejmie, niepewna, od czego zacząć to, co miała do powiedzenia. Zapadło niezręczne milczenie.

- **Hmm. No...** - wydusiła w końcu. - Duży dom.

- **O**, tak. Bardzo duży - przyznała Sara.

- Wspaniały dla licznej rodziny - dodała Jannit i od razu pożałowała tych słów.

- Gdyby ta rodzina chciała w nim mieszkać - **odparła** gorzko Sara. - Ale nie wtedy, gdy czwórka moich dzieci postanawia żyć w lesie ze zborem wiedźm i nie chce przychodzić do domu, nawet w odwiedzin. No i, oczywiście, jest jeszcze Simon. Wiem, że postąpił źle, ale to wciąż mój pierworodny. Bardzo za nim tęsknię. Chciałabym, żeby tu mieszkał. Pora, żeby się usatkwował. Mógł wybrać kogoś gorszego niż Lucy Gringe, czego by o niej nie mówił jego ojciec. Tu jest mnóstwo miejsca dla nich wszystkich i jeszcze dla wnuków. Jest poza tym mój mały Septimus. Przez tyle lat byliśmy rozdzieleni, a teraz on tkwi na szczycie Wieży Czarodziejów z nadętą **Marcją Over** strand, która przy każdej okazji bezczelnie pyta, czy cieszę się, że tak często widuję Septimusa. Pewnie uważa, że to pyszny żart, bo obecnie tak naprawdę wcale go nie widuję, właściwie odkąd **Nicko...**

- **A** - odezwała się Jannit, chwytając okazję. - Nicko. Właśnie po to... no, pewnie się pani domyśla, po co przyszłam.

- **Nie** - odparła Sara, która mogła się domyślić, ale nie chciała.

- **Aha**. - Jannit spuściła wzrok na swój kapelusz, po czym położyła go na jakiejś stercie za sobą takim ruchem, jakby od początku zamierzała to zrobić. Miała duszę na ramieniu. Wiedziała, co się święci.

Odchrząknęła i zaczęła mówić.

- **Jak** pani wie, Nicko zniknął już pół roku temu i o ile mi wiadomo, nikt nie ma pojęcia, gdzie jest i **kiedy...** a raczej

czy w ogóle wróci. **Właściwie**, bardzo przykro mi to mówić, słyszałam, że nie.

Sara aż się zachłysnęła. Dotąd nikt nie odważył się **po-**wiedzieć jej tego w twarz.

- Bardzo mi przykro, że musiałam tu przyjść, pani Heap, **ale...**

- **O**, mam na imię Sara. Proszę, mów mi Sara.

- Sara. Saro, przykro mi, ale nie możemy już dłużej radzić sobie bez Nicka. Zbliża się sezon letni, kiedy jeszcze więcej durnych ryzykantów wyruszy w morze, żeby złowić parę śledzi. Wszyscy chcą mieć gotowe łodzie, a do tego portowa barka znów jest w naprawie po ostatnich **sztormach...** Mamy teraz najwięcej roboty. Przykro, ale dopóki Nicko u mnie terminuje, to zgodnie z regulaminem Zrzeszenia Szkutników (który jest pełen pułapek, ale i tak muszę się do niego stosować), nie mogę przyjąć nikogo innego. Pilnie potrzebuję nowego ucznia, zwłaszcza że Rupert Gringe niedługo zakończy termin.

Sara Heap mocno zwarła dłonie i Jannit zauważyła, że jej paznokcie są zupełnie poobgryzane. Przez kilka chwil Sara trzęsła się, nie mówiąc ani słowa. Potem, gdy Jannit już myślała, że to ona będzie musiała przerwać milczenie, gospodyni odezwała się: - On wróci. Nie wierzę, że cofnęli się w Czasie. Nikt nie może tego dokonać. Jenna i Septimus tylko myślą, że im się udało. To był jakiś nadzwyczaj paskudny czar. Ciągle proszę **Marcie**, żeby go rozpracowała. Mogłaby odnaleźć Nicka, wiem, że by mogła, ale nie zrobiła nic. Nic. To zupełny koszmar! - Sara z rozpaczy pod głos.

- Bardzo mi przykro - mruknęła Jannit. - Napr;
Sara wzięła głęboki wdech i próbowała się **usp**

- To nie twoja wina, **Jannit**. Byłaś dla Nicka bardzo dobra. Uwielbiał dla ciebie pracować. **Ale** oczywiście musisz znaleźć nowego ucznia, chociaż chciałabym cię prosić o jedno.

- Oczywiście - odparła Jannit.

- Kiedy Nicko wróci, odnowisz mu termin?

- Z największą przyjemnością. - Jannit uśmiechnęła się z zadowoleniem. Tę prośbę **mogła** chętnie spełnić. - Nawet jeśli będę miała innego ucznia, Nicko od razu zajmie miejsce Ruperta i zostanie moim starszym uczniem, czyli czeladnikiem, jak to mówimy w warsztacie.

- Byłoby cudownie. - Sara uśmiechnęła się tęsknie.

- A teraz - Jannit przeszła do sprawy, która budziła w niej największy lęk - muszę cię niestety prosić o podpisanie zwolnienia. - Wstała, by z kieszeni płaszcza wyciągnąć zwitek pergaminu, a pozbawiona podparcia sterta ręczników przewróciła się i zajęła jej miejsce.

Jannit zrobiła miejsce na stole, następnie rozwinęła długi zwój, na którym spisano umowę terminatorскую Nicka. Obciążyła górę i dół dokumentu tym, co wpadło jej w ręce: sfatygowaną powieścią pod tytułem „Miłość na pełnym morzu” oraz dużą torbą ciastek.

- Ach - westchnęła Sara na widok pełnego zawijasów podpisu Nicka, widniejącego u dołu obok dwóch innych, nakreślonych ręką Jannit i jej samej.

Jannit pospiesznie położyła na sygnaturach zwolnienie - mały kawałek pergaminu.

- Saro, jako że jesteś jedną ze stron, które podpisały umowę, muszę cię prosić o parafowanie zwolnienia. Mam pióro, **gdybyś...** gdybyś nie mogła znaleźć.

Sara nie mogła znaleźć. Wzięła pióro i **kałamarzyk**, które Jannit wyjęła z drugiej kieszeni płaszcza, zamoczyła końców-

kę w atramencie, po czym - czując się tak, jakby odbierała Nickowi życie - podpisała świstek. Łza spadła na atrament i rozmazała go. Obie kobiety udały, że tego nie widzą.

Jannit złożyła swój podpis obok podpisu matki Nicka. Potem z przepastnej kieszeni wyciągnęła igłę oraz mocną żeglarską nić i naszyła zwolnienie na wcześniejsze podpisy.

Nicko Heap nie terminował już u Jannit Maarten.

Jannit złapała kapelusz balansujący na szczycie sterty za jej plecami i uciekła. Dopiero na łodzi zorientowała się, że wzięła ogrodniczy kapelusz Sary, lecz, nie zważając na to, nasunęła go na głowę i powoli powiosłowała z powrotem do swojego warsztatu.

Silas Heap i Maksio, pies rasy wilczarz, zastali Sarę w jej ogródku z ziołami. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu miała na głowie żeglarski kapelusz. Miała też ze sobą kaczkę Jenny. Silas za kaczką nie przepadał - widok jej szczeciny przyprawiał go o gęsią skórkę, a kamizelka świadczyła jego zdaniem o tym, że Sara zaczyna trochę wariować.

- A, tu jesteś - powiedział, idąc przez ładnie utrzymany trawniczek w stronę poletka mięty, w której kobieta grzebała od niechcenia motyką. - Wszędzie cię szukałem.

Sara w odpowiedzi uśmiechnęła się słabo, a gdy Silas i Maksio zaczęli brnąć przez bezbronną miętę, nawet nie zaprotestowała. Silas, podobnie jak ona, wydawał się zadowolony. Jego włosy o barwie słomy przyprószyła ostatnio siwizna, niebieskie szaty Czarodzieja Zwyczajnego wisiały na nim luźno, a srebrny pas zapięty był o dziurkę czy dwie ciaśniej niż zwykle. W obłoku uderzającej do głowy woni miazdzonej mięty Silas zbliżył się do Sary i od razu rozpoczął przygotowaną zawczasu przemowę.

- Nie spodoba ci się to - zaczął - ale podjąłem decyzję. Maksio i ja pójdziemy do Puszczy i nie wrócimy, dopóki go nie znajdziemy.

Sara podniosła kaczkę i mocno ją przytuliła. Stworzenie wydało z siebie stłumione kwaknięcie.

- Głupiec z ciebie - powiedziała. - Ile razy ci powtarzałam, że gdybyś skłonił **Marcie** do zrobienia czegoś w sprawie Mrocznej Magii, która gdzieś uwięziła Nicka, to wróciłby w jednej **chwili**. Ale nic z tego. Ciągłe opowiadasz o tej głupiej **Puszczy**...

Silas westchnął.

- Mówiłem ci, Marcia twierdzi, że to nie Mroczna Magia. Nie ma sensu ciągle ją o to pytać. - Zgromiła go wzrokiem, więc zmienił podejście. - Słuchaj, Saro, nie mogę siedzieć z założonymi rękami, doprowadza mnie to do szału. Minęło już pół roku, odkąd Jenna i **Septimus** wrócili bez Nicka, i nie zamierzam dłużej czekać. Miałaś ten sam sen, co ja. Wiesz, że to coś znaczy.

Sara pamiętała, co przyśniło jej się kilka miesięcy po zniknięciu Nicka. Szedł przez las, w głębokim śniegu. Zapadał zmrok i złote światło przesączało się przez drzewa przed nim. Obok szła dziewczyna, zdawało się, że trochę starsza od niego. Miała długie, bardzo jasne włosy i była owinięta wilczą skórą. Wskazywała światło z przodu. W tym momencie **Silas** zaczął chrapać i Sara gwałtownie się przebudziła. Następnego ranka **Silas** z zapałem opowiedział swój sen o Nicku. Ku zdumieniu **Sary** okazał się on identyczny, jak jej.

Silas nabrał przekonania, że **Nicko** jest w Puszczy i postanowił go szukać. Ale **Sara** się nie zgodziła. Powiedziała, że las ze snu to nie była Puszcza wokół Zamku. Wyglądał

inaczej, **miała** pewność. Z tym z kolei nie zgodził się **Silas**. Stwierdził, że zna Puszcę i na pewno się nie myli.

Podczas przeżytych wspólnie lat małżonkowie nie zawsze się zgadzali, ale szybko rozwiązywali spory, przy czym Silas często przynosił żonie bukiet polnych kwiatów albo ziół na znak pokoju. Ale tym razem nie było o tym mowy. Ich kłótnie o las stawały się coraz bardziej gorzkie i wkrótce stracili z oczu prawdziwą przyczynę swojego nieszczęścia: zniknięcie Nicka.

Ale tym razem Silas wpadł właśnie na wychodzącą Jannit Maarten, która niosła anulowaną umowę terminatorską. Podjął decyzję. Postanowił iść do Puszczy, by znaleźć Nicka i nikt nie mógł go zatrzymać, a zwłaszcza Sara.

WOLNY

Nakarm Magogi, nie tykaj Szpicla i nie buszuj w mojej komnacie. Zrozumiano?

- mówił Simon Heap do swojego nachmurzonego pomocnika, Merrina Mereditha.

- Tak, tak - odrzekł nadąsany Merrin, który siedział apatycznie w jedynym wygodnym fotelu w Obserwatorium. Ciemne włosy zwie-



szały mu się na twarz, zasłaniając duży pryszcz na środku czoła, który wyskoczył nocą.

- Zrozumiano? - powtórzył Simon ze złością.

- Chyba powiedziałem „tak”, prawda? - mruknął Merrin, machając długimi, patykowatymi nogami, tak że stopy uderzały o fotel z drażniącą regularnością.

- I lepiej utrzyj tu czystość - poleciła Lucy Gringe.

- Nie chcę zastać bałaganu po powrocie.

Merrin zerwał się na nogi i z drwiną ukłonił się Lucy.

- Tak jest, wasza wysokość. Mogę zrobić coś jeszcze, wasza wysokość?

Lucy Gringe zachichotała.

Simon Heap zmarszczył brwi.

- Chodź, Lucy - powiedział z irytacją w głosie. - Jeśli oczywiście chcesz dotrzeć do Portu przed zapadnięciem nocy.

- Chwileczkę, muszę jeszcze **znaleźć**...

- Mam twoją torbę i płaszcz. Chodź, Lucy. - Simon ruszył przez Obserwatorium, a jego kroki rozbrzmiewały głucho na czarnych łupkach. Po chwili zniknął za granitowym, łukowatym przejściem, wiodącym na schody.

- Aha, Merrinie, nie rób niczego głupiego. - Głos Simona poniósł się echem po schodach.

Merrin ze złością kopnął fotel, aż w górę **wzbił** się tuman kurzu i zdezorientowanych ciem. Nie był głupi. Nie był, nie był, nie był głupi. Przez pierwsze dziesięć lat jego życia głupcem nazywał go poprzedni mistrz, DomDaniel, Merrin miał więc tego dosyć. Przez te wszystkie lata uważano go omyłkowo za Septimusa Heapa, ale choć bardzo się starał, był kiepską imitacją prawdziwego Septimusa. DomDaniel nigdy nie zorientował się w pomyłce i nie domyślił się, dlaczego jego nieszczęsnemu Uczniowi nic nigdy nie wychodzi.

Krzywiąc się, Merrin opadł z powrotem na stary fotel. Patrzył, jak Lucy Gringe, powiewając warkoczykami i wstążkami, miota się pospiesznie, zbierając w ostatniej chwili jakieś drobiazgi.

W końcu była gotowa. Złapała wielobarwny szal, który zrobiła dla Simona na drutach podczas długich zimowych wieczorów w Portowym Sklepie z Plackami, i wybiegła za nim. Gdy zniknęła w mrocznym, łukowatym przejściu, nieśmiało pomachała **Merrinowi**. Chłopak przestał się dąsać i odmachał w odpowiedzi. Lucy zawsze potrafiła wywołać uśmiech na jego twarzy.

Lucy, szczęśliwa, że opuszcza miejsce, które uważała za najokropniejsze na świecie, nie zaprzętała sobie więcej głowy Merrinem, tylko słuchała głuchego odgłosu swoich butów, gdy rozpoczynała długie **zejście** do zimnej, wilgotnej, pełnej śluzu Nory Robala, w której Simon trzymał swojego konia, Groma.

Gdy dźwięk kroków Lucy oddalił się i zastąpiła go cisza, Merrin przystąpił do działania. Chwycił długą tyczkę i zaczął szybko opuszczać czarne rolety, zasłaniające okno na szczycie pomieszczenia, które wystawało ponad szorstką trawę i skalne występy na wysokim, łupkowym urwisku i było jedyną widoczną z zewnątrz częścią Obserwatorium. W miarę jak chłopak zaciągał roletę za roletą, ogromne pomieszczenie stopniowo ciemniało, aż zapanował w nim półmrok.

Podszedł do Camera Obscura - dużego, wklęsłego dysku, znajdującego się pośrodku - i zaczął się w skupieniu przyglądać. Dysk, który w porannych promieniach słońca, sączących się z góry, wyglądał jak biały talerz, teraz uległ przemianom. Wewnątrz ukazał się plastyczny, barwny widok. Zauroczone Merrin patrzył na rząd owiec, kroczących powoli

wzdłuż krawędzi urwiska, i na różowe od wschodu słońca chmury, płynące niespiesznie za nimi.

Merrin wyciągnął rękę, złapał długą tyczkę, wiszącą pośrodku okna, i zaczął ją obracać. Rozległo się oburzone skrzywienie niewielkiej ramy, która utrzymywała soczewkę, przekazującą obraz na dysk poniżej. Gdy chłopak powoli obracał soczewkę, obraz przed jego oczami zmieniał się, ukazując milczącą panoramę zewnętrznego świata. Merrin dla zabawy wykonał obrót o pełne 360 stopni, a dopiero potem wyszukał miejsce, które chciał obserwować. Puścił tyczkę i skrzywienie ustało. Odgarniając z oczu rozwichrzone, czarne włosy, pochylił się naprzód i wbił uważne spojrzenie w scenę przed sobą.

Na dysku pojawił się długi, kręty szlak, który wił się między występami skalnymi. Po jego prawej stronie widniał głęboki wąwóz, a po lewej - pionowe ściany łupków, przerwane tu i ówdzie skalnym albo żwirowym osuwiskiem. Merrin czekał cierpliwie, aż w końcu jego oczom ukazał się Grom. Koń flegmatycznie człapał szlakiem, prowadzony ostrożnie przez swojego pana, okrytego czarnym płaszczem dla osłony przed porannym chłodem. Simon był też opatulony szalem Lucy, którego drugi koniec dziewczyna owinęła wokół własnej szyi. Siedziała za Simonem w swoim cennym niebieskim płaszczu i mocno trzymała go w pasie.

Merrin z uśmiechem patrzył, jak koń w ciszy przemierza dysk. Powiedział sobie w duchu, że odprowadza podróżnych. Obserwując powolną wędrówkę Groma, pogratulował sobie, że to wszystko zaplanował. Od chwili, gdy parę tygodni temu pojawiła się Lucy Gringe - w towarzystwie nadzwyczaj irytującego szczura, którego pożegnał celnym kopniakiem - Merrin zaczął snuć plany. Okazja nadarzyła

się szybciej, niż się spodziewał. Lucy chciała pierścionka, i to nie byle jakiego. Pierścionka z diamentem.

Merrin był zaskoczony, że Simon tak szybko przystaje na sposób myślenia Lucy w wielu sprawach - nawet w kwestii pierścionków z diamentami. Korzystając z okazji, zaproponował, że przypilnuje Obserwatorium, podczas gdy Simon zabierze Lucy do Portu w poszukiwaniu pierścionka. Simon się zgodził, jako że myślał o odwiedzeniu magazynu Drago Millsa, gdzie odbywała się wyprzedaż, o której wiele opowiadał szczur. Zaczęła się tydzień wcześniej, z powodu śmierci właściciela magazynu i podobno nie brakowało na niej zdumiewających okazji. Lucy Gringe miała jednak odmienne zdanie. Wybrała już idealny pierścionek z diamentem i z całą pewnością nie pochodził on z wyprzedaży w magazynie Drago Millsa.

W końcu cierpliwość Merrina została nagrodzona i Grom wyniósł oboje jeźdźców poza krawędź dysku. Gdy ogon konia zniknął z pola widzenia, chłopak wydał głośny okrzyk radości. W końcu - po tym, jak przez całe życie ktoś inny mówił mu, co ma robić - był wolny!

MROCNYLEKSYKON

Z kryjówki pod swoim materacem Merrin wyciągnął chudą, pomiętą, oprawną w skórę książkę, na której wyblakłe, czarne litery układały się w tytuł „Mroczny Leksykon”. Uśmiechnął się. Nareszcie mógł to poczytać, nie ukrywając się przed wścibskim Simonem i denerwującą Lucy. Była jeszcze gorsza niż Simon i przez większość czasu zadawała



pytania typu: „Co robisz, Merrinie?” Albo: „Co tam czytasz? Pokaż. No, nie bądź taki ponury”.

Odkąd Merrin znalazł tę książkę w zakurzonej kredensie, który Simon kazał mu posprzątać, nieodmiennie go fascynowała. „Mroczny Leksykon” przemawiał do niego własnym językiem. Merrin znał zaklęcia i zasady, a najbardziej podobała mu się ta część, która mówiła, jak zasady łamać. Tę książkę napisał ktoś, kogo Merrin dobrze rozumiał.

Nocą, w swojej małej celi, oddzielonej od Obserwatorium kotarą (dlatego, że Jenna zmieniła kiedyś drzwi w czekoladę), brał przezrystą tubę z Larwami Jarzowymi i godzinami czytał pod kołdrą. Simon zauważył światło i drwił z jego lęku przed ciemnością, ale tym razem Merrin wyjątkowo nie dał się sprowokować. Odpowiadało mu, że Simon nie zadaje więcej pytań o światło, niegasnące do wczesnych godzin poranka. Jeśli chciał tak myśleć, proszę bardzo. Pewnego dnia Simon Heap dowiedział się, że Merrin nie boi się mroku - a nawet, mówiąc konkretnie, Mroku.

Teraz chłopak zapalił wszystkie świece, jakie zdołał znaleźć - Simon oszczędzał świece i pozwalał zapalać tylko jedną naraz - i ustawił je dookoła wielkiego, okrągłego pomieszczenia Obserwatorium. Półmrok, który wywołał, zaciągając rolety, ustąpił miejsca ciepłemu blaskowi świec. Powiedział sobie, że potrzebuje światła do czytania, ale Simon miał jednak trochę racji: **Merrin** nie lubił ciemności, zwłaszcza kiedy był sam.

Postanowił sobie nie żałować. Wpadł do maleńkiej kuchni po ostatni placek Lucy. Znalazł dwa steki i nerkę, kurczaka, grzyb i rozgnieciony knedel z jabłkami. Potem do du-

W jego kubka nalał sobie cydru Simona. Postawił produkty na stoliku przy swoim wąskim, nierównym łóżku, a potem dołożył do tego wszystkiego kilka stęchłych kawałków czekoladowych drzwi, znalezionych w zakurzonej kącie pod łóżkiem. Następnie zabrał z łóżka Simona gruby wełniany koc. Merrin nie lubił marznąć, a zwykle było mu zimno, jako że w Obserwatorium, wydrążonym w łupkowej ścianie, zawsze panował dojmujący chłód.

Mając przed sobą cały dzień robienia tego, na co miał ochotę, Merrin opatulił się kocem, po czym bez zdejmowania butów położył się do łóżka i zabrał za zgromadzone jedzenie. Późnym rankiem jego książka spadła na podłogę. Chłopak spał głęboko wśród masy okruszków ciasta, drobin czekolady i wyrzuconych kawałków nerki - odkąd bowiem Simon powiedział mu, do czego właściwie nerki służą, robiło mu się od nich niedobrze.

Świece w Obserwatorium dopalały się jedna po drugiej, ale Merrin spał, aż obudziło go skwierczenie ostatniego ogarka. Ocknął się w panice. Zapadła noc. Wokół panowały zupełne ciemności, a chłopak nie pamiętał, gdzie się znajduje. Wskoczył z łóżka i zderzył się z framugą drzwi. Zataczając się w tył, ujrzał biały dysk Camera Obscura, oświetlony wąskim snopem księżycowego blasku, który znalazł sobie drogę przez szczelinę między roletami. Przerazenie ustępowało. Wyjął swoje krzesiwo i zaczął zapalać nowe świece. Wkrótce Obserwatorium zajaśniało ciepłym światłem świec i zapanowała w nim niemal miła atmosfera, ale to, co planował Merrin, nie było miłe w najmniejszym nawet stopniu.

Merrin podniósł z podłogi „Mroczny Leksykon” i otworzył go na ostatniej stronie, której tytuł brzmiał:

*Zaprowadzenie Mroku w przeznaczeniu drugiego
Czyli Zrujnowanie wroga twego
Przy użyciu Dwustronnego Pierścienia
Sprawdzona i wypróbowana metoda
z powodzeniem wielkim przez Autora zastosowana*

Merrin znał ten fragment na pamięć, ale nie czytał dalej z powodu następnej linijki:

*Jeśliś niegotowy, nie czytaj, niebożę,
Bo jeśli przeczytasz, będzie z tobą gorzej.*

Merrin przełknął ślinę. Teraz był już gotowy. Czuł suchość w ustach i oblizał wargi. Smakowały starym plackiem i nie był to przyjemny smak. Chwycił szklankę wody, napił się i zaczął rozmyślać, czy nie lepiej odłożyć wszystko do następnej nocy. Ale myśl o kolejnym ponurym, samotnym dniu w Obserwatorium oraz fakt, że Simon i Lucy mogli wrócić w każdej chwili, nie napawały optymizmem. Musiał to zrobić teraz. A zatem z przerażeniem, wzbierającym w żołądku, czytał dalej:

Najpierw przyzwij swego Stwora Służebnego.

Serce waliło mu jak młotem. To było straszne. Nawet Simon nigdy nie odważył się na Przyzwanie Stwora. Merrin jednak, skoro już zaczął, nie śmiał przestać. Bardzo ostrożnie, tak jakby wyciągał nadzwyczaj jadowitego pająka z jego kryjówki, wyjął zakłęcie Przyzwania z kieszonki na dole strony. Zakłęcie - czarny diament, cieniutki jak opłatek - zdawało się zimne jak lód. Zgodnie z instrukcją, przyłożył je sobie do ser-

ca i wyrecytował Przyzwanie. Nic się nie stało. Nie zerwał się wiatr, powietrze ani drgnęło, nie zgromadziły się żadne cienie. Nic. Świece wypalały się miarowo, a Obserwatorium wydawało się puste. Spróbował jeszcze raz. Znowu nic.

Ogarnęło go straszne uczucie - naprawdę był głupi. Jeszcze raz odczytał słowa, tym razem bardzo powoli. A jednak i tym razem nic się nie stało. Raz po raz powtarzał formułkę, przekonany, że przeoczył coś oczywistego, coś, co każdy od razu by zauważył. Ale nie pojawił się żaden Stwór, absolutnie żaden. Rozgniewany Merrin wykrzyczał Przyzwanie - nic. Potem je wyszeptał, wypowiedział tonem błagalnym i **pochlebczym**, by w końcu w akcie rozpaczycy odczytać je od tyłu. Wszystko na nic. Wyczerpany, osunął się na podłogę. Próbował wszystkiego, co przyszło mu na myśl, i nie udało mu się - jak zwykle.

Merrin nie zdawał sobie sprawy, że jego Przyzwania, co do jednego, powiodły się. W Obserwatorium wręcz zaroilo się od Stworów. Kłopot polegał na tym, że on ich nie widział.

Stworów na ogół nie dało się zobaczyć i całe szczęście, bo nie był to miły widok. W większości miały postać zbliżoną do ludzkiej, choć nie sposób było stwierdzić, jakiej są płci. Zwykle były wysokie, chude niemal jak szkielety i wyjątkowo niedołążne, a za ubiór służyły im ciemne łachmany. Ich twarze miały żałosny, czasem rozpaczliwy wyraz, podszyty wrogością i wrażliwi ludzie, którym zdarzyło się nieszczęśliwie napotkać ich spojrzenie, popadali na kilka tygodni w depresję. Merrin - choć o tym nie wiedział - miał ciotkę imieniem Edna, która dość dokładnie pasowała do tego opisu, ale nawet on potrafiłby odróżnić ciotkę Ednę od Stwora, Stwory bowiem wydawały się martwe.

Dopiero wtedy chłopak przeczytał drugą część instrukcji:

**Teraz zwróć się do Stwora,
Zażądaj, by go Ujrzeć.
Pozbaw go Niewidzialności.**

- Aaach! - krzyknął **Merrin**, który nagle z przerażeniem zdał sobie sprawę, co się stało. Ze złością cisnął książką o ścianę. Skąd miał wiedzieć, że Stwory są niewidzialne? Dlaczego książka nie wspominała o tym wcześniej?

Pół godziny później chłopak się uspokoił. Wiedział, że nie ma innego wyjścia, niż tylko kontynuować, podniósł więc książkę, znalazł pomiętą stronę i zaczął wykonywać polecenia. Wyrecytował zaklęcie Ujrzenia, zamknął oczy i policzył do trzynastu. Potem z uczuciem przerażenia otworzył **OCZY...** i wrzasnął.

Otaczały go Stwory. Dwadzieścia sześć Stworów, które czuły się dotknięte i myślały: „Dlaczego po prostu nie wybrał mnie? Nie jestem dla niego dość **dobry?**”. Gapiły się na niego, poruszały ustami, jakby mamrotały i pojękiwały, nie wydawały jednak żadnego dźwięku. Stały obok i wpatrywały się weń tak intensywnie, że nawet Merrin, który nie grzeszył wrażliwością, poczuł, że narasta w nim głęboki smutek. Pomyślał, że wszystko toczy się bardzo źle. Simon miał rację. Wszyscy ją mieli. Był głupi. Teraz jednak nie miał wyjścia. Musiał kontynuować, bo inaczej, jak głosiła książka, będzie z nim gorzej. Z bardzo niemiłym uczuciem w żołądku, przeczytał następne polecenie:

**Dwustronny Pierścień wnet osiąść możesz
Gdy Stwór Służebny szukać pomoże.**

Serce Merrina zamarło, gdy przeczytał słowa „Dwustronny Pierścień”. Wciąż śniły mu się związane z tym koszmary.

Kilka miesięcy wcześniej naburmuszony Simon sprzątał Obserwatorium, głośno narzekając na niechlujstwo Merrina. Ten tymczasem skrył się w spiżarni. Potajemnie pochłaniał **sekretny** zapas kiełbasek, gdy usłyszał krzyk Simona. Omal się nie udławił, bo Simon zwykle nie krzyczał. Krztusząc się, wytoczył się na zewnątrz i ujrzał naprawdę straszny widok: stos ohydnych kości o gumowatym wyglądzie, połyskujących od czarnego śluzu, powoli przemierzał Obserwatorium w ślad za Simonem. Ściskając worek na śmieci niczym jakąś **tarczę**, Simon cofał się z wielkim przerażeniem na twarzy.

Merrin od razu poznał, czyje to były kości - jego dawnego pana DomDaniela. Zdradził je pierścień. Gruby, **złotonefrytowy Dwustronny Pierścień**, który **DomDaniel** zawsze nosił na kciuku, połyskiwał na tle czarnego blasku kości. „Ten pierścień”, powiedział kiedyś Merrinowi, „jest niezniszczalny. Ten, kto go nosi, jest niezniszczalny. Ja go noszę, więc jestem niezniszczalny. Zapamiętaj to, chłopczel!”. Wybuchnął śmiechem i zamachał swoim grubym, różowym kciukiem przed twarzą Merrina.

Merrin patrzył, jak kości osaczają przerażonego Simona. Zaczął nasłuchiwać, bo gdzieś z ich głębi rozległa się głucha, Mroczna pieśń zniszczenia, wymierzona prosto w Simona. Merrin chciał się skulić w małą kulkę, choć nie wiedział, dlaczego. Na swoje szczęście nie pamiętał, jak na Mokradłach **Marram** DomDaniel potraktował go tą samą pieśnią.

Gdy pieśń nieuchronnie zmierzała do końca - co oznaczało, że Simon zostanie Zużyty - Merrin zobaczył, że Simon Heap się zmienia. Ale nie w sposób, jaki zamierzył napast-

nik. Strach w jego oczach ustąpił miejsca dzikiej wściekłości. Merrin widywał już to spojrzenie i wiedział, że oznacza kłopoty.

Miał rację.

Jednym szybkim ruchem łowcy motyli, polującego na bezcenny okaz, Simon narzucił worek na kości, wykrzykując własną Mroczną klątwę. Kości rozsypały się i niektóre zaczęły uciekać po podłodze, ale pieśń nie ustawała. Simon wpadł w panikę i zaczął łapać rozbiegane kości, po czym wrzucał je do worka tak samo, jak kilka minut wcześniej wrzucał tam śmieci. Worek **stłumił** nieco dźwięk Mrocznej pieśni, która jednak rozbrzmiewała dalej.

Simon gorączkowym ruchem wrzucił do worka ostatnią kość. Potem, jakby zależało od tego jego życie - bo zależało - przemknął przez Obserwatorium, otworzył drzwi Nieskończonego Kredensu, wrzucił worek do **środk**a, po czym zamknął drzwi zaklęciem Sztaby. W tym momencie, ku rozbawieniu Merrina, nogi ugięły się pod Simonem, który runął na podłogę niczym mokra szmata. Merrin wykorzystał tę chwilę, żeby dokończyć kiełbaski.

A teraz Merrin miał zobaczyć te straszne kości jeszcze raz. I, co gorsza, odebrać im pierścień. Jeszcze gorzej, że musiał wejść do Nieskończonego Kredensu, by je znaleźć, co napawało go prawdziwą grozą. Sam **DomDaniel** wybudował Nieskończony Kredens. Miejsce to służyło do trzymania Mrocznych rzeczy, które nie były już potrzebne, a przy tym nie dały się Dezaktywować. Kredens wił się daleko w głąb skały i choć tak naprawdę nie był nieskończony, miał wiele, wiele mil.

Merrin ciężko przełknął ślinę. Wiedział, że musi to zrobić, że teraz nie może się już cofnąć. Z drżeniem **wymam-**

total zakłęcie Odryglowania, chwycił za mosiężną gałkę ■ zupełnie niewinnym wyglądem i pociągnął. Drzwi się **otworzyły**. Merrin się skulił. Uderzyła weń fala mroźnego powietrza, wypełnionego ohydny zapachem. Mieszały się **w nim** wonie mokrego psa, zgniłego mięsa i spalonej gumy. Wzdrygnął się i splunął z obrzydzeniem.

Z uczuciem przerażenia **Merrin** zajrzał w mrok. Kredens **lawął** się pusty, ale wiedział, że taki nie jest. Nieskończony Kredens przesuwiał swoją zawartość, zabierając **bardziej** Mroczne rzeczy w głąb skały. Chłopak zadrżał **na myśl**, jak głęboko zabrał kości.

Unosząc świecę ponad głowę, wszedł do środka. Wnętrze **kredensu** wiło się w głąb skały niczym jakaś macka. Gdy **Merrin** tam wkroczył, zrobiło się zimniej. Po kilkunastu **lrokach** płomień świecy zaczął drgać w paskudnym powietrzu, ale chłopiec szedł naprzód, coraz dalej. Teraz **płomień** zrobił się mniejszy. Zajaśniał na czerwono i Merrin poczuł niepokój. Jeśli powietrza było za mało dla ognia, to z pewnością i dla niego nie mogło go wystarczyć. Miał **teraz** zawroty głowy i gwizdało mu w uszach. Zrobił jeszcze kilka kroków i nagle płomień świecy zgasł. Przez chwilę na końcu lontu świecił jeszcze jasnoczerwony żar, a potem nastąpiła absolutna ciemność.

Merrina ścisnęło w piersi. Szeroko otworzył usta, by nabrać więcej powietrza, ale na nic się to zdało. Wiedział, że musi wyjść z kredensu, i to jak najszybciej. Odwrócił się, dysząc, by zaraz wpaść na nieporuszonego Stwora. W przerażeniu precisnął się obok niego i na drodze natychmiast stanął mu kolejny, potem jeszcze jeden. Merrin zdał sobie sprawę, że znalazł się w pułapce, że ten długi, wąski kredens jest pełen Stworów i że zapewne jeszcze następane

próbują wcisnąć się do środka. Faktycznie, na zewnątrz podniecone Stwory tłoczyły się, przepychały i walczyły o swoją kolej. Chłopaka ogarnęła fala przerażenia. A potem podłoga kredensu zrobiła coś bardzo dziwnego. Popędziła mu na spotkanie i uderzyła go w głowę.

Gdy się ocknął, był w Obserwatorium i leżał na zimnej, łupkowej posadzce.

Rozejrzał się półprzytomnie, a dwadzieścia sześć Stworów odpowiedziało mu spojrzeniem. Zwykle wzrok dwudziestu sześciu Stworów wystarczało, by na zawsze wpędzić człowieka w rozpacz, ale oczy Merrina nie mogły się skupić. Widział wokół siebie tylko rozedrganą plamę, niby wielki, kolczasty żywopłot.

Chłopak pomału zdał sobie sprawę, że coś leży obok niego. Odwrócił głowę - co bolało - i ujrzał przed sobą obszarpany, płócienny worek. Worek na śmieci. W środku, niczym miot kociaków, coś się poruszało.

Nagle, zupełnie przytomny, zerwał się na nogi, złapał worek i odwrócił go do góry nogami. Ze środka wysypał się na podłogę deszcz **oślizłych** kości. Mała, gruba kość z pierścieniem upadła na podłogę z metalicznym brzękiem. Merrin popatrzył na nią tępo - co miał teraz zrobić? Kość u jego stóp zadrgała. Krzyknął. Kości zaczęły się poruszać na podobieństwo ślepych robaków, szukając nawzajem swoich sąsiadów - zaczynały się Składać.

Kościsty palec dźgnął go w żebra i Merrin znowu krzyknął. DomDaniel go szturchnął. To zwiastowało śmieeeeeerć! Coś wepchnęło mu w twarz „Mroczny Leksykon” i Merrin z ulgą zdał sobie sprawę, że palec należy do Stwora. Posłusznie przeczytał fragment, który palec wskazywał:

**Zdejmij Dwustronny Pierścień
Z kciuka tego,
Kto Go nosi.
Wtedy tylko Nim zawładniesz,
Gdy na Drugą Stronę spadnie.**

Merrin podszedł do oślizłego czarnego patyka, na który nasunięty był Dwustronny Pierścień, i popatrzył na niego z odrazą. Chciał się zmusić, by go podnieść. Raz, dwa, **trzy...** Nie, nie mógł. Tak, mógł - musiał. Raz... dwa... **trzy...** uch! Miał go. Kość kciuka okazała się miękka jak **chrząstka**. To było ohydne. Zrobiło mu się niedobrze.

Kilka chwil później Merrin, czując w ustach gorycz, złapał Dwustronny Pierścień. Wiedział, że musi go ściągnąć przez podstawę kości - „na Drugą Stronę”. Pociągnął. Pierścień zaklinował się na grubszej części kości, tam, gdzie znajdował się staw. Merrin stłumił przerażenie. Pierścień nie chciał się zsunąć. Wkrótce Składanie **DomDaniela** dobiegnie końca, a on, Merrin, stanie się karmą dla kotów. Desperacja dodała mu czegoś w rodzaju odwagi. Wyciągnął swój scyzoryk, położył kość na posadzce i odciął jej koniec. Ze środka wysączyła się gęsta, czarna ciecz i Dwustronny Pierścień spadł na podłogę.

Merrin uniósł go z potworną fascynacją i wpatrywał się w szeroką, okrągłą, złotą wstęgę z wyrzeźbionymi z nefrytu głowami, spoglądającymi w przeciwne strony. Z drzeniem rąk zajrzał do „Mrocznego Leksykonu”.

**Na kciuk swój
Na lewą dłoń
Złoty włóż zwój
Dwustronny.**

Trzęsąc się, nasunął pierścień na kciuk, odpędzając myśl, że kiedyś ktoś inny zechce może zdjąć mu go „w Drugą Stronę”. Z początku pierścień trzymał się luźno na jego chudym, brudnym kciuku z poobgryzonym paznokciem i wystającą kostką, ale nie trwało to długo. Chłopak poczuł, że złoto robi się coraz cieplejsze, aż w pewnej chwili stało się już nieprzyjemnie gorące - i wtedy pierścień zaczął się kurczyć. Wkrótce pasował już doskonale, ale na tym nie poprzestał. Rozgrzewał się jeszcze bardziej i dalej się zaciskał. Kciuk zaczął pulsować bólem.

Merrin wpadł w panikę. Zaczął podskakiwać, potrząsać dłońmi, krzyżeć i tupać z bólu. Pierścień zaciskał się coraz mocniej, a czubek kciuka chłopaka zrobił się najpierw czerwony, potem fioletowy, a w końcu ciemnogrnatowy. W tym momencie Merrin przestał krzyżeć i wpatrywał się w palec z przerażeniem. Po prostu wiedział, że jego kciuk eksploduje. Zastanawiał się, czy rozlegnie się huk, czy raczej mokre pląśnięcie? Nie chciał wiedzieć. Zamknął oczy. W chwili, gdy to uczynił, pierścień poluzował uścisk, krew znowu popłynęła i opuchlizna zniknęła. Teraz Dwustronny Pierścień pasował, chociaż był trochę ciasny - akurat na tyle ciasny, by przypominać o swojej obecności. Chłopak wiedział, że należy do niego do końca życia - przynajmniej do końca życia jego kciuka.

Zaczynał zdawać sobie sprawę, że Mroczna Magia niekoniecznie stoi po stronie tych, którzy ją uprawiają. Teraz jednak nie mógł już przestać. Znalazł się w pułapce i musiał przejść do ostatniej części zaklęcia, czyli do „Zaprowadzenia Mroku w przeznaczeniu drugiego”. A tego należało dokonać w Zamku, bo właśnie tam mieszkał ów drugi, na szczycie Wieży Czarodziejów, jak kiedyś Merrin, i posługiwał się tym samym co kiedyś on nazwiskiem: **Septimus Heap**.

UCIECZKA Z PUSTKOWIA



Tuż przed świtem Merrin wstał z łóżka i zaspany wytoczył się do pogrążonego w mroku Obserwatorium, gdzie skierował się do pojemnika z Larwami Jarzowymi. Mrugając powiekami, wyciągnął tubę świeżych larw na podróż i dopiero, gdy zamykał wieko, otworzył oczy na dobre... i wrzasnął. Zapomniał o Stworach. Przynajmniej kilkanaście zgromadziło się wokół pojemnika i obserwowało każdy jego ruch. Reszta wałęsała się bez celu, jakby gnana niewidzialnym wiatrem. Chłopak, świadom już, że Stwory bez ustanku mu się przyglądają, poczłapał do skromnie umeblowanego pokoju Simona, otworzył kredens i wyjął małą, czarną skrzynkę z napisem „Szpicel”.

Przepychając się łokciami, **Merrin** utorował sobie drogę przez wianuszek nieodłącznych Stworów i włożył do plecaka skrzynkę ze Szpiclem wraz z kilkoma innymi skarba-
mi. Potem zarzucił sobie plecak na ramię i wziął głęboki wdech. Wiedział, że pora iść, ale w tej chwili nawet zimne, straszne, wilgotne i nieprzytulne Obserwatorium, pełne Stworów, wydawało mu się znacznie miłsze niż podróż, którą miał przed sobą. Czekąca go droga w dół po setkach stromych, ciemnych, śliskich stopni, wykutych w skale, a potem przejście obok komory **Magogów** i przez długą, oślizłą Norę **Robala**. Nie miał jednak wyboru. Musiał iść.

Nadzieja, że Stwory spełniły już swoje zadanie i zostaną w Obserwatorium, legła w gruzach, gdy po pokonaniu kilku wiodących w ciemność schodków obejrzał się i zobaczył je za sobą. Posuwały się naprzód, przepychając się, posztur-
chując i kopiąc, byle tylko znaleźć się na stopniach za nim. „Świetnie”, pomyślał Merrin, „po prostu świetnie”.

Pół godziny później Merrin stał przy wejściu do porzu-
conej Nory Robala, nie był jednak sam. Wiedział, że tuż za sobą ma dwadzieścia sześć Stworów, czuł, jak się na niego gapią. Ich wzrok wywoływał na jego karku lodowate dresz-
cze. Nerwowo bębnił brudnymi palcami w oślizłą ścianę no-
ry i trzął się z zimna. Wpatrywał się intensywnie w ciemny horyzont nad szczytem urwiska po drugiej stronie wąwozu.

Bardzo chciał wyjść z Nory Robala, czekał jednak, aż na niebie pokażą się pierwsze żółte promienie świtu. Nocą niebezpiecznie było przebywać w kamieniołomach na Pustkowiu. Przez lata opowiedziano mu wystarczająco wiele krwawych historii, by wiedział, że najgroźniej jest o zmierzchu i o brzasku. Wtedy to **Robale** Lądowe prze-
mieszczą się - wieczorem, po całodziennym poście, oraz

rano, gdy wracały do nor - i szukały ostatniego smakowitego kaska, zanim spędzą dzień skulone w głębi zmrożonych lupkowych skał.

Dziesięć długich, zimnych minut później Merrin zyskał pewność, że wyraźnie widzi już kontury poszarpanych występów skalnych. Gdy tak patrzył, powolny, węzowaty ruch tuż pod linią nieba upewnił go, że zbliża się świt - Robal Łądowy wracał do nory. Chłopak z fascynacją obserwował na pozór niekończące się, cylindryczne ciało stworzenia, które wsuwało się w skalną ścianę po przeciwnej stronie wąwozu. Zastanawiał się, ile takich stworzeń robi w tym momencie to samo po jego stronie - może nawet o parę metrów od niego, jako że Robale Łądowe były ciche jak noc. Jedynym odgłosem, który zapowiadał ich nadejście był - o ile miało się tyle szczęścia - stukot przesuniętego kamienia, gdy ruszały do ataku. W tym momencie deszcz kamyków spadł z urwiska nad Merrinem, który z bijącym sercem odskoczył w tył. Dwadzieścia sześć Stworów za jego plecami zrobiło to samo niczym klocki domina.

Chłopak był przerażony. Choć pragnął uciec przed Stworami, zdecydował, że nie postawi nogi na zewnątrz, dopóki nie zobaczy słońca i nie zyska pewności, że nic mu nie grozi. Słońce jednak nie chciało go posłuchać. Niebo wciąż miało szarą barwę, a Merrin czekał... i czekał. Później, gdy nabrał już przekonania, że - jak znał swoje szczęście - wybrał jedyny dzień w całej historii świata, w który słońce miało nie wzejść, ujrzał jasną tarczę, wspinającą się powoli na niebo nad ponurymi urwiskami. Nareszcie. Pora iść.

Najpierw jednak musiał się pozbyć Stworów. Nie zamierzał iść do Zamku, ciągnąc za sobą cały ich wianuszek. Nie ma mowy. Odwrócił się do pierwszego Stwora w szeregu.

- Zostawiłem w Obserwatorium płaszcz - powiedział.
- Przynieś mi go.

Stwór wydawał się zbity z tropu. Jego pan miał płaszcz na sobie.

- Przynieś go! - wydarł się Merrin. - Wszyscy! Przynieść mi płaszcz!

Stwór Służebny nie może nie posłuchać swojego pana. Z pełnymi wyrzutem spojrzeniami (bo Stworom Służebnym **Merrina** nie brakowało inteligencji) zaczęły się oddalać w głąb starej Nory **Robala**. Nie były zaskoczone, gdy donośny łoskot i silny podmuch powietrza powiedziały im, że chłopak zatrzaskał wielką, żelazną klapę Nory. Wszystkie, oprócz jednego, dalej wykonywały z rezygnacją powierzone im zadanie i szukały nieistniejącego płaszcza, gdy kilka dni później Simon i Lucy wrócili do Obserwatorium.

Merrin nie wiedział jednak, że jeden ze Stworów - ten przyzwany za pomocą zaklęcia wypowiedzianego od tyłu - nie miał obowiązku słuchać pana. Właśnie dlatego, gdy Merrin ruszył w dół szlaku, wielka żelazna klapa otworzyła się jeszcze raz. Stwór wydostał się na zewnątrz i zaczął podążać za tym, który go Przyzwał. Przez ramię miał przewieszony poszarpany, płócienny worek z kośćmi. Stwór doszedł do wniosku, że jego nowy pan będzie potrzebował pomocy w każdej postaci. I że właśnie worek Mrocznych kości może okazać się pomocny.

Merrin ruszył wiodącym na pola uprawne szlakiem, przytulonym do łupkowej ściany. Dobrze znał tę część ścieżki i nie zdziwił się, gdy za pierwszym zakrętem okazało się, że drogę przegradza mu osuwisko kamieni. Z uczuciem podniecenia - i lekkim dreszczem trwogi - zaczął się gramolić na śliskie skalne odłamki. Starał się zbytnio nie

spieszyć, by któryś z kamieni nie ustąpił pod jego ciężarem, wtedy bowiem runąłby na dno przepaści, w rwący rzeczny nurt. Bezpiecznie dotarł na szczyt i zaczął się ostrożnie zsuwać w dół po drugiej stronie. Ale w połowie drogi poślizgnął się i w wąwóz poleciał deszcz kamyków. Merrin stanął i wstrzymał oddech, czekając na lawinę, która go porwie, znowu jednak dopisało mu szczęście, więc bardzo ostrożnie zaczął schodzić dalej. Kilka minut później jego stopa dotknęła twardego gruntu szlaku. Wydał z siebie okrzyk triumfu i uniósł zaciśniętą pięść. Był wolny!

Przy akompaniamencie huku rzeki na dnie wąwozu chłopak szybko podążył szlakiem nad urwiskiem. Nie obejrzał się ani razu. Nawet gdyby to zrobił, zapewne nie zauważyłby Stwora, który wtapiał się w cień i przybierał kształty skał, tak jak to czynią Stwory, gdy nie chcą, by ktoś je zobaczył.

Niebawem Merrin zostawił za sobą przytłaczające łupkowe urwiska Pustkowie i ruszył między rozrzucone wśród pagórkowatych pól uprawnych gospodarstwa. Znalazł się na nieznanym terenie, ale szedł szeroką dróżką o ubitej, choć pylistej nawierzchni. Gdy dotarł do rozstaju dróg, zobaczył kamienny drogowskaz. Na wysokim, granitowym słupie wryto strzałkę w prawo i słowo ZAMEK. Uśmiechnął się. Pewnym krokiem ruszył prawą odnogą dróżki.

Był chłodny wiosenny dzień i słońce, wschodzące powoli nad niskie chmury, dawało niewiele ciepła, jednak żwawy krok wystarczająco rozgrzewał Merrina. Wkrótce w jego żołądku pojawiło się znajome uczucie pustki. Przywykł do głodu, ale skoro był już wolny, nie zamierzał pozwolić, by taki stan rzeczy się utrzymywał.

Idąc rażnie ścieżką, która wiła się wśród świeżo posadzonych winorośli i maleńkich drzewek owocowych, ujrzał

w pewnej chwili niewielką, kamienną chatę. Stała całkiem niedaleko, na poły ukryta przez nachylenie terenu. Zaczął truchtać. Kilka minut później szedł już przez zarośnięte podwórze, otoczone walącymi się zabudowaniami. Podwórze było opuszczone, jeśli nie liczyć kilku zmokłych, grzebiących w ziemi kur. Dalej widniała podłużna, niska chata z półotwartymi drzwiami. Merrin podszedł bliżej i zapach pieczonego chleba uderzył go jak obuchem.

Jego żołądek zrobił coś, co przypominało podwójne salto - musiał zjeść ten chleb. Uważając, by nie poruszyć drzwi, które mogły zaskrzypieć, zakradł się do środka. Znalazł się w długiej, ciemnej izbie, rozświetlonej tylko blaskiem ognia w palenisku po przeciwległej stronie. Merrin stanął i rozejrzał się dookoła. W pomieszczeniu nikogo nie było, miał co do tego pewność. Osoba, która piekła chleb, miała najwyraźniej coś innego do roboty, więc chłopak postanowił wykorzystać okazję.

Niczym kot, Merrin przeszedł cicho po klepisku, minął dużą stertę siana i stos drewnianych skrzyń. Tyle że - czego kot by nie zrobił - nadepnął na kurę. Z donośnym gdakaniem stara, ślepa kura poderwała się w powietrze, łopocząc skrzydłami.

- **Ćśśś!** - syknął rozpaczliwie. - **Ćśśś**, ptasi mózdzku.

Kura nie **zwróciła** na niego uwagi i pognała dalej, wpadając na starannie ustawione tyczki, przygotowane do sadzenia fasoli. Tyczki przewróciły się z najgłośniejszym łoskotem, jaki Merrin w życiu słyszał, i po chwili rozległ się odgłos biegnących kroków.

W drzwiach po drugiej stronie izby pojawiła się sylwetka potężnej kobiety o wyglądzie matrony. Merrin schował się za stosem skrzynek.

Kwoczko! - wykrzyknęła kobieta i przebiegła tuż obok chłopaka. W mroku potknęła się o kurę, po czym pospieszywie ją podniosła. - Głupia kura. Chodź, pora na twoje śniadanie, skarbieńku.

„Chyba raczej pora na moje śniadanie”, pomyślał Merrin, gdy, że przytulają i karmią jakąś starą kurę, podczas gdy on, głodny, kryje się w cieniu. Miał pewność, że gdyby kobieta potknęła się na nim, a nie na kurze, skutek nie byłby takim samym. Wstrzymał oddech, gdy przeszła tuż obok. Jego ciemnoszare oczy śledziły kobietę, aż ta zniknęła za drzwiami, rozplywając się w blasku słońca. Później, niczym czarna błyskawica, chłopak doskoczył do pieca, naciągnął rękawy na dłonie, otworzył drzwiczki i wyciągnął duży, okrągły bochen chleba.

- A... aaa... aaaa! - jęknął pod nosem, przestępując z nogi na nogę, gdy bijące od chleba wilgotne gorąco przedostało się pod rękawy. Podrzucając bochen niczym wielki, gorący kartofel, wybiegł przez najbliższe drzwi, przemknął za tyłem chaty i znalazł się na podwórzu. Drogę zagradzała mu gromada kur, karmionych przez kobietę, której chlebem żonglował. Kury podniosły jazgot i kobieta popatrzyła przed siebie.

- Hej! - krzyknęła.

Merrin zatrzymał się, niepewny, co robić. Czy powinien się odwrócić i pobiec z powrotem do gospodarstwa, narażając się na spotkanie z mężem kobiety albo jakimś krzepkim parobkiem? A może należało popędzić prosto przed siebie, by wydostać się na drogę?

- To mój chleb - stwierdziła kobieta, zmierzając w jego stronę.

Merrin opuścił spojrzenie na bochen, jakby zdziwił się jego widokiem. W końcu podjął decyzję i ruszył przed siebie,

prosto na kury. Ptactwo **rozbiegło** się na boki, wszczynając ogromny harmider. **Wokół** fruwały pióra, gdy Merrin przedzierał się przez gromadę drobiu, rozdając po drodze **kilk** celnych kopniaków.

Po kilku chwilach był już na drodze. Nie przestawa szybko biec. Obejrzał się i zobaczył kobietę, stojącą po środku drogi i wygrażającą mu pięścią. Wiedział, że jest **już** bezpieczny. Nie goniła go.

Czegoś jednak nie zauważył - po części dlatego, że Stworów nie widać zbyt dobrze w jasnym, dziennym świetle, **ale** głównie dlatego, że nie spodziewał się widoku Stwora. Ten zaś sunął wzdłuż krzewów w pewnej odległości za chłopakiem niczym strumień brudnej wody.

Biegając przed siebie i ściskając chleb, który stał się teraz przyjemnie ciepły, Merrin nie zobaczył czegoś jeszcze: brązowego szczura, przycupniętego w trawie przy skraju drogi. Szczur za to zobaczył **Merrina** wystarczająco wyraźnie. Stanley, były Szczur Poczty i były Tajny Szczur nie miał najmniejszego zamiaru zbliżyć się do Merrina, a zwłaszcza do jego prawego buta. Ale stare nawyki z Tajnych Służb trzymały się mocno, a gryzoń był bardzo ciekaw, dokąd też chłopak zmierza. Tym bardziej, że w jego opinii chłopak ów przynosił tylko kłopoty.

Stanley spędził właśnie parę tygodni z Humphreym, swoim dawnym szefem ze Urzędu Szczurów Poczty, który uciekł z Zamku jakieś pół roku temu, po pojawieniu się Szczurobójców. Wprawdzie Humphreyowi podobała się emerytura na stryszku z jabłkami w niewielkim gospodarstwie, gdzie wytwarzano cydr, i nie miał najmniejszego zamiaru wracać, próbował jednak namówić **Stanleya** do ponownego uruchomienia Urzędu Szczurów Poczty. Stanley obiecał, że przemyśli propozycję.

Teraz patrzył, jak Merrin przystaje na rozstaju dróg, chwilę gapi się na wyryte w kamieniu drogowskazy, a z tym samym rażnym krokiem rusza w stronę Zamku. Szczur obserwował idącego drogą chłopaka. „Skoro tacy ludzie idą do Zamku”, pomyślał, „Szczur Pocztowy może się okazać bardzo potrzebny”. Zawarł pakt z samym sobą: będzie ślepiem Merrina i posłucha Humphreya, jeśli chłopak naprawdę pójdzie do Zamku.

A zatem dwie bardzo różne istoty podążały za Merrinem, a ten szedł krętą dróżką przez pola uprawne. Świeżo wzięta wolność dodawała mu skrzydeł, więc poruszał się szybko i gdy zaczął zapadać zmierzch, widział już w oddali domek. Zmęczony, minął ostatnie gospodarstwo przed rzeką. Tęsknie popatrzył na zapalone świece w oknach domostwa i na rodzinę, zasiadającą do kolacji, ale szedł dalej, nie zbaczając ze szlaku w małym lasku. Za kolejnym zakrętem drzewa nagle się skończyły. Stał nad brzegiem rzeki. Oszołomiony, położył się na trawie i patrzył. Nigdy w życiu nie widział czegoś takiego.

Po drugiej stronie szerokiej, powolnej wody, ku nocnemu niebu wznosiła się wielka ściana światła, odbijających się migotliwie w ciemnym nurcie. Za światłami majaczyła bryła Zamku. Merrin wiedział, że w środku przebywają tysiące ludzi - każdy z nich miał własne światło, wiódł swoje życie i załatwiał swoje sprawy, nie zaprzatając sobie głowy chłopcem, siedzącym na drugim brzegu. Nagle Merrin poczuł się bardzo mały i samotny.

Gapił się na światła, powstrzymując pragnienie, by je policzyć - bardzo lubił liczyć różne rzeczy - i wkrótce jego oczy zaczęły dostrzegać więcej szczegółów oraz kształtów, które znajdowały się dalej. Widział wysokie mury Gmaszyska,

które zdawały się ciągnąć wzdłuż rzeki całymi kilometrami. W nadszeregowej ciszy jego uszu dobiegł niosący się po wodzie gwar i śmiech. Ujrzał opuszczone pomosty starych przystani i kontury kilku gnijących statków. A potem, oczami szeroko rozstawionymi jak u sowy, dostrzegł drabinę światła, migoczących fioletem i złotem, sięgających niemożliwie wysoko, ku niebu. Na jej szczycie widniała złota piramida, rozsiewająca niesamowity, fioletowy blask i rozświetlająca spodnią stronę niskich chmur.

Przebiegł go dreszcz. Wiedział, co to takiego - Wieża Czarodziejów, miejsce, gdzie spędził niegdyś parę nieszczęśliwych miesięcy ze swoim dawnym panem, DomDanielem. Było to zarazem miejsce - na myśl o tym ogarniał go gniew - gdzie przebywał teraz tak zwany Septimus Heap. Bez wątpienia siedział sobie przy ciepłym kominku, jadł kolację i rozprawiał o sprawach Czarodziejów, a inni go słuchali, jakby jego słowa miały jakiegokolwiek znaczenie. „Ale już niedługo”, pomyślał Merrin. Przeciągnął palcem po zimnej powierzchni Dwustronnego Pierścienia, który tkwił - wciąż nieco zbyt ciasno - na jego lewym kciuku. Uśmiechnął się.

Nagle zerwał się z wilgotnej trawy i ruszył pędem ścieżką. Wiedział, że aby dostać się do Zamku, musi zaczekać do świtu, kiedy to opuszczano most zwodzony, należało więc znaleźć miejsce na nocleg. Trzymając się ścieżki, oddalił się od rzeki i szedł przez błotniste pola, otoczone wysokim żywopłotem. Przebywszy ostatnie poletko, ujrzał przed sobą światła tawerny „Pod Wdzięczną Flądrą”. Jego dłoń zacisnęła się na sakiewce z pieniędzmi Simona, którą zabrał i niósł w kieszeni. „Pora”, pomyślał, „wydać trochę ciężko zarobionej gotówki”.

Stanley patrzył, jak Merrin otwiera drzwi tawerny i wcho-
dzi w ciepły, przytulny blask. Sprawa nie budziła wątpliwo-
VI: chłopak zmierzał do Zamku. Tawerna miała zasłużoną
inię miejsca nawiedzonego. Nie chciał się tu zatrzymy-
ać nikt z wyjątkiem podróżnych czekających na poranek
I podniesienie mostu zwodzonego.

Szczur pobiegł w swoją stronę, a tymczasem Stwór zbli-
żył się do drzwi tawerny. Nie zapuścił się jednak do środka.
Wtopił się w ciemny kąt na ganku. Tam opadł na jedną
ław, które stały po bokach, nie wypuszczając z rąk worka
kości. Na wymizerowanym obliczu Stwora nie malowało
nie zadowolenie, nie był też jednak zły.

Gdyby ktoś kiedyś zapytał Stwora, jak sobie wyobraża
fajne wieczorne wyjście - czego, o dziwo, nikt nigdy nie
uczynił - zapewne Stwór na pierwszym miejscu umieścił-
by siedzenie przed nawiedzoną tawerną z workiem kości
Nekromanty.

POD WDZIĘCZNĄ FLĄDRĄ



Merrin nie wiedział, ile ma lat. W istocie zbliżały się jego trzynaste urodziny, ale niepewne wejrzenie sprawiało, że wydawał się znacznie starszy. Niedawno urósł, a świeżo uzyskana niezależność dodała mu pewności siebie. Ze świadomością, że pieniędzy wystarczy mu na wiele dni, wkroczył do tawerny „Pod Wdzięczną



7



Flądra”. Najbardziej szorstkim głosem, na jaki było go stać, zamówił kolację i poprosił o nocleg.

Kilka minut później siedział przy trzaskającym ogniu, a przed nim na stole stał kufel ciemnego piwa. Żałował, że nie miał dość odwagi, by zamówić lemoniadę. Był cichy, niedzielny wieczór i jeśli nie liczyć paru rolników, targujących się o cenę krowy, Merrin miał niemal całą tawernę dla siebie. Nie należał do chłopców, którym zazwyczaj ukazują się duchy, nie widział więc, że w lokalu aż się od nich roi. Do tego stopnia, że gdy chłopak szedł od kontuaru do ognia, niechętnie Przeniknął przez pół tuzina duchów, zanim te zdążyły ustąpić mu z drogi, co wywołało wśród nich falę narzekań.

Gdy usiadł na - jak mu się zdawało - wolnym miejscu przy kominku, tak naprawdę otaczały go duchy, bo one lubiły w ciemną noc ogrzać się przy ogniu, zupełnie jak żywi ludzie. Jakies pięćdziesiąt lat temu kilku rybaków utonęło tuż przed tawerną po kłótni o to, kto złowił największą rybę, a teraz spierali się nadal. Naprzeciwko Merrina siedziała stara i bardzo blada druciarka, bez końca przeliczająca drobne monety. Zmarła ze starości przy tym samym stole i wciąż jeszcze do niej nie dotarło, że nie żyje. Wokół ognia zgromadziło się sześciu rycerzy, a wszyscy zginęli w dawno zapomnianej bitwie o Most Jednostronny. Gawędzili z kilkoma mleczarkami, one znów zaledwie kilka lat temu zabłądziły podczas śnieżycy w drodze z targu do domu i zamarzły. Na skraju stołu Merrina przycupnęła Księżniczka, która uciekła na spotkanie z ukochanym, schowała się pod drzewem przed nagłą burzą i została trafiona piorunem. Omiatała Merrina żalosnym spojrzeniem, aż ten poruszył się niespokojnie. Pomyślała, że chłopak wygląda jak jej dawno zaginiony ukochany, chociaż tylko trochę.

Nic dziwnego, że „Pod Wdzięczną Flądą” panowała specyficzna atmosfera. Właśnie dlatego przychodzili tu tylko ci, którzy się spóźnili, nie mogli wejść do Zamku i musieli gdzieś przenocować, a także kupcy z Północy, których nie wpuszczano do większości zamkowych karczm. Pierwszym duchem, jakiego zobaczył Merrin - choć nigdy się o tym nie dowiedział - był właśnie duch jednego z owych kupców.

W cieniu, w pewnej odległości od zgromadzenia przy ogniu, siedział duch Olafa Snorrelssena, kupca z Północy, który zasnął niegdyś na Moście Jednostronnym i już się nie obudził. Siedział teraz w swoim ciemnym kącie i obserwował Merrina. W chłopaku było coś, co przyciągało jego spojrzenie - to też był podróżny, obcy w nieznanym kraju, zupełnie jak on sam. W nagłym przypływie przyjaznych uczuć Olaf postanowił pierwszy raz Ukazać się żywej osobie.

Ruszywszy w stronę Merrina, zerknął w jedno z ciemnych lusterek, które wisiały na ścianach tawerny. Pierwszy raz od piętnastu lat zobaczył siebie - a raczej kawałki siebie. Aż nim wstrząsnęło. Olaf stanął przed lustrem i patrzył. Było to bardzo dziwne: wszystkie krawędzie znajdowały się na swoich miejscach, ale pośrodku ziało paskudny otwór, przez który widział na wylot. Czubka głowy też nie było. Olaf mocno się skupił i powoli Ukazała się reszta jego głowy, wraz ze starą skórzaną opaską i rzadziejącymi jasnymi włosami. Do licha, czy naprawdę aż tak łysiał? Podniósł rękę, żeby przeciągnąć nią po głowie, ale niczego nie dotknął. Ogarnął go nagły smutek. Na chwilę zapomniał, że jest duchem. Teraz jego pamięć przywołała rady, których udzieliły mu inne duchy na temat pierwszego Ukazania się. „Uważaj”, mówiły mu. „Ukazanie się żyjącym przywołuje dawne wspomnienia. Żywi wydadzą ci się zbyt szybko i zbyt

głośni. Poczujesz się przy nich bardziej jak duch niż kiedyś człowiek przedtem". Olaf wziął głęboki wdech i opanował się. Pojawiła się brakująca część jego brzucha, który był lekko zaokrąglony. O tym też nie pamiętał, ale z drugiej strony życia nie przykładał zbytnej wagi do swojego wyglądu.

Gdy duch dotarł do stołu Merrina, w słabym świetle był równie wyraźny jak żywy człowiek. Chłopak podniósł na niego wzrok i Olaf lekko się zdenerwował - nikt żywy nie widział go jeszcze po śmierci.

- Witaj - odezwał się, pierwszy raz od piętnastu lat zwracając się do żyjącego.

Merrin nic nie odrzekł. Olaf, niepewny, co powiedzieć, usiadł naprzeciwko. Nie zauważył wyblakłego ducha druziarki, która z piskiem poderwała się z miejsca, rozrzucając monety po podłodze.

- Oj! Przepraszam panią - powiedział, wstając gwałtownie, a następnie macając dłońmi po podłodze, by pomóc jej pozbiierać pieniądze, co okazało się niemożliwe, jako że stanowiły one część innego ducha. Jeszcze bardziej ją tym oburzył, więc go odepchnęła. Podniósłszy wszystkie monety, wycofała się, mamrocząc coś pod nosem, w ciemny kąt z dala od ognia, gdzie przez kolejne sto lat miała liczyć swoje pieniądze, by się upewnić, że nie zgubiła ani grosza.

- Niech pan nie nazywa mnie „panią”. Nie jestem dziewczyną - warknął Merrin, krzywiąc się. Zastanawiał się, po co ten nieznajomy podszedł do niego, a potem nagle rzucił się na podłogę. Było w nim coś dziwnego, ale chłopak nie wiedział dokładnie, co.

- Oczywiście, że nie jesteś dziewczyną - odparł zmieszany Olaf. - Zdaje się, że jesteś tu obcy? - spytał ze swoim śpiewnym północnym akcentem.

- Nie - powiedział ponuro Merrin. - Wcale nie. Urodzi-
łem się w Zamku. Wracam do domu. 1

- Ach, dom - westchnął tęsknie Olaf. - No to masa
szczęście. Niektórzy z nas nie mogą wrócić do domu.

Merrin popatrzył na mężczyznę z naprzeciwka. Ogorzała
twarz miała miły wyraz, a błękitne oczy patrzyły przyjaźnie.
Chłopak trochę złagodniał. Pierwszy raz ktoś podszedł do nie-
go dlatego, że chciał z nim porozmawiać, i pierwszy raz ktoś
rozmawiał z nim jak z dorosłym, godnym szacunku człowie-
kiem. Było to miłe uczucie. Merrin odważył się na uśmiech. 1

Zachęcony tym uśmiechem Olaf zaryzykował: - Masz **tu**
rodzinę?

- Nie - odparł chłopak, dochodząc do wniosku, że matka
w Porcie się nie liczy. - **Ja...** nie mam nikogo.

Olaf, który pochodził z bardzo licznej rodziny, nie umiał
sobie wyobrazić, jak to jest.

- Nie masz nikogo? - powtórzył. - Zupełnie?

Merrin pokręcił głową.

- **Nie.**

- To gdzie zamieszkaś? Co będziesz robił?

Chłopak wzruszył ramionami. Też się nad tym zastana-
wiał, ale odsunął tę kwestię gdzieś w głąb umysłu.

Olaf podjął decyzję. Gdzieś w Krainie Długich Nocy miał
dziecko, którego nigdy nie widział i nigdy nie zobaczy.
Nieważne, że z jakiegoś niezrozumiałego powodu był pe-
wien, że to dziewczynka. Stwierdził, że musi być w tym sa-
mym wieku, co chłopak. Skoro nie mógł pomóc własnemu
dziecku, spełni dobry uczynek wobec innego.

- **Jutro** zaprowadzę cię do Zamku i pokażę dobre miejsce,
w którym możesz się zatrzymać - zaproponował. - Dziś no-
cujesz tutaj?



Merrin pokiwał głową.

I pewnie przebyłeś długą drogę? - Olaf czuł się coraz Irpiej w nowej sytuacji.

- Całą drogę z Pustkowia. Nigdy nie chcę tam wrócić.

- Stamtąd pochodzi twoja rodzina? - spytał Olaf.

A skąd. Traktowali mnie jak służącego. Albo gorzej. Wykorzystałem pierwszą okazję, żeby się wymknąć.

Olaf ze współczuciem skinął głową. Pomyślał, że chłopak miał ciężkie życie. Najwyższa pora, by ktoś podał mu pomocną dłoń.

Zachęcony faktem, że tamten poświęca mu tyle uwagi, Merrin zaczął opowiadać swoją historię.

- Już raz uciekłem, ale skończyłem wtedy na mokradłach u starej, stukniętej wiedźmy, która kazała mi jeść węgorze i kanapki z kapustą.

- Niezbyt smaczne - mruknął mężczyzna.

- Obrzydliwe. Żeby się od niej wyrwać, podjąłem pracę u Simona Heapa, ale to było jeszcze gorsze. Trafiłem z powrotem w to samo okropne **miejsce**, w którym się wychowałem. Nie mogłem w to uwierzyć. Jeszcze parę tygodni temu myślałem, że zostanę tam na zawsze z **Heapem** i tym workiem kości.

- Workiem kości? - powtórzył Olaf, sądząc, że coś źle zrozumiał.

- Tak. To był dawny szef Simona. I mój. **DomDaniel**. Mieszkał w worku, dopóki wczorajszej nocy go nie wysypałem.

- Wysypałeś? - Tym razem Olaf był już pewien, że źle zrozumiał.

- Tak. Wziąłem jego pierścień. Chce pan zobaczyć?

Nie czekając na odpowiedź, zamachał kciukiem przed twarzą ducha.

- Teraz jest mój - oznajmił. - Zasłużyłem na niego. Przekopywanie się przez te wszystkie kości nie było zbyt miłe. Na niektórych były chrząstki. I śluz. I były giętkie. Fuj. Ale ściągnąłem mu go z kciuka. Odciałem koniuszek, cha, cha. Wtedy dopiero zwolnił. Wie pan, że kostki kciuka wyglądają zupełnie jak kostki palca u nogi?

Olaf niepewnie pokiwał głową. Najwyraźniej chłopak nie do końca był tym, za kogo go wziął. Zaczął żałować swojej wcześniejszej propozycji. To, co powiadali o żywych, okazało się prawdą: byli wśród nich prawdziwi dziwacy. I oczywiście musiał na takiego trafić, gdy tylko pierwszy raz się komuś Ukazał. Przed dalszymi opowieściami o kościach ocaliła go szynkarka, która przyniosła Merrinowi kolację: duży talerz kiełbas, ułożonych na kopcu gniecionych ziemniaków.

- Zostawię cię, jedz spokojnie - powiedział, podnosząc się szybko, gdy tylko kobieta z hukiem postawiła talerz przed chłopakiem. Merrin skinął głową. Ucieszył się, bo nie chciał dzielić się posiłkiem z nieznanym. Wbił widelec w dużą kiełbasę. Olaf skrzywił się i pomyślał, że kiełbasy wyglądają jak kości kciuka. Wyobrażał je sobie w worku. Z pierścieniami.

- No to do jutra - rzucił chłopak z pełnymi ustami.

- A. Do jutra. Tak, spotkamy się jutro - odrzekł ponuro mężczyzna. Zawsze dotrzymywał obietnic.

- Dobra - powiedział chłopak, podnosząc wzrok znad drugiej kiełbasy, nadzianej już na widelec. Pomieszczenie jednak było puste. Rolnicy wyszli, podobnie jak wysoki, jasnowłosy nieznajomy.

DO ZAMKU

Podczas gdy **Merrin** próbował przyjąć wygodną pozycję na nierównym łóżku w tawernie „Pod Wdzięczną **Flądą**”, Stanley zakopywał się w słomie, którą znalazł w szczurzej norze pod podporą mostu zwodzonego. Miejsce cieszyło się popularnością wśród wracających



do Zamku szczurów, bo można się tu było bezpiecznie przespać, czekając na świt i opuszczenie mostu.

Stanley martwił się, że nora może się już okazać pełna. W przeszłości już parę razy tak się zdarzyło i musiał nocować

na pobliskim niewygodnym drzewie, które jednak zadowolone wolał od nawiedzonych kuchni „Pod Wdzięczną Flądrami”. Mając nadzieję, że się nie spóźnił i że znajdzie dla niego miejsce, zsunął się po rzeczonym brzegu i wszedł do dobrze ukrytej nory. **Zdumiał** się, odkrywając, że jest w niej jedynym szczurem. A potem przypomniał sobie, dlaczego. Szczurobójcy.

Jakieś pół roku temu Stanley i jego żona, Dawnie, **le-**two umknęli Szczurobójcom. Gdy dotarli do względnie bezpiecznego Portu, Dawnie zaczęła rozpowiadać coraz bardziej dramatyczną historię ich ucieczki. Mrozące krew w żyłach opowieści były tym, co społeczność gryzoni lubiała najbardziej. Wieść rozniosła się lotem błyskawicy, skutkiem czego żaden szczur przy zdrowych zmysłach nie zapuszczał się już do Zamku. Stanley pomyślał, że nie wszystkie szczury mają taką wiedzę o bieżących wydarzeniach, jak on. A on wiedział, że Szczurobójców od dawna już nie ma. „I bardzo dobrze”, pomyślał. Wszedł w głąb ciepłej, zatęchłej nory, aż znalazł się na jej krańcu i zagrzebał w starej słomie.

Pozbawiona żywych stworzeń, Szczurza Nora nie była miłym miejscem. Stanley należał do osobników towarzyskich i niczego nie lubił bardziej niż plotkowania z innymi Szczurami Pocztowymi. Smuciła go samotność w miejscu, które niegdyś tak tętniło życiem. Próbował skubnąć na wpół zgniłą rzepę, bo zostawił ją **tutaj** jakiś inny szczur, ale myśl o Dawnie i Szczurobójcach odebrała mu apetyt. Zmęczony i obolały po długiej drodze, z cichym jękiem wyciągnął łapki, ziewnął i szybko usnął. Wkrótce przez Fosę poniosło się szczurze chrapanie, ale nikt go nie usłyszał, nawet członkowie rodziny Gringe'ów, mieszkających przy bramie po drugiej stronie.

cych po jej delikatnych stópkach szczurzych łapek, bardzo ją wzburzyło. W jednej chwili zdołała wrzasnąć, złapać miętę i przyłożyć nią z łoskotem w znikający ogon Stanleya.

Stanley pomknął przed siebie i skierował się do najbliższego kanału, który po nocnym deszczu nie należał do najprzystępniejszych miejsc. Okazał się w dodatku zablokowany.

- Szczur, szczur! - dobiegły go krzyki pani Gringe.

- Gdzie? - warknął jakiś głos.

- W kanale. Łap go, Gringe!

Uwięziony w pułapce Stanley nasłuchiwał ciężkich kraków stróża nad swoją głową. W ostatniej chwili wziął głęboki wdech i zanurzył się pod wodę.

Gringe ukląkł i zajrzał do kanału.

- Nic nie widzę. Jesteś pewna?

- Pewnie, że tak. Widziałam go na własne oczy.

- Aha. No, nie wiem. - Mężczyzna wpatrywał się w brudną wodę. - Wiesz - odezwał się powoli - kiedy krzyczysz, ciągle mi się wydaje... Ciągle mi się wydaje, że kłócisz się z Lucy. To były piękne dni...

- Nie zawsze się kłóciłyśmy - odparła z westchnieniem pani Gringe. - No, tylko o tego chłopaka od Heapów.

Stanley miał wrażenie, że zaraz wybuchną mu płuca. Z jego pyszczka dobył się mały pęcherzyk powietrza.

- Aha - powiedział stróż. - Zdaje się, że ten mały drań schował się pod wodą.

- Chcesz łopatę?

- Tak. Podaj tę dużą. Wyciągnę go i przyłożę mu w łeb. I warto poćwiczyć, gdyby ten młody Heap miał się tu jeszcze I pokazać.

Stanley nie mógł dłużej wstrzymać oddechu. Z kanału trysnął strumień cuchnącej wody i wyskoczył przemoczony

zur. Gringe parsknął i cofnął się o parę kroków. Zanim
łoczy, Stanleya już nie było - pognał w labirynt uliczek
ułków, prowadzących z Bramy Północnej w głąb Zamku.
Tuż przed bramą Pałacu wziął szybką i zimną kąpiel
końskim korycie. Kąpiele nie należały do ulubionych
nności szczurów i Stanley nie pamiętał, kiedy kąpał się
tadni raz, ale gdy jakiś szczur wybiera się do Pałacu, musi
się postarać.

Tymczasem w tawernie „Pod Wdzięczną Flądrami” Merrin
nie starał się w ogóle. Olaf Snorrelssen od paru godzin cze-
kał, aż chłopak się obudzi, przez cały ten czas narażając się
na gniewne uwagi druciarki. Merrin zlął w końcu na dół
tuż po dziesiątej, wyciągnięty z łóżka przez właścicielkę,
która chciała odzyskać pokój.

Olaf, pamiętając o obietnicy, której załował, wyłonił się
z cienia i Ukazał.

- Mam cię zabrać do Zamku, tak? - spytał duch z nadzie-
ją, że chłopak odmówi. Niestety, nie odmówił.

- Tak. Wynieśmy się z tej nory - warknął Merrin.

Olaf poprowadził go przez Most Jednostronny i znajo-
my smutek, który ten most w nim wzbudzał, ogarnął go
niczym obłok. Obłok ten nie rozwiązał się, gdy znaleźli się
po drugiej stronie. Olaf prowadził mediacje w sporze, któ-
ry chłopak wszczął ze stróżem bramy - ten też był w złym
nastroju, a w dodatku pachniał nie najładniej. Potem ruszyli
do Gmaszyska, istnego labiryntu, do którego kiedyś, jako ży-
wy mężczyzna, odczuwał wielki sentyment. Wiodąc Merrina
przez wąskie i nieraz zatłoczone przejścia, nie mógł oprzeć
się wrażeniu, że ktoś ich śledzi. Ale za każdym razem, gdy
się oglądał, widział tylko uciekające cienie, które nie były

niczym niezwykłym w tych mrocznych, krętych zaułku
Chcąc koniecznie dotrzymać słowa, duch poprowadził chł
paka w głąb Gmaszyska. Zawiódł go do niewielkiej gospod;
gdzie sam zatrzymywał się wiele lat temu i zachował mi:
wspomnienia.

Później pomyślał, że popełnił błąd. Merrinowi miejsce s:
nie spodobało. Chłopak stwierdził, że to ohydna nora
usłyszał cenę za pokój, nazwał właścicielkę, miłą kobiet
starą, pazerną ropuchą. Olaf postanowił Ukazać się kobi
cie i przeprosić, ale to także był błąd. Ze zdenerwowani
pomylił się. Na widok pojawiającego się nagle, niekomplet
nego ducha, kobieta wrzasnęła i zatrasnęła drzwi, któr
Przeniknęły przez jego stopę, co bardzo źle wpłynęło na j
go samopoczucie. Gdy się otrząsnął, Merrina już nie był
Olaf z ulgą wyszedł z gospody, nie zważając, że częściowi
Ukazuje się innym, czym sprawia nieliczne zamieszanie. P
koniec dnia, wróciwszy bezpiecznie do ulubionego lokal
duchów, zwanego Dziurą w Ścianie, postanowił już nigd
nikomu się nie Ukazywać. To było czyste szaleństwo.

Stanley pomknął w górę po tylnych schodach Pałacu.
Chociaż nigdy nie odwiedzał górnego piętra budowli, t
jako były Szczyrki Pocztowy znał jej rozkład - musiał się g
nauczyć, przygotowując się do egzaminów. Ominąwszy sta
rego ducha rycerza, który stał na straży - i który zamachnął
się na niego swoją jedyną, zbrojną w miecz ręką - Stanie
wdrapał się na gobelin przy jakichś dużych, podwójny
drzwiach. Przecisnął się przez pełną pajęczyn szczyrki
dziurę na górę i spojrzał w dół. Od posadzki dzieliła go
spora odległość. Czekał przez chwilę, zbierając w sobie od
wagę przed skokiem. Daleko w dole, przy ogniu, siedział

Jenna, Księżniczka i dziedziczka Zamku. Obok niej leżał pomięty list. Szczur nie mógł go przeczytać z takiej odległości, ale Jenna znała już jego treść na pamięć. List brzmiał następująco:

Doręczył osobiście z Wieży Czarodziejów: B. Catchpole.

Odbiór w Pałacu: 7:30.

*Nadawca: Septimus Heap, Uczeń Marcii Overstrand,
Czarodziejki Nadzwyczajnej*

Droga Jen,

Możemy się dziś w południe spotkać u Marcellusa?

Właśnie dostałem od niego wiadomość! Bardzo dobrą.

Chyba nareszcie coś sobie przypomniał. Chce nam

pokazać jakieś rzeczy Nicka i mówi, że być może istnieje szansa na jego powrót!!! Do zobaczenia.

Sciskam,

Septimus

Jenna była tak rozemocjonowana, że ledwie mogła usiedzieć na miejscu, a co dopiero czekać do południa. Po kolejnym smutnym śniadaniu z Sarą Heap uciekła do swojej komnaty i próbowała robić coś pożytecznego dla zabicia czasu. Nieświadoma, że obserwuje ją z trudem utrzymujący równowagę szczur, czytała z zacięciem dużą księgę.

Wysoko nad nią Stanley wziął głęboki wdech i rzucił się w powietrze. Wylądował na łóżku Jenny, odbił się wysoko w powietrze, spadł na dywanik przy kominku i skręcił kostkę.

–Uch! – jęknął, potoczył się w przód i walnął głową w wiadro na węgiel.

Jenna skoczyła na równe nogi.

- Stanley? - wykrzyknęła.

Szczur pospiesznie wstał, skrzywił się i zasalutował.

- Do usług, Wasza Wysokość.

- **Jeszcze** nie „Wasza Wysokość” - odparła dziewczyna.

Dopóki nie włożą mi na głowę tego. - Zrobiła kwaśną minę i **pokazała** ręką piękną, choć prostą koronę, spoczywającą na kominku, na poduszce z czerwonego aksamitu.

- Oooh - westchnął nieco onieśmielony Stanley.

Wydaje się bardzo ciężka. Nie chciałbym jej nosić **cały** dzień.

- Też nie będę jej nosić cały dzień - stwierdziła. - I ni mam zamiaru jeszcze jej wkładać. Wiesz, **Stanleyu**, zawsze pojawiaasz się wtedy, kiedy najmniej się ciebie spodziewam. Jak się masz? I jak Dawnie?

- U mnie wszystko w porządku - odparł szczur.

U Dawnie na pewno też. W końcu bardzo o to dba.

- Aha - powiedziała Jenna. - Czyli dobrze wam się układa?

- Nie, Wasza Wysokość. Ale rozstaliśmy się w przyjaźni. No, przynajmniej kiedy odchodziłem, wydawało mi się, że Dawnie wygląda przyjaźnie. Chyba. Chociaż jadła akurat naleśnika, a to zawsze wprawia ją w dobry **nastrój**.

- Oj, bardzo mi przykro.

- A mnie nie - odrzekł zwięźle szczur.

- **To... ee...** co teraz porabiasz w życiu? - spytała.

- Mam co robić. Nie mogę narzekać. Odwiedzam **starych** przyjaciół, nadrabiam zaległości, wiesz, jak to jest. Pracowałem akurat jako wolny strzelec, wykonywałem misję na Pustkowiu.

- Okropne miejsce - wzdrygnęła się Jenna.

W pełni się zgadzam, Wasza Wysokość. I wolałbym **no-
nie** natknąć się na tamtejszych mieszkańców. Właściwie
ogóle nie chciałbym się na nich natknąć. Ale teraz zostają
Powiadają, że nie **ma jak** w domu. Chciałbym złożyć
pewną propozycję, jeśli mnie wysłuchasz. To znaczy,
le nie jesteś zajęta. Ale jeśli jesteś, mogę przyjść **później**.
i pewno trudy i troski Królowej to duży ciężar dla twoich
lodych barków i...

Czytam i tyle. Dopiero później mam umówione spotka-
nie. Bardzo ważne, więc chcę wiedzieć jak najwięcej, zanim
pojde.

Bardzo mądrze. Zawsze należy się przygotować. Pokażna
li i woja księga. Sam nie jestem za dobry w czytaniu.

Faktycznie, duża. - Jenna westchnęła. - I skomplikowa-
wana. Czas.

Tak właśnie myślałem. Już czas, żebym wrócił i...

Nie, mówię, że o tym właśnie czytam. **O** czasie.

Niezupełnie. Długo mnie nie było. Ale, jak mówiłem,
chcę przedstawić propozycję, na której możesz skorzystać.
Mogę mówić dalej?

Uśmiechnęła się.

- Zazwyczaj mówisz - stwierdziła, zamykając księgę
i odkładając ją na dywanik. - Usiądź. Możesz przycupnąć
na mojej księdze.

- Ach. Dziękuję, Wasza Wysokość, ale na stojąco lepiej
mi się myśli - odparł Stanley. - Moja propozycja jest na-
stępująca: jeśli łaskawie pozwolisz mi ponownie otworzyć
Wieżę Strażniczą przy Bramie Wschodniej i znowu urucho-
mić Zamkowy Urząd Szczurów Pocztowych, którego tak
wszystkim brakuje, będę zaszczycony, oferując ci roczną
subskrypcję za bardzo preferencyjną **cenę**...

- Dotąd Pałac nigdy nie płacił - przerwała mu.

- Naprawdę? No to przez pierwszy rok bez opłat. Dorzuć też szczura do twojej osobistej ochrony i priorytetowe usługi o każdej porze.

- Dobrze - zgodziła się Jenna. - Bierz się do pracy.

Stanley usiadł na księdze.

- Jesteś pewna? - spytał.

- Tak. Przydałby nam się Urząd Szczurów Pocztowych. Naprawdę go brakuje. Ale nie mam pojęcia, gdzie znajdziesz szczury. Zniknęły, co do jednego. Jesteś pierwszym, jakiego widzę od długiego czasu.

Stanley zerwał się na nogi i znowu zasalutował - niedawno nabrał tego zwyczaju, naśladując pewnego starego szczura okrętowego w Porcie.

- To nie kłopot - stwierdził. - Potrzeba szczura, żeby znaleźć szczura. Będę informował cię na bieżąco, Wasza Wysokość. Twój ochroniarz stawi się w pierwszym możliwym terminie, odolichamaszkota.

Spod łóżka Jenny wyłonił się mały, rudy kot. Choć był niewiele większy od Stanleya, w jego niebieskich oczach zajaśniał stalowy błysk, który szczurowi zupełnie się nie podobał. Ani trochę. Stanley nigdy nie zapomniał kotów i był pewien, że tego już gdzieś widział.

- Ano tak. Opiekuję się nim dla kogoś. Spokojnie, Ullra - dodała, zauważywszy, że kot szykuje się do skoku.

- Muszę przemyśleć propozycję ochrony - stwierdził Stanley, cofając się - skoro mieszka tu kot. Nie mogę narazić podwładnych na niebezpieczeństwo.

Księżniczka podniosła Ullrę i mocno go przytrzymała.

- Nie martw się - powiedziała. - Ullra to najlepsza ochrona, o jakiej mogłabym marzyć.

Stanley omiół kota wzrokiem.

Trochę mały jak na ochroniarza, nie? - spytał. Ułr
Stanley unął pazury i próbował wyrwać się z uścisku. Stanley
pomyślał się pospiesznie. - To ja już pójdę, Wasza Wysokość.
Dziękuję. Do widzenia.

Leuczyna wstała i wypuściła go przez drzwi.

W porządku, sir Herewardzie - zwróciła się do ducha,
którego znów zamachnął się do ciosu. - To przyjaciel.

Stanley czmychnął korytarzem, zwinnie zbiegł po krętych
schodach Pałacu i z wysoko podniesioną głową wyszedł
przez główne wrota. W jego głowie wciąż rozbrzmiewały
słowa Jenny. Był przyjacielem. Przyjacielem Księżniczki
z królewskiego rodu.

Szkoda, że Dawnie go teraz nie widziała.

ZASTĘPSTWO



Beetle, Urzędnik i Inspektor spc
Numeru Trzynastego przy **Brami**
Czarodziejów, gdzie mieś
ło się Magiczne Skryptorium
i Przedsiębiorstwo Badania
Czarów, nie **miał** dobrego
dnia. Był wietrzny, deszczo-
wy poniedziałkowy poranek
i **Jillie Djinn**, Naczelną Skryba
Hermetyczna, zostawiła wszyst-
ko pod jego opieką.

Z początku Beetle był
zachwycony. Spotkał go
duży zaszczyt, bo panna

Ile Djinn starannie dobierała sobie zastępców, nawet tylko na godzinę, i zwykle powierzała obowiązki **najstarszemu krybie**. Tego ranka jednak wbiła w chłopaka swoje budzące **dreszcz** spojrzenie - zawsze w takich razach zastanawiała się, co zrobił źle.

Beetle, odpowiadasz za wszystko - oznajmiła. - Jeśli gdzieś ktoś w sprawie pracy, wypełnij formularz, spotkam się z nim po południu. Wróć za godzinę. Nie wcześniej. Nie później.

Następnie, szeleszcząc ciemnoniebieską szatą z jedwabiu, panna Djinn wyszła.

Beetle zamknął drzwi, co utrudniał wiejący wiatr, i zaczął pogwizdywać powolną melodię. Powstrzymał ochotę, wpaść w amok i wrzeszczeć: „Moje! Wszystko moje!”. **Radolił** się zerknięciem do samego Skryptorium, gdzie **chyba** panował porządek. I tak było. Dwudziestu skrybów - o jednego mniej niż zwykle - siedziało przy wysokich pulpitych pod dwudziestoma źródłami słabego światła. **Rozbrzmiewał** chrobot piór, gdy kopiowali najróżniejsze **zaklęcia**, formuły, uroki, umowy terminatorskie, diatryby, licencje, zezwolenia, upoważnienia i wszystko inne, czego **mogli** potrzebować Czarodzieje, a także zwykli mieszkańcy **Zamku**, dysponujący paroma srebrnikami.

Beetle uczcił tymczasowy awans, siadając na swoim obrotowym krześle i kręcąc się na nim raz za razem - co było zabronione - ćwicząc jednocześnie dumną minę nadzorcy. Przez pięć radosnych minut było cudownie, a potem wszystko poszło nie tak.

Trudno uwierzyć, jak wiele kłopotów może się zmieścić w równie krótkim czasie. Zaczęło się od tego, że wysoki, szczupły chłopak w podartej czarnej tunice i **poplamionym**

płaszczu wszedł do środka. Nowy - i niezwykle irytują - kołowrotek **Jillie** Djinn do liczenia klientów przeskocz natychmiast na liczbę trzy, a chłopak zażądał **rozmowy** z Naczelną Skrybą Hermetyczną.

- Wyszła - warknął krótko **Beetle**, dochodząc do wniosku, że nie podoba mu się wygląd przybyłego. - Ja **pełnię** jej obowiązki.

Chłopak omiótł go wzrokiem od stóp do głów i zarechotał.

- A, tak - powiedział. - No, nie **myślę**...

- To widać - odparł **Beetle**, zaskoczony, że mówi **z** pełnię jak Marcia Overstrand. Nieco poniewczasie przypomniał sobie, iż pracownik Skryptorium musi być zawsze miły, i pospiesznie dodał: - **Ekhem**, mogę w czymś pomóc?

- Wątpię. - Tamten wzruszył ramionami.

Beetle wziął głęboki wdech i policzył do dziesięciu.

- Na pewno będę mógł coś zrobić, jeśli mi powiesz, czego chcesz.

- Chcę dostać posadę skryby - odparł chłopak.

Beetle był wstrząśnięty.

- Posadę skryby? - powtórzył.

- Tak - potwierdził tamten. Wyszczrzył się w **uśmiechu**, zadowolony z wywartego wrażenia. - Jak mówiłem, posadę skryby.

- Ale... ale masz jakieś kwalifikacje? - **wymamrotał** **Beetle**.

W odpowiedzi chłopak nachylił się i pstryknął palcami przed jego twarzą. Z czubka jego kciuka wystrzelił **czarny** płomyk.

- To są moje kwalifikacje - odparł.

Beetle z donośnym plaśnięciem opadł na krzesło. Słyszał Mrocznych sztuczkach, lecz dotąd nigdy żadnej nie widział. Ir umknął jego uwadze fakt, że tamten nosi coś, co wygląda na tanią podróbkę Mrocznego Pierścienia Dwustronnego. Ilopak bez wątpienia należał do tych stukniętych dzieł, które uważały, że wystarczy ubrać się na czarno kupić podrabiane Mroczne świcidęłka w Gotyckiej Grocie Gmaszysku, by zostać następnym Uczniem DomDaniela. O całą sytuację młody inspektor obwinał Jillie Djinn. Parę dni temu wywiesiła na drzwiach Skryptorium ogłoszenie o poszukiwaniu nowego skryby. Beetle zaprotestował, ówiąc, że to zaproszenie dla wszystkich dziwaków. Ale nna Djinn postawiła na swoim.

Ku jego uldze, aż do tej chwili nie mieli żadnych kandydów. Próbował namówić znaną ze skapstwa pannę Djinn, opłaciła ogłoszenie w „Magazynie Skrybów i Pisarzy”. Jego ranka zostawił nawet na jej biurku promocyjny cennik loszeń. Teraz jednak wyglądało na to, że spełniły się jego gorsze obawy.

Z westchnieniem wyjął standardowy formularz podania pracę w Skryptorium, polizał koniuszek ołówka i spytał:
Nazwisko?

Septimus Heap - odparł tamten.

Nie bądź głupi - powiedział Beetle.

Nikt nie będzie nazywał mnie głupim! - wykrzyknął Ilopak. - Nikt. Zrozumiano?

- Dobrze, dobrze - mruknął Beetle. - Ale ty nie jesteś Septimus Heap.

Skąd wiesz? - Tamten wyszczerzył się szyderczo.

- Bo znam Septimusa Heapa. I to nie jesteś ty. W żadnym razie.

W ciemnych oczach chłopaka zalśnił gniewny błysk.

- I tu się mylisz. Wiem, kim jestem. A ty tego nie **wiesz**.
Więc w rubryce „nazwisko” na tej swojej karteczce może wpisać „**Septimus Heap**”.

- Nie.

Popatrzyli na siebie. Przybysz pierwszy odwrócił **wzrok**

- No dobra - powiedział. - Tak mnie nazywano. Kiedy

Beetle postanowił udobruchać chłopaka na wypadek gdyby ten stracił panowanie nad sobą. Nie żeby bał **si** porażki w bójce. Chociaż tamten nieco górował nad nim wzrostem, był też chudy i miał słabowity wygląd, **podcz** gdy Beetle cechował się krępką, mocną budową. Młody inspektor nie chciał jednak, by zdemolowano pomieszczenie, zwłaszcza kiedy on za nie odpowiadał.

- Więc jak nazywasz się teraz? - spytał cicho.

Tamten nie odpowiedział od razu. Jego czarne oczy, w których dało się dostrzec zielone plamki, były rozbiegane niczym oczy gada. Beetle miał wrażenie, że tamten wymyśla nazwisko na poczekaniu.

Nie **mylił** się. Merrin pilnie potrzebował nazwiska i chciał, żeby to było coś szczególnego. Nie lubił być Merriner Meredithem. To mu nie pasowało. Zresztą było to **głupie** nazwisko. „Meredith” brzmiało jak imię dla dziewczyny, a „Merrin” wydawało mu się zwyczajnie idiotycznie. Musia wymyślić coś budzącego grozę. Szybko wybrał w **myślach** dwóch najbardziej przerażających ludzi, jakich w życiu poznał: DomDaniela i Łowcę.

Beetle zaczął się niecierpliwie.

- Jak się nazywasz? - powtórzył.

- **Dom...** eee, to znaczy Daniel.

- **DomDaniel?** - Beetle potrząsnął głową.

Nie gadaj głupstw. Powiedziałem „Daniel”. Zrozumia-
?

Beetle z trudem zachował panowanie nad sobą.

- Daniel jak? - spytał.

- Daniel Łowca.

Dobra. Wpiszę „Daniel Łowca”. W porządku? - upew-
nił się z przesadną cierpliwością w głosie.

- Tak.

- Na pewno? Może znowu zmienisz zdanie?

- Słuchaj, tak się nazywam, jasne? Więc pisz - warknął
chłopak.

Beetle stwierdził, że najlepiej będzie możliwie szybko
pozbyć się przybysza, więc pospiesznie wypełnił resztę
formularza. Powstrzymał się od komentarza, gdy chłopak
oznajmił, że ma przynajmniej dziesięcioletnie doświadcze-
nie jako Uczeń dwóch Czarodziejów i umie się posługiwać
Białymi Czarami. Nie wierzył w ani jedno jego słowo.
Zapisałby nawet, że tamten poleciał na Księżyc i z powro-
tem, byle czym prędzej mieć go z głowy.

W końcu formularz był wypełniony. Z pewnym piety-
zmem Beetle nadzieją go na szpikulec z innymi papierzyska-
mi i zaczął czekać na powrót Jillie Djinn.

Chłopak nie zbierał się do wyjścia.

- Już po wszystkim - oznajmił Beetle. - Możesz iść.

- A kiedy mam przyjść na rozmowę?

„O rany”, pomyślał Beetle. Merrin uważnie obserwował
młodego inspektora, który przeglądał kalendarz, czyli dość
opasłą księgę, leżącą na biurku, którą miał obowiązek uzu-
pełniać.

- Dokładnie o drugiej trzydzieści trzy - powiedział. - Ani
minuty wcześniej, ani minuty później.

- No to na razie - rzucił tamten z drwiącym uśmiechem.

- Będę czekał na ponowne spotkanie - odparł spokojni Beetle. - Pozwól, że odprowadzę cię do wyjścia. - Wst otworzył drzwi i patrzył na Merrina, aż ten wysze. Następnie zatrzęsął drzwi z łoskotem, od którego zatrzęs się ściany. W tym momencie rozległ się alarm zbuntowanego zaklęcia.

Alarm zaprojektowano tak, by jak najbardziej działa na nerwy - głośne skrzeczenie akompaniowało piskliwemu nieustającemu dzwonkowi. Beetle nie był pewien, czy kolejna Mroczna sztuczka, czy może naprawdę jakieś zbuntowane zaklęcie wyrwało się spod kontroli, więc posłał do piwnicy czterech ociągających się skrybów, by to sprawdzili. Ale choć z dołu dobiegły głośne łomoty, alarm nie ustawał. Beetle musiał zmierzyć się z buntem pozostałych skrybów, próbujących dalej normalnie pracować. Zrozpaczony, wysł na dół posiłki, złożone z jeszcze dwóch, dobrze zbudowanych skrybów i zasugerował, by reszta poszukała sobie zatyczek do uszu. Sugestia nie spotkała się z dobrym przyjęciem.

W tym momencie pomieszczeniem wstrząsnął donośny huk, dobiegający zza wzmocnionych drzwi, prowadzących do Składu Strasznych Ksiąg. Beetle wziął głęboki wdech i zajrzał tam przez klapkę w drzwiach. W środku trwała dzika walka. W powietrzu fruwały kłaki sierści i pióra. Wiedział, że musi tam wejść, zanim cała księgarnia zostanie wyrócona do góry nogami. Gdy ostrożnie otworzył drzwi, duży i bardzo włochaty „Pajęczy Almanach” natychmiast spróbował się wydostać.

Niestety, Beetle poprosił Foxy'ego - jednego z bardziej nerwowych skrybów - o pomoc w utrzymaniu drzwi. Nie

In dobry wybór. Foxy wrzasnął i zemdlał, przewracając
 Ir duże butle niezmywalnego inkaustu. Atrament rozlał
■ na obliczenia, nad którymi **Jillie** Djinn pracowała przez
 I tygodnie i które Beetle miał dla niej przepisać.
 Wychylił głowę przez drzwi Skryptorium.

Zakłęcie Wymazania! Szybko! - krzyknął. A potem za-
■ rpnął powietrza i wbiegł do Składu Strasznych Ksiąg.
 Wylonił się stamtąd dziesięć minut później. Był poobi-
 y i obolały, ale przynajmniej mu się powiodło. Foxy
■ wciąż leżał jak długi na podłodze, a nad nim przechodzili
■ krybowie, którzy gorączkowo usiłowali znaleźć zakłęcie
 Wymazania, zanim Jillie Djinn wróci. Alarm ciągle dzwo-
■ nił. A Beetle, który posłuchał własnej rady i teraz z uszu
 ■ rzały mu dwie korkowe zatyczki z okrągłymi uchwy-
 ■ tami, opatrywał sobie otarcia, których nabawił się podczas
 ■ zasadzki, którą zgotował „Foryks: Przewodnik terenowy”.
 Pomyślał, że gorzej już być nie może.

Mogło.

Rozległo się nagłe „dzyń” i kołowrotek przy drzwiach prze-
■ skoczył na czwórkę. Do środka weszła Marcia **Overstrand**,
■ Czarodziejka Nadzwyczajna, w łopoczącym na wietrze, fio-
■ letowym płaszczu. Jej ciemne loki były mokre i potargane od
■ zimnego wiosennego deszczu. Zmarszczyła się, słysząc piski
 alarmu, które wdzierały jej się w uszy i najwyraźniej spoty-
■ kały gdzieś w miękkim i delikatnym wnętrzu jej głowy.

- Beetle! - wrzasnęła. - Co tu się, do licha, dzieje?

KRYPTA



W Marcii Overstrand było coś, co sprawiało, że zawsze zdawała się wypełniać całą dostępną przestrzeń - i jeszcze trochę. Beetle cofnął się instynktownie, by zostawić jej więcej miejsca.

- Co to za okropne „dzyń”? - krzyknęła Czarodziejka.

- Nie majej - odrzekł chłopak, myśląc, że pytanie brzmiało: „Gdzie jest ta okropna Djinn?”

- Co?

Beetle z rozpaczą spojrział na zegar. Czy Jillie Djinn naprawdę nie było tak krótko?

- Wróci za trzydzieści minut! - krzyknął.

Marcia miała poczucie, że znalazła się w samym środku jednego z przedstawień w nowoczesnym stylu, jakie widziała kiedyś z Septimusem w małym teatrzyku w Gmaszysku.

Co ci wyrasta z uszu? - spytała.

Beetle przypomniał sobie nagle o zatyczkach i wyciągnął je z uszu. - W tym momencie postanowił...

I Przepraszam - powiedział, podnosząc głos, by przebrzmieć alarm, który akurat w tym momencie postanowił...

Nie musisz krzyczeć - stwierdziła Marcia.

Nie. Eee, przepraszam - wyjąkał. - Czym mogę służyć, Marcio? Zastępuję pannę Djinn, dopóki nie wróci.

A, to dobrze. - Kobieta uśmiechnęła się, jakby z ulgą, i powiedziała Beetle'a.

Mieliśmy ciężki poranek - wyjaśnił. Próbował bezskutecznie wygładzić swoje gęste, czarne włosy, które zawsze się denerwowały, sterczały pod dziwnymi kątami.

Widzę - odparła. - Cóż, każdemu się zdarza.

Naprawdę? - spytał, zaskoczony.

Cały czas. - Marcia westchnęła. - Słuchaj, Beetle, musimy niestety zejść do Krypty.

Z ogromną ulgą, że Czarodziejka Nadzwyczajna tak spokojnie podeszła do sprawy, Beetle poprowadził ją do Skryptorium. Gdy przeszli przez drzwi, oblał ich błysk jednego światła. Tłumek skrybów z krzykiem odskoczył w tył, by po chwili pochylić się do przodu i obejrzeć efekty klęćcia Wymazania. Ze środka grupki rozbrzmiał głośny wrzask.

Aaa, moje nogi! Patrzcie na moje nogi!

Rozległy się okrzyki.

Mówiłem, że to zaklęcie zgniło, ale nie słuchaliście.

Hej, to wielkie muchomory!

- Tak, ogromne.

Teraz twoje nogi wyglądają tak, jak pachną, Partridge.

Grupka parsknęła donośnym śmiechem, a potem jede ze skrybów zauważył stojącą za nimi **Marcie. Szturchn** swojego sąsiada i po chwili zapadła krępująca cisza.

- Dzień dobry, skrybowie - powiedziała Marcia.

- Dzień dobry, pani Overstrand - odrzekli chórem czym grzeczne dzieci w **szkole**.

- Macie kłopoty? - spytała z uśmiechem Czarodziejka.

Nieśmiało pokiwali głowami.

Beetle był zdumiony jej dobrym humorem. Nie zdaw sobie sprawy, że kobieta darzy go szczególną sympatią, od kąd pomógł jej w wyjątkowo ciężkiej sytuacji z agresywn stertą kości. Patrzył z podziwem, jak Marcia pstryka pal **cami** i fioletowym błyskiem Magicznego światła likwiduj imponujące muchomory, które wyrosły ze **stóp Partridge** w efektownej feerii czerwieni, oranżu i krzykliwej żółci Partridge gapił się na swoje buty, w których widniały ter liczne dziury, Marcia zaś Wymazała rozlany inkaust, znó napełniła butle atramentem i przywróciła obliczenia **Jilli Djinn** na miejsce.

Pośród chóru podziękowań - szczególnie gorliwie dzi **kował** Partridge - Czarodziejka przestąpiła nad **leżący Foxym**. Beetle poprowadził ją przez tajne drzwi, **ukry** te wśród regałów Skryptorium, a potem wszedł za ni w oświetlony blaskiem świec, kręty korytarz. Przejście był długie i wiodło stromo w dół, ku kamiennym schodom U ich podnóża znajdowały się żelazne, pełne nitów **drz** - i wojowniczo nastawiony Duch Krypty.

Duch Krypty należał do Starożytnych, czyli duchów ma jących ponad pięćset lat i zamieszkujących starsze części Zamku. Ale w przeciwieństwie do innych Starożytnych nie był szczególnie wyblakły i wciąż odznaczał się mocnym

Miał napastliwy sposób bycia i zaliczał się do najbardziej antypatycznych duchów w Zamku. Duch Krypty chciał się nikomu przedstawić, choć staromodne szaty elnego Skryby Hermetycznego stanowiły pewną wskazówkę. Marcia doskonale wiedziała, kto to taki, Beetle też domyślił - stali przed duchem pierwszego Naczelnego Skryby, który piastował to stanowisko, Tertiusa Fume'a. Choć Beetle szukał informacji o Tertiusie, nie znalazł czego, z wyjątkiem świstka papieru, ukrytego w zawilgłej, starej książce, która podpierała przegniłą nogę regału w magazynie Skryptorium, skąd chłopak ją wyciągnął. Książka jak przypuszczał - stanowiła część starej serii dla dzieci. Nosiła tytuł:

Sto jeden pytań

Które zawsze chcieliście zadać o HOTEPA-RA!

(Pierwszego Czarodzieja Nadzwyczajnego naszego Zamku)

Edycja rozszerzona z odpowiedziami

Chociaż kilka ostatnich stron przeżarła pleśń, Beetle dowiedział się wielu nowych rzeczy. Jedno z pytań brzmiało: *Czy Hotep-Ra miał przyjaciela?*

Odpowiedź zaintrygowała chłopaka: *Tak, miał!!!* (W książce wręcz roiło się od wykrzykników). *Ale, drodzy chłopcy i dziewczęta, nie był to dobry przyjaciel. Ten stary przyjaciel przybył w odwiedziny z daleka i nazywał się Tertius Fume. Na początku Hotep-Ra ucieszył się na jego widok. Świetnie się razem bawili! Hotep-Ra dał swojemu przyjacielowi dom przy Drodze Czarodziejów. Tertius Fume okazał się bardzo sprytny i wkrótce jego dom stał się Skryptorium! Ale chociaż przyjaciel Hotepa-Ra był sprytny, wcale nie był miły! (Pamiętajcie, drodzy chłopcy*

i dziewczęta, że znacznie lepiej być miłym niż sprytnym). Wkrótce Tertius Fume zaczął robić złe rzeczy, o których Hotep-Ra nie wiedział, i dlatego spotkał go Marny Koniec!

Było to jedyne miejsce, w którym Beetle widział nazwisko Tertiusa Fume'a na piśmie - oprócz początku listy wszystkich Naczelnych Skrybów Hermetycznych, wyrytej na pamiątkowej tablicy. Zupełnie, jakby usunięto wszystkie informacje dotyczące go.

Tertius Fume zgromił wzrokiem Marcję i Beetle'a, gdy schodzili po schodach. Nie należał do duchów o miłej powierzchowności. Jego czarne oczy wyglądały niczym szparki w bladej twarzy z długą, siwą bródką. Wąskie, białe wargi, ściągnięte w drwiącym uśmiechu, poruszały się - jak zauważył Beetle - nawet kiedy nic nie mówił. Wydawało się, że przeżuwa jakieś myśli.

- Hasło... - zażądał duch. Jego głęboki, głuchy głos odbiło się echem od wilgotnych, kamiennych ścian, aż zjeżyły się włosy na karku Beetle'a. Ten duch przyprawiał go o dreszcze.

Marcia westchnęła, jakby spodziewała się kłopotów.

- Macka - powiedziała.

- Nie.

- Przestań się wygłupiać - odparła. - Oczywiście, że tak.

- Dlaczego? - Tertius Fume oparł się plecami o drzwi, złoczył ręce i popatrzył na Czarodziejkę z wyższością. Beetle, który zwykle nie był agresywny, miał ochotę wymierzyć porządnego kopniaka.

- Nie mam bladego pojęcia, dlaczego - powiedziała Marcia ze złością - ale nie w tym rzecz. Nie trzeba wiedzieć, dlaczego. Hasło jest i już. A teraz nas przepuść. Macka. Mac-ka.

- Nie. Zmieniłem je.

Nie można zmienić hasła bez uzgodnienia z Komitetem **Haseł**, któremu ja przewodniczę. A ty tego nie uzgodniłeś. Hyla „macka” i tak zostanie.

Ale duże, żelazne drzwi do Krypty wciąż były zamknięte. **Tertius Fume** z rozbawioną miną zerknął na **Marcie**, **MO** czym zaczął oglądać swoje widmowe paznokcie, jakby **Czarodziejka** przestała istnieć. **Beetle** zaczął myśleć, że musi być trochę prawdy w starej opowieści o tym, że **Tertiusa** **zabiła** grupa nielojalnych skrybów.

- W porządku - powiedziała Marcia. - Nie zostawiasz mi Innej możliwości, muszę Obejść zakłęcie. **Beetle**, cofnij się.

- Ach. Tylko sprawdzałem - odparł duch z lekkim pośpiechem. - Przepuszczę cię. Wejdz, tylko nie narób bałaganu.

- Idiota - mruknęła Marcia pod nosem.

Beetle wziął kilka kaganków ze stojaka przed drzwiami i je zapalił. **Czarodziejka** ze złością pchnęła drzwi. Otworzyły się ze skrzypnięciem i po schodach rozniósł się **zapach** wilgotnej ziemi oraz **stęchłego** papieru. Wszedłszy do Krypty, **Marcia** zamknęła drzwi i założyła na nie Alarm. Jeśli **Tertius Fume** zamierzał się podkraść i podsłuchiwać, chciała być o tym uprzedzona.

Marcia wciąż była wściekła na ducha.

- Nie lubi kobiet, w tym problem - wyjaśniła chłopakowi.

Nigdy sobie nie pozwalał na podobne zachowanie za rządów **Althera**, ale odkąd **objęłam** stanowisko, zachowuje się tak za każdym razem. Za każdym. Doprowadza mnie wręcz do szału.

- Nazywamy go Starym Kozłem - oznajmił **Beetle**.

- Naprawdę? - **Marcia** parsknęła śmiechem. - No, to by mu się pewnie nie spodobało. Słuchaj, **Beetle**, poproszę „Żywy Plan Tego, Co Pod Spodem”.

- A, dobrze. - W głosie chłopaka pobrzmiwało zasko-
nie. - Zaraz dam pani krzesło. - Postawił kaganki na mas;
nym stole, który wyglądał tak, jakby wyrzeźbiono go z
mienia, i rękawem starł kurz z siedziska starego krzesła,

Marcia kichnęła. Usiadła i ciasno owinęła się fioleto
płaszczem dla ochrony przed wilgotnym powietrzem

- Aha, Beetle. Mógłbyś przynieść najnowszą Urnę Ucz:
Nadzwyczaj nego?

- Nie ma sprawy. Zaraz wrócę.

Marcia patrzyła, jak płomień kaganka migocze w pod-
dach ze starych przewodów wentylacyjnych, gdy chło-
znikał w najdalszych zakątkach Krypty. Umiał się tu po-
szyć z zamkniętymi oczami - zresztą raz musiał to ro-
podczas egzaminu z Gospodarowania Skryptorium na
ziomie średnim - więc szybko wrócił, ściskając w rękę
dużą urnę w kolorach lapis lazuli i złota. Kaganeł wisi
mu na palcu, a na szczycie urny chwiał się podłużny, owi-
nięty tkaniną cylinder.

Beetle z nadzwyczajną ostrożnością postawił urnę i cy-
linder na stole, a obok umieścił swój kaganeł. W blask
płomienia lapis lazuli migotał pięknym, ciemnoniebieskim
odcieniem, a przecinające kamień złote pasma lśniły cie-
płym połyskiem.

- Mam zanieść to na górę, do Hermetycznej Komnaty
- spytał Czarodziejki.

- Nie, dziękuję ci - odparła. - Nie mam ochoty iść
do Komnaty. Właściwie cieszę się, że nie ma panny Djin:
Chciałabym porozmawiać z tobą na osobności.

- Ze mną? - Beetle aż się zachłysnął.

- Owszem. Ponieważ pełnisz funkcję inspektora. I dlatego
go, że ci ufam.

- Och. Dziękuję. - Oblał się rumieńcem.
- Oczywiście ufam też Naczelnej Skrybie Hermetycznej, bez zastrzeżeń - dodała. - Ale ona ma skłonność do **komplikowania** różnych spraw, o ile wiesz, co mam na myśli. Pokiwał głową. Doskonale wiedział, co miała na myśli. Możesz wyjąć plan, proszę?

Wydobył podłużną, srebrną tubę z wyblakłego materiału, w który była zawinięta. Jej koniec zapieczętowano **lepowym** woskiem, w którym widniał odcisk Amuletu **Echnatona**. Talizman ten, wiszący na szyi Marcii, był symbolem i źródłem mocy Czarodziejów Nadzwyczajnych od czasów samego Hotepa-Ra.

Ze swojego **złoto-platynowego** pasa Czarodziejki Nadzwyczajnej Marcia **odpięła** coś, co wyglądało jak wydłużony, srebrny romb. Mruknęła parę słów pod nosem i na podobieństwo wysuwających się kocich pazurów z rombu **bezglśnie** wystrzeliło lśniące, lekko zakrzywione ostrze. **Beetle** patrzył z fascynacją, jak kobieta przeciąga ostrym nożykiem po wosku, który ustąpił pod jego naciskiem niczym masło. Wyciągnęła gruby zwój papieru i go rozwinęła. Z półki pod stołem chłopak wziął cztery bogato zdobione, złote przyciski do papieru ze srebrnymi uchwyty i umieścił po jednym na każdym rogu.

Marcia wyjęła małe okulary, których używała, gdy musiała patrzeć na coś z bliska. Zaczęła oglądać skomplikowany plan, przesuając palcem wzdłuż Lodowych Tuneli i mrużąc coś do siebie. **Beetle** uprzejmie się odsunął, ale Czarodziejka przywołała go skinieniem.

- Słyszałeś o dwóch duchach z tuneli, braciach, którzy zostali tam uwięzieni podczas Awaryjnego Zamrożenia i od tej pory szukają wyjścia?

- Eldred i Alfred Stone?

- Zgadza się. Wygląda na to, że je znaleźli. Alther... Znasz ducha Althera Melli? Jesteś za młody, żeby go pamiętać, ale to był nasz poprzedni Czarodziej Nadzwyczajny.

- Beetłe pokiwał głową. Ostatnio wiele razy spotykał Althera, gdy Septimus uczył się używać zaklęcia Lotu. - Właśnie Alther widział ich parę nocy temu.

- W sumie - powiedział chłopak - jeśli się nad tym zastanowię, od jakiegoś czasu nie widziałem ich w tunelach.

- Naprawdę? To niedobre wieści. Bardzo niedobre... Aha. Podejdz i popatrz. Tutaj coś się dzieje. - Stuknęła palcem w rozmazane miejsce na planie, które wyglądało jak masa robaków, kłębiących się i wpełzających na siebie nawzajem.

Beetle jeszcze nigdy nie widział Żywego Planu. Kiedy na niego patrzył, był pewien, że przy krawędzi dostrzegł jakiś ruch.

- Widziałeś? - wykrzyknęła Marcia. - Poruszyło się.

- Znowu się rusza - stwierdził Beetle. - Zdaje się, że to wąż pod domem starego Weasala.

- Tak myślałam, że będziesz wiedział, co widzisz. - Beetle, chcę, żebyś to sprawdził. Pilnie - podkreśliła. Wąż i ten rozmazany fragment tutaj... czymkolwiek jest.

Chłopak gwizdnął przez zęby.

- To pod starą Komnatą Alchemii.

Marcia zmarszczyła brwi.

- Myślę - odezwała się - że chyba powinieneś zabrać ze sobą Septimusa. W grupie zawsze bezpieczniej. Przyślę go. Rozumiesz, że to poufne informacje, prawda?

Pokiwał głową.

- Przede wszystkim nie chcę, żeby o wszystkim dowiedział się Duch Krypty. Nie można mu ufać. Pewnie wiesz, kto to taki?

Tertius Fume?

Właśnie. Spodziewałam się, że się domyślisz. Septimus to odgadł. - Uśmiechnęła się czule. - Dobrze, możesz już ożyć Plan. Nie należy go zbyt długo wystawiać na światło. Beetle zaczął zwijać Plan.

Nadal chce pani Urnę Ucznia? - spytał.

Marcia otrząsnęła się z rozmyślań.

Och! Prawie zapomniałam. Tak, poproszę.

Otworzyła urnę i wsunęła rękę głęboko do środka. Wyciągnęła zwój welinu, przewiązany fioleto-zielonymi wstążkami i zapieczętowany fioleto-zielonym woskiem, w którym także odciśnięty był Amulet Echnatona. Marcia sprawdziła podpis, widniejący na zwoju. Młodzieńczego, niepewnego charakteru pisma Septimusa nie dało się pomylić z żadnym innym, ale Marcia zdziwiła się, jak bardzo się zmienił w tak krótkim czasie. Teraz podpis Septimusa wyglądał dostojnie i pewnie, choć był trochę przesadnie skomplikowany. Zadowolona, że ma właściwą urnę, kobieta włożyła umowę z powrotem. Zza pasa Czarodziejki Nadzwyczajnej wyciągnęła przepiękną, maleńką, złocisto-srebrną strzałę. Przez chwilę trzymała ją na dłoni i oboje się jej przyglądali.

- Zakłęcie Lotu Sepa - stwierdził oszołomiony Beetle.

- Tylko po części masz rację - odparła Marcia. - To jest zakłęcie Lotu, ale nie należy do Septimusa. Lot należy do Starożytnych Zakłéc i nie jest niczyją własnością. - Z tymi słowami wrzuciła zakłęcie do urny.

- Och! - wykrzyknął. - Ee... Zrobiła to pani specjalnie?

- Jak najbardziej - odparła. - Septimus musi mieć spokój i zająć się swoją pracą. Ostatnio wszędzie go było pełno. Jak sądzę, był to jeden ze skutków posiadania zakłęcia Lotu. Ludzie stają się od niego niespokojni, nie mogą usiedzieć

w miejscu. Ten nicpoń twierdzi, że **odwiedzał** matkę, ale S powiedziała mi, że od dawna go nie widziała, a ja jej wierzę. Zakłęcie Lotu może tu zostać, aż dorośnie na tyle, żeby **na** nim panować. To nie jest zabawka. Możesz zapieczętować.

Jedną z umiejętności, które Beetle posiadał w Skrypcy, było milczenie. Wiedział, że to odpowiednia chwila, by tę umiejętność wykorzystać. Wyjął świeczkę ze swojej kaganka i postawił ją pod małym trójnogiem, na **któ** stał niewielki mosiężny rondel. Z szuflady wyciągnął nóż i sporą bryłkę fioletowego wosku, którą zaczął skrobać, **t** by skrawki wosku wpadały do rondelka. Oboje patrzyli, **j** powoli się topią, zmieniając się w **ciemnofioletową** kałużę. Beetle bardzo ostrożnie wylał połowę wosku na brzeg **pl**anu, resztę zaś na szczelinę między krawędzią urny a **złot**ą pokrywką. Gdy wosk już niemal stężał, Czarodziejka zdjęła Amulet i przycisnęła go do gęstniejącej masy, pozostawiając charakterystyczny odcisk w kształcie smoka.

Patrzyła, jak Beetle znika w głębi Krypty. Skądś, z zaskakująco dużej odległości, dobiegł ją cichy chrobot lapis lazuli o kamień, gdy odstawił urnę na właściwe miejsce na ciemnej półce z dala od **wścibskich** oczu. Potem rozległ się szcęk zamka, kiedy chłopak włożył „Żywy Plan Tego, Co Pod Spodem” z powrotem do hebanowej skrzynki.

- Udana wizyta? - spytał Tertius **Fume** nieuprzejmym tonem, gdy wyszli z krypty. - Mam nadzieję, że nie ma powodów do alarmu?

- Wiedziałam, że będzie próbował podsłuchiwać - **prychnę**ła z oburzeniem Marcia, podążając za **Beetlem** przez kręty korytarz. - Dobrze mu tak. Umieściłam Żądło w tym Alarmie.

Chłopak zachichotał. „Z **Marcją** lepiej nie zadzierać”, pomyślał.

POKÓJ Z WIDOKIEM



feto

1

Znudzony Stwór powoli obgryzał końce palców, odrywając poczerniałymi zębami długie strzępy skóry. Ze złością patrzył na **swojego** pana - który w jego opinii tylko zajmował miejsce - i przeklinał swojego pecha, z powodu którego musiał się Zrodzić dla takiego głupca. Tymczasem jego pan, nieświadom płynących ku niemu falom pogardy, też zajmował się gryzieniem.

Merrin oparł się nonszalancko o starą wieżę zegarowi naprzeciwko Pałacu i zajadał lukrecjowego węża, rozkoszując się pierwszą słodkością, jakiej w życiu skosztował. Po sprzeczce w Skryptorium, Merrin wrócił do Gmaszyska i odkrył Czynną Cały Dzień i Całą Noc Cukiernię Mamy Custard, mieszczącą się w odległym zakątku Zamku przy Zaułku Wafelkowym obok starego doku. Podczas gdy Stwór z workiem kości wałęsał się na zewnątrz, wydzielając nieprzyjemne opary, które odstraszały klientów, Merrin bardzo długo gapił się na słodycze. Mama Custard, nawykła do klientów, całymi godzinami wybierających pomiędzy kostkami cytrynowymi a szczypiącymi dropsami, w ogóle mu nie przeszkadzała. W końcu chłopak wybrał lukrecjowego węża, bo kojarzył mu się z czarnym wężem, którego trzymał Simon Heap. Merrin zawsze się zastanawiał, jak też smakuje wąż.

Rozkoszował się lepką słodyczą w ustach. Podniósł wzrok na okna w Pałacu - długiej, starej budowli - i zaczął je liczyć. I właśnie wtedy przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Po co tracić pieniądze na wynajem pokoju? Pomyśleć, ile lukrecjowych węży mógłby kupić za tygodniowy czynsz. Tak czy owak, przynależał do Zamku, więc miał prawo mieszkać, gdzie tylko chciał. A czy mógł znaleźć lepsze miejsce niż Pałac? Z pewnością siebie przełknął ogon węża. Sprawa rozwiązana.

Merrin dobrze sobie radził ze znajdowaniem wejść do różnych miejsc - zwłaszcza tych, do których wchodzić nie powinien. Z łatwością więc przekradł się niezauważony wąską, otoczoną wysokim murem alejką, wiodącą wokół terenów Pałacu ku małym drzwiom w murze kuchennego ogródka. Drzwi jak zwykle stały otworem. Sara Heap nie

zamykała ich, by jej przyjaciółka, Sally Mullin, mogła wpaść na poranne pogaduszki, zanim w prowadzonym przez nią lokalu zacznie się popołudniowy ruch.

Chociaż Merrin zaplanował sobie, że pewnego dnia będzie miał cały Pałac do swojej dyspozycji - tak jak niegdyś zastępca DomDaniela, Najwyższy Obrońca - na razie sprawy miały się, niestety, inaczej. Śledzony przez Stwora, wkradł się przez otwarte drzwi do ogródka kuchennego.

Ogródek mu się spodobał. Odpowiadał jego zamiłowaniu do porządku. Było to jedyne miejsce, gdzie Sara Heap wymywała ład. Okalał go wysoki mur z czerwonej cegły, trawiaste ścieżki biegły między starannie utrzymanymi grządkami, gdzie Sara siała wczesną sałatę, groch, fasolę i różne inne warzywa, których Merrin nawet nie rozpoznawał, a tym bardziej nie znał ich smaku. Wszystkie ścieżki prowadziły ku dużej studni w centrum ogródka, z której Sara wyciągała wodę do podlewania upraw. Po przeciwległej stronie znajdował się niski, ceglany łuk, za którym Merrin dostrzegł zadaszone przejście.

Trzymając się blisko muru, ostrożnie ruszył po trawiastej ścieżce, powstrzymując ochotę, by policzyć wschodzącą sałatę. Gdy dotarł do łuku, nie mógł uwierzyć w swoje Nczęście. Na końcu zadaszonego przejścia znajdowały się uchylone drzwi, wiodące prosto do Pałacu. Nowy dom zapraszał go do środka.

W tym momencie chłopak poczuł na swoim karku jakiś oddech. Już od dłuższego czasu wydawało mu się, że jest śledzony. Czuł to przed tawerną „Pod Wdzięczną Flądą”, potem znowu, gdy wyszedł ze Skryptorium, a już zwłaszcza po wyjściu z cukierni - coś na niego czekało, ale za każdym razem, gdy się oglądał, niczego nie widział. Teraz jednak

zyskał już pewność. Odwrócił się na pięcie i przyłapał Stwora.

- Mam cię! - krzyknął, a potem z przerażeniem zakrył usta dłonią. Ktoś mógł usłyszeć. Merrin i Stwór zamarli patrząc po sobie i nasłuchując kroków. Nikt nie nadchodził.

- Głupi Stworze, kazałem ci szukać mojego płaszcza - syknął chłopak. - Co tu robisz?

- Przyszedłem ci pomóc, panie - odparł Stwór niskim żałosnym szeptem.

- Tylko ty? - spytał Merrin podejrzliwie.

- Tylko ja, panie - potwierdził smętnie Stwór.

Merrin poczuł ulgę.

- Możesz poczekać na zewnątrz. Nie chcę, żebyś skradał się za mną po Pałacu... orany pocoto przyniosłeś? - Zauważył właśnie worek kości.

- Dla ciebieeeee, panie - wyjaśnił Stwór swoim niskim głosem.

Chłopak wbił w niego spojrzenie. Denerwowało go, że nie widzi miny Stwora. Odnosił przez to wrażenie, że ten z niego drwi. Wiedział jednak, że niezależnie od tego, co Stwór sobie myśli, i tak musi słuchać.

- Nie chcę tych obrzydliwych kości - oświadczył. - Możesz... - Rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu jakiegoś miejsca, gdzie można by je umieścić. Jego wzrok spoczął na studni. - Możesz je wrzucić do studni.

Na twarzy Stwora odmalował się wyraz przerażenia, ale Merrin zobaczył tylko nikły czerwony błysk w jego gadzich oczach. Pozostawił Stwora, gapiącego się z niedowierzaniem na swój cenny worek kości, i przeszedł pod łukiem, po czym ruszył przed siebie. Przemykał od kolumny do ko-

ciemny, aż dotarł do na wpół otwartych drzwi. Wyglądały
■ takie, które donośnie skrzypią, więc nie dotykając ich,
prześlizgnął się w chłodny, cuchnący stęchlizną cień starej
budowli. Udało się: był w Pałacu.

Nieco później Sara Heap wyszła do ogródka przez furtkę
■ bok starej kuchni. Wciąż nosiła sfatygowany żeglarski
■ kapelusz Jannit. Nawet jej się podobał, bo czuła się w nim
i i nie i beztrosko, co nie zdarzało jej się już od dłuższego
■ czasu. Gdy jednak mijała studnię w drodze do szklarni
■ po sadzonki, ogarnęło ją dojmujące przygnębienie. Stała
■ jak wryta. Przy studni znajdowało się coś Mrocznego.

i Sara Heap od wielu lat nie interesowała się Magią.
Ćwiczyła swoje umiejętności lecznicze i sądziła, że inne
■ Magiczne Sprawy pozostawiła za sobą. Wciąż jednak miała
■ charakterystyczne, Magiczne, zielone oczy i wiedziała wy-
i n< zajaco wiele, by Widzieć. Gdy więc ku swojemu prze-
■ rażeniu ujrzała Stwora, przycupniętego na krawędzi swojej
■ studni - pięknej, czystej, krystalicznej studni - z workiem
■ czegoś Mrocznego, błyskawicznie powróciła do niej ca-
■ ła Magia. Popatrzyła Stworowi w oczy - na ile to było
■ możliwe, jego oczy bowiem migotały i unikały jej wzroku
■ i i) czym bardzo powoli zaintonowała:

**Niech przez jeden dzień i rok
Czystej studni nie tknie Mrok.**

Stwór popatrzył na nią gniewnie, ale nie mógł nic zrobić.
Zarzucił worek kości na ramię i oddalił się. Sara poczekała,
aż opuści ogródek, a potem poczuła się nagle przytłoczona
okropnością tego, co widziała, i z drzeniem pobiegła z po-
wrotem do środka, by posiedzieć z Ethel.

Stwór poczekał, aż Sara zniknie w Pałacu, po czym cił do ogródka. Nie mógł już umieścić kości tam, gdzie kazano, wybrał więc szopę, po czym ostrożnie położył rek między stertami donic i różnych ogrodowych grat. Następnie poczłapał do uchylonych drzwi, które prowadziły do Pałacu, i wtopił się w liściasty krzew, by poczek na ewentualne wyjście swego pana.

Wnętrze Pałacu okazało się inne, niż Merrin się s; dziewał. Unosił się tu dziwny zapach - wilgoci i staroś po kątach zaś czaiły się zatęchłe wonie kuchenne. Gdy o chłopaka przywykły do ciemności, przekonał się, że wygl wnętrza też nie odpowiada jego oczekiwaniom. Ze ści odpadał popękany tynk, a w miejscach, gdzie się o nie ot na czarnym płaszczu zostawał biały pył. Przed nim ciągn się z pozoru nieskończony, brukowany korytarz, zw; Długim Przejściem. Miał szerokość wąskiej uliczki, a je środek znaczył wyświechtany, czerwony dywan. Chłop ruszył niepewnie przed siebie. Co kilka metrów od ko: tarza odchodziły drzwi, tak więc na początku zatrzym się przed każdymi w obawie, że zaraz ktoś z nich wyjdzi Obecnie jednak w Pałacu mieszkali tylko Sara, Silas i Jenni Heapowie, a także Maksio, pies rasy wilczarz. Zatrudnianie pracowników nie przychodziło Sarze łatwo. Wołała wszystko robić sama. Tego ranka nieliczni słudzy, których przyjęła, przebywali akurat gdzie indziej. Kucharz gawędził w kuchni ze sprzątaczem, pomywacz drzemał w spiżarni, a gospoia porządnie się przeziębiła i została w domu.

Wkrótce Merrin zdał sobie sprawę, że budynek jest opuszczony, co dodało mu odwagi. Szedł naprzód, poklepując niezwykle przedmioty, wystawione wzdłuż Długiego

licia. Były to rzeźby o najróżniejszych kształtach i wielkości, przedstawiające zwierzęta, ludzi, a także dziwaczne kształty. Widać było też wysokie wazy, wypchane tygrysy, stary rydwan, ciężkie, ciemne drewno, zmniejszone głowy, figury dziobowate, karykatury i przeróżne rupiecie. Na ścianach zaś wisiły portrety dawno zmarłych Królowych i Księżniczek. Merrin na nie patrzył, miał wrażenie, że śledzą go wzrokiem namalowanych postaci. Niemal się spodziewał, że któraś wyciągnie rękę, klepnie go w ramię i spyta, co tu robisz.

Nikt go jednak nie zaczepił.

Po jakimś czasie Merrin natknął się na wypłowiałą zasłonę z czerwonego aksamitu, którą odsunięto na bok, za nią ujrzął strome i wąskie schody, wijące się w mroku. To mu odpowiadało. Chciał znaleźć sobie pokój na samej górze pałacu, gdzie będzie mógł się ukryć, snuć plany i patrzeć z góry na wszystkich wchodzących i wychodzących. Merrin szybko minął zasłonę. Wkrótce szedł już na palcach po skrzypiących stopniach, obok wilgotnej, odłóżającej tapety zrywającej duże pajęczyny. Raz się przeraził, gdy jego stopa zniknęła pod przegniłymi deskami, w pustej przestrzeni poniżej.

Później pokonał półpiętro, obszedł stertę pustych skrzynek, a potem jeszcze dwa razy wchodził po schodach, aż w końcu dotarł do plątaniny niewielkich pomieszczeń na strychu, który ciągnął się nad całym Pałacem. W czasach, gdy w Pałacu roiło się od sług i dworzan, właśnie tutaj mieszkali ważniejsi służący, ale teraz pokoiki stały puste i zapomniane. Zamieszkiwały tu tylko niezbyt towarzyskie duchy guwernantek, dwórek i lokajów. Większość

pałacowych duchów wolało niższe piętra, gdzie można spotkać dawnych przyjaciół, pogadać o starych, lepszych czasach, a przy odrobinie szczęścia zobaczyć przez chwilę żywą Księżniczkę.

Merrin wybrał jeden z pokoiów guwernantek od frontu. Pomieszczenie było małe, ale znajdowało się w nim łóżko, stół, niewielka szafa i kominek, w którym wciąż leżał popiół. Panowała w nim ponura atmosfera, do czego właśnie przyczyniała się wyblakła tapeta w różę, ale Merrin tego nie zauważał i miejsce mu odpowiadało.

Merrin za to nie odpowiadał mieszkance pokoju. Guwernantka, ubrana w długą, szarą sukienkę z czerwonym obszyciem przy rąbku, w jakie niegdyś ubierały się wszystkie nauczycielki Księżniczek, zerwała się na równe nogi. Z przerażeniem patrzyła, jak Merrin okrąża jej ukochaną samotnię, tak jakby należała do niego. Dwa razy niemal przeniknął jej stopy, do czego mogło dojść tym łatwiej że nosiła modne w jej czasach ciżmy z długimi, ostro zakończonymi czubkami. Gdy chłopak usiadł na jej łóżku i zaczął sprzątać sprężyny, podskakując niczym niegrzeczny trzylatki guwernantka wpadła w skrajną rozpacz. Wybiegła z pomieszczenia, wzbudzając podmuch lodowatego powietrza, a Merrin został w środku i nie mógł wyjść z podziwu, do czego drzwi nagle się zatrzasnęły.

Sięgnął po plecak i wyrzucił swój cenny dobytek na stolik pod małym mansardowym oknem, układając rzeczy według wielkości. Potem zmienił zdanie i ułożył je alfabetycznie, a w końcu jeszcze inaczej - od najważniejszej do najmniej ważnej. Zajęło to trochę czasu, ale w końcu na stoliku leżały, od lewej do prawej:

- Pomięta książka pod tytułem „Mroczny Leksykon”,
autorstwa ś.p. T.F.F., szt. 1
- Mała kwadratowa skrzynka z napisem „Szpicel”, szt. 1
- Książka o Mur Magoga, szt. 1
- Butelka much (w większości martwych), szt. 1
- Mała tuba Robalowego Śluzu
- Piżama, szt. 1
- Szczoteczka do zębów, szt. 1
- Kostka mydła, szt. 1

Gdy wszystko znalazło się na swoich miejscach, Merrin
 wyciągnął brud z wewnętrznej szyby okienka i wyjrzał przez
 małe, przezroczyste kółko. Jego oczom ukazał się wspaniały
 widok na całą Drogę Ceremonialną. Jak zwykle była opusz-
 czona, po lewej jednak widział Drogę Czarodziejów i łopo-
 czące płaszcze oraz czapki zrywane z głów przez wiatr pod-
 nożającym nią ludziom, którzy próbowali się kryć pod osłoną
 niskich budynków z żółtego kamienia. Niemal na końcu
 Drogi, po lewej, Merrin z trudem dostrzegał fioletowe drzwi
 Skryptorium. A przed drzwiami stał ten chłopak, ten Septi-
 mus Heap. Zdradzała go jasnozielona tunika Ucznia.

Merrin nie mógł uwierzyć, że okazja do dalszego Zapro-
 wadzenia Mroku nadarzyła się tak szybko i zupełnie bez
 wysiłku z jego strony. Szybko otworzył „Mroczny Leksy-
 kon”, znalazł właściwą stronę i zaczął czytać następny ustęp
 „Zaprowadzenia Mroku w przeznaczeniu drugiego”. Utkwił
 wzrok w Septimucie i wyciągnął kciuk tak, by lewa strona
 pierścienia wyglądała za okno. Potem zaintonował pod
 nosem długą, powolną inkantację. Zobaczył, że Septimus
 przystaje, ogląda się przez ramię, a potem zerka na swój
 but, jakby w coś wdepnął. Merrin zachichotał. Tamten nie

miął zielonego pojęcia, co się dzieje. Merrin coraz lepiej dził sobie z Mrocznymi sprawami. A wkrótce będzie sol radził jeszcze lepiej.

Nagle ogarnęło go niesamowite poczucie władzy. Głosił się roześmiał. Jako posiadacz Dwustronnego Pierścienia był niezniszczalny. Pierwszy raz w życiu czuł się ważny. Ale największą radość sprawiał mu fakt, że ma pokój i nikt nie wie, gdzie go szukać. Nikt nie mógł przyjść i wyciągnąć go z łóżka, żądając, by zajął się lekcjami albo zjadł kanapkę z kapustą. Mógł cały dzień leżeć w łóżku, gdyby tylko chciał. Właściwie miał ochotę już teraz na chwilę się położyć. „Pod Wdzięczną Fladrą” nie spał zbyt dobrze. Łóżko było nierówne i słyszał czyjś oddech w sąsiednim pomieszczeniu. Poprzedniej zaś nocy nie spał prawie w ogóle. Ziewnął. Miał w planach napisanie listu, ale postanowił zrobić to później. Położył się na łóżku guwernantki - też niezbyt wygodnym - i zasnął jak kamień.

Merrin obudził się w oszołomieniu i panice, nie wiedząc, która godzina. Wyrzął przez okno. Na krańcu Drogi Czarodziejów, na wieży nad warsztatem zegarmistrzowskim, znajdował się duży zegar. Chłopak odetchnął z ulgą. Wszystko było w porządku. Rozmowa w Skryptorium miała się odbyć dopiero za pół godziny. Szybko wpełchnął do kieszeni „Mroczny Leksykon”, przeszedł przez mały pokój i pociągnął za kłamekę. Drzwi się zacięły. Pociągnął jeszcze raz, silniej. Trzymały mocno.

Dwadzieścia pięć minut później, zupełnie roztrzęsiony, szarpnął jeszcze raz, gwałtownie i rozpaczliwie. Drzwi otworzyły się na oścież, a on runął w tył. Poobijany, pozbierał się i wybiegł.

Nie dbając o to, czy ktoś go usłyszy albo zobaczy, po-
knął na dół po schodach. Nie chciał zmarnować swojej
ansy. Zdążył na czas, nie bacząc na koszty. A kto wejdzie
II w drogę, niech lepiej uważa.

OPIEKA NAD SMOKIEM



Septimus Heap zstąpił z obrotowych, srebrnych, spiralnych schodów, które zwiozły go na dół z komnat Czarodziejki Nadzwyczajnej na najwyższym piętrze do Holu. Gdy szybkim krokiem przemierzał Hol, nie zdziwił się na widok napisu **DZIEŃ DOBRY, UCZNIU, TWÓJ SMOK SIĘ ZBUDZIŁ**, który ukazał się na wielobarwnej posadzce, posadzka bowiem zawsze go witała i najwyraźniej dowiadywała się o wszystkim wcześniej niż on.



Następne powitanie nie było już tak miłe.

- Dzień dobry, Uczniu - rozległ się głos z kredensu na sta-
le zakłęcia przy potężnych, srebrnych odrzwiach, broniących
wstępu do Wieży Czarodziejów.

Septimus podskoczył, jak zwykle. Głos należał do Borisa
Catchpole'a, zdegradowanego Czarodzieja-nieudacznika,
który po Ostatnim Ostrzeżeniu Marcii został nocnym por-
nierem. Jego głos zawsze budził lęk Septimusa. Przypomi-
nał mu czasy, gdy służył w Armii Młodych, a Catchpole był
przez jakiś czas przerażającym Zastępcą Łowcy.

- Och! Dzień dobry, Catchpole - odrzekł. - Doręczyłeś
moją wiadomość do Pałacu?

- Tak, doręczyłem, Uczniu. Zawsze do twoich usług, cha,
cha. A czym mogę ci służyć dzisiejszego poranka? - spytał
mężczyzna, który starał się teraz wykazać efektywnością, by
odzyskać status Podczarodzieja. Był chudy jak tyczka i wciąż
nosił szatę Czarodzieja Zwyczajnego ze starymi oznaczenia-
mi Podczarodzieja na rękawach. Jak zawsze miał pecha i nie
dość, że dostał za krótką szatę, to jeszcze zbiegła mu się
w praniu, więc spod jej rąbka wystawały dwie chude, blade
nogi, kończące się w wygodnych butach Catchpole'a.

Niczym niezdarna, wielka czapla, mężczyzna skoczył
przed Septimusa.

- Pozwól, że otworzę ci drzwi, Uczniu.

- Dziękuję, znam hasło - odparł chłopak.

Catchpole odskoczył w tył.

- O, tak, oczywiście, że znasz. Głupiec ze mnie. Cóż, jeśli
mogę zrobić dla ciebie coś jeszcze, cokolwiek... - Nagle się
zatrzymał, przypominając sobie, że jest coś, czego za żadne
skarby nie chciałby zrobić. Nie chciał pomagać przy śnia-
daniu Ognioplują.

Ale ku jego uldze Septimus postanowił nie trzymać za słowo. Po prostu wypowiedział hasło i poczekał, aż ciężkie srebrne drzwi otworzą się bezgłośnie, ukazując błękitny, wiosenny dzień, pełen zabłąkanych kropel deszczu. Septimus opatulił się zielonym, wełnianym płaszczem Ucznia i rażnym krokiem ruszył w dół wielkich, marmurowych stopni, wiodących z Wieży Czarodziejów na dziedzińiec. Minał podstawę Wieży i skierował się do niedawno zbudowanej drewnianej szopy, ładnie wpasowanej w jędrną ścianę z olbrzymich przypór. Potem bardzo cicho - z nadzieją, że Ogniopeł nie usłyszy i nie okaże przesadnych emocji - otworzył drzwi i wślizgnął się do środka.

Pstryknął palcami. Z dwóch świec strzelił płomień, rozjaśniając szary półmrok poranka, który panował w szopy i oświetlając wnętrze, w którym znajdowały się trzy duże koryta z owsem, bańka chudego mleka, dostarczoneg wcześniej rano, koryto jabłek, a także stary worek, pełen najróżniejszych kawałków mięsa i kiełbas - resztek z wozu z mięsem i kiełbasami, także dostarczonych wcześniej rano.

Pewnymi ruchami kogoś, kto robił to codziennie - świętek, piątek czy niedziela, słońce czy deszcz - Septimus zabrał się do pracy. Sprzed szopy wepchnął do środka pokaznych rozmiarów, puste, drewniane koryto na kółkach, na którego boku napisano wielokolorowymi literami:

OGNIOPLUJ

NIE RUSZAĆ

Znalazcę prosi się o zwrot na dziedzińiec Wieży Czarodziejów

Zaczął napełniać koryto. Wziął szufłę z długim stylem i nabierał na nią potężne ilości owsa, który wrzucał

pnie do koryta na kółkach. Gdy było już pełne mniej
ej w dwóch trzecich, opróżnił doń zawartość worka,
zym wymieszał kawałki mięsa i kiełbasy z ziarnem. Na-
nie dorzucił dwie szufle jabłek, a w końcu podźwignął
kę, zdjął pokrywkę i dodał do mieszanki mleko. Ciecz
ła się z głośnym bulgotem. Septimus zanurzył szufłę
gęstej brei i nie bez trudu zaczął ją mieszać. Gdy już cały
owies nasiąknął mlekiem i napęczniał tak, że wypełniał
niemal całe koryto, chłopak wyciągnął narzędzie, strząsnął
ilkę przylepionych kawałków mięsa i jabłka, po czym po-
| rzył na mieszankę z wyrazem zadowolenia na twarzy.
ja miała teraz brązową barwę, upstrzoną ciemniejszymi
i plamkami rozgniecionej kiełbasy i poobijanych jabłek.
Doskonale.

Septimus wytoczył koryto na dziedziniec. Kółka zatur-
kotały i zaczęły podskakiwać na bruku. Tak jak się spo-
dziewał, po chwili rozległ się głośny łomot, odbijający się
echem od ścian, a ziemia pod jego stopami zatrzęsała się,
jakby biegło stado słońi. Ogniopluj, niemal dorosły już smok
Septimusa, był głodny.

Opanowanie stada słońi byłoby zresztą zapewne łatwiej-
sze niż następne zadanie, czyli wypuszczenie Ogniopluja
ze Smoczej Budy - podłużnego, kamiennego budynku z rzę-
dem okienek, osadzonych tuż pod okapem. Septimus zlecił
niedawno Warsztatowi Czarodziejów wykonanie zestawu
nowych drzwi z potężnymi żelaznymi sztabami. Cała sztuka
polegała na otworzeniu ich tak, by smok nie stratował ani
jego, ani jakiegoś przypadkowego Czarodzieja. Septimus
zauważył, że od dłuższego czasu żaden Czarodziej nie od-
ważył się przechodzić w pobliżu w porze śniadania Ognio-
pluja, zwłaszcza od czasu osławionego wypadku, kiedy to

Catchpole został pomyłony z dużym mięsnym naleśnikiem (a może z kiełbasą?) i celnym uderzeniem smoczego og wepchnięty do koryta.

Septimus zostawił koryto śniadaniowe u stóp szerokiej rampy, prowadzącej do Smoczego Budy. Wszedł po niej na palcach z płonną nadzieją, że Ogniopluj nie zauważy jego nadejścia. Gdy wrota zatrzęsły się od mocnych uderzeń smoczego nosa, chłopak spokojnie położył na nich dłoń.

- Odemknijcie - powiedział.

Za grubymi drzwiami poczuł drgania odsuwającej się sztaby. Błyskawicznie odskoczył w bok. Ledwie zdążył bepiecznie opuścić rampę, gdy drzwi otworzyły się na ości pod impetem smoka, który ważył już tyle, co 1264 mewy.

Spod skrobiących o kamienie pazurów trysnęły snpy iskiei, gdy zwierz wyhamował przed korytem i zaczął pochłaniać jego zawartość. Dźwięk, który się przyt rozlegał, przypominał chłopakowi odgłos wody, wypływającej z wanny po wyjęciu kurka, tyle że rozbrzmiewają sto razy donośniej. Catchpole, który twierdził, że widzi legendarny bezdenny wir w Ponurym Strumieniu, mawia że z zamkniętymi oczami trudno byłoby wskazać różnic między owym wirem a śniadającym Ognioplujem, choć ten drugi był chyba nieco głośniejszy.

Dokończenie śniadania nie zajęło smokowi zbyt wiele czasu. Długim, zielonym i szorstkim językiem wylizał koryto do czysta, po czym z uznaniem oblizał pysk i wessał parę ostatnich kawałków kiełbasy, które przykleiły mu się do łusek.

- Witaj, Ogniopluju - odezwał się Septimus, uważając, by podejść do smoka od przodu, jako że już kilka razy potężny ogon minął go o włos.

Smok parsknął na powitanie i położył głowę na ziemi, by **tego** ogromne smocze oko o liliowej barwie, okolonej **Wieni**ą Ognia, mogło spojrzeć w zielone oczy pana. Septimus **pogłaskał** aksamitny nos gada.

Wróćę później, **Ogniopluju** - obiecał. - Bądź grzeczny.

Smok ułożył się przed swoją budą i zamknął oczy. **Rozległ** się typowy odgłos późnego poranka - łoskot zatraskiwanych okien, gdy kolejni Czarodzieje próbowali uchronić **się** przed niskim grzmiotem smoczego chrapania, który **niósł** się echem po dziedzińcu.

Septimus przeskoczył nad ogonem **Ogniopluja**, uważając, by nie potknąć się o kolec na koniuszku. Następnie **prze-**
mierzyl dziedziniec i wkroczył w błękitny cień pod pięknym, **lapisowym** Wielkim Łukiem. Tam, jak to miał ostatnio we zwyczaju, przystanął i popatrzył na Drogę Czarodziejów. Wciąż kochał uczucie przebywania na tej drodze w swoim **własnym** Czasie, w którym czuł się u siebie. Zaczepnął **haust** wilgotnego powietrza. Gdy tak spoglądał w dół **szero-**
kiego traktu, jego wzrok wychwycił w oddali coś **fioleto-**
wego. Wiedział, że to Marcia Overstrand. Powiewy wiatru wydymały jej płaszcz Czarodziejki Nadzwyczajnej niczym wielki, fioletowy żagiel, gdy zmierzała ku bramie Pałacu.

Zastanawiając się, co też zagnało **Marcie** do Pałacu, **Septi-**
li mus poszukał w kieszeni kawałka papieru, po czym ruszył Drogą Czarodziejów do Skryptorium. Przystanął na chwilę przed drzwiami, świeżo pomalowanymi na nowy firmowy kolor **Jillie Djinn** - liliowy. Poczuł na sobie jakieś **Złe** Spojrzenie. Odwrócił się powoli. Nie chcąc, by patrzący się zorientował, podniósł stopę, jakby w coś wdepnął. W tym **samym** czasie próbował, najlepiej jak umiał, wytworzyć **Ostonę** przeciwko **Złemu** Spojrzeniu. Energicznie pociera-

jąc podeszwą o krawężnik, **odwrócił** wzrok w jego kierunku. Zdziwił się, bo jego oczy przyciągał Pałac. Zaskoczony, pisał wycierać but. Musiał się pomylić. W Pałacu nie było kogo, kto mógłby rzucać złe spojrzenia. Zrobił się **nerwowy**. Potrzebował towarzystwa Beetle'a i kubka MusSoku.

Otworzył drzwi Skryptorium. Dzyń. Kołowrotek Ji Djinn przełączył się na liczbę siedem.

- Siemasz, Sep - **Beetle** zerwał się z krzesła.

- Siemasz, Beetle - odparł Septimus.

- Ale szybko. Nie spodziewałem się ciebie tak od razu.

- Nie wiedziałem, że w ogóle się mnie spodziewasz - stwierdził zdziwiony Septimus. Wyjął z kieszeni kawałek papieru. Pokrywały go wielkie litery, które starannie **wy**ligrafował różnymi kolorami. - Potrzebuję kawałek **miejs**ca w waszym oknie wystawowym.

Beetle popatrzył na okno wystawowe Skryptorium a przynajmniej na jego widoczny fragment, liczący **sob** raptem kilka centymetrów kwadratowych. Resztę zastawiały wysokie sterty książek, ulotek, dokumentów, rękopisów, papirusów, rachunków, pokwitowań i przepisów, wśród których tu i ówdzie, dla urozmaicenia, walały się stare naleśniki, skarpety, wiersze, rurki do płucia grochem, cukierki ślazowe (Beetle był ich wielkim **miłośnikiem**), parasole i kanapki z kiełbasą, pochodzące z wozu z mięsem i kiełbasami. Roztargnieni skrybowie odkładali czasem na stertę różne rzeczy, które natychmiast ginęły i nikt ich więcej nie widział - choć często czuło się ich zapach.

- Nie możesz mnie poprosić o coś łatwiejszego, Sep?

- spytał Beetle. - Na przykład o zaklęcie Spełnienia Wszystkich Marzeń czy coś?

Septimus zerknął na swój kawałek papieru.

To nie jest takie duże - powiedział. - Nie zmieścisz gdzieś? Marcia grozi, że odeśle **Ogniopluja**, bo mówi, **poświęcam** mu zbyt wiele czasu i nie wykonuję żadnej **my** Pomyślałem więc, że jeśli to zrobię...

lał przyjacielowi karteczkę.

„Poszukiwany opiekun dla smoka” - odczytał na głos **Beetle**. - „**Nienormowany** czas, ale ciekawa praca. Poczucie **humoru** mile widziane. Zgłoszenia kierować do **Septimu-Heapa** w Wieży Czarodziejów”. - Parsknął śmiechem.

W yda się coś więcej niż poczucie humoru, nie? Na przy- **I lał** stopy z żelaza, brak węchu i umiejętność przebiegania **metrów** w dwie sekundy. To tak na początek.

Septimus wydawał się przybity.

Wiem - przyznał - ale nie chciałem odstraszać kandydatów. Zgłaszali się już zainteresowani, ale kiedy tylko pokazywałem im, jak sprzątać Smoczą Budę, działo się fort dziwnego. Nagle przypominali sobie, że, ojej, zupełnie **zapomnieli** zaopiekować się cioteczną babką albo, o rany, wyleciało im z głowy, że już jutro muszą wypłynąć w długi **port** rejs. Potem wyglądali na zmieszanych i mówili, **le** bardzo im przykro i że z przyjemnością przyjęliby tę pracę. Pierwszym dwóm jeszcze uwierzyłem, ale potem **zrobiło** się to już aż nazbyt przewidywalne. Oj, daj spokój, **Beetle**, proszę, wywieś moje ogłoszenie. Zaglądają tu różni **niezwykli** ludzie. Może któryś zechce się zająć smokiem.

Masz rację, zaglądają tu różni niezwykli ludzie - mruk- **nął** Beetle. - Zbyt niezwykli, jak na mój gust. Coś ci powiem, Sep. Ponieważ chodzi o ciebie, zrobię miejsce na drzwiach. Ogłoszenie o nowym skrybie można zdjąć. Przyciąga niewła- **rtciwe** osoby. Mówiłem panie Djinn, że tak będzie. Na jego **miejsce** przykleję twoje.

- Dzięki, Beetle.

Beetle z zapałem zerwał kartkę Jillie Djinn, zmiął ją w kłębkę i cisnął do kosza na śmieci. Potem wyjął słoik z klejem i posmarował nim świstek Septimusa, który następnie przykleił na szybę. Septimus starał się nie zauważać, że kolory litery się rozmazały.

- Teraz powinienem mieć przerwę - oznajmił Beetle, zując z placów resztki kleju. - Napijesz się MusSoku?

- Jasne - odparł Septimus. Poszedł za przyjacielem przez Skryptorium do jego kryjówki na podwórku za budynkiem.

Beetle przygotował dwa kubki, wrzucił do każdego klockę MusBumu i rozpalił mały palnik. Gdy zawrzało, czajnik wydał z siebie głośny pisk, co czynił zawsze, gdy woda rbiła się dlań za gorąca - od czasu, kiedy to Beetle omal nie wygotował jej do cna. Chłopak zdjął czajnik z palnika i nalewał wrzątek do kubków, w których natychmiast zabulgota różowa piana. Podał jeden z kubków przyjacielowi.

- Uuu, ale dobry! - prychnął Septimus, gdy MusSok poleciał mu prosto do nosa.

- Dziś rano wydarzyło się coś ciekawego - powiedzi Beetle po kilku krzepiących łykach napoju. - Ktoś podał się za ciebie.

Septimus pociągnął kolejny łyk i kichnął.

- Apsik! Za mnie?

- Tak. Dziwny chłopak. Chciał dostać robotę skryby.

- I co powiedziałaś?

- No, powiedziałem, że nie jest tobą, i nie przyjął tego zbyt dobrze. Ale musiałem mu powiedzieć, że może przyjść później. Wybór kandydatów na skrybów to nie moja rola. Oby panna Djinn zorientowała się, że to kompletny świr.

jej też, że zna parę Mrocznych sztuczek. Nie chcę
czego takiego.

rocznych sztuczek? - powtórzył **Septimus**.

Tak. Wiesz, płomień z kciuka. Kiedyś uznawano to
bardzo obraźliwe. Do dzisiaj gest ten uważa się za nie-
tę miły.

I akt. Ciekawe, kto to był.

I Imm. Zawiadomię cię, jeśli wróci.

Mrudzieli przez chwilę, popijając MusSok, aż **Beetle** przy-
niósł sobie, że tego ranka, zanim wszystko wywróciło
do góry nogami, czekał na ewentualne odwiedziny przy-
lecia.

Ej, Sep - odezwał się, zrywając się nagle na nogi z uśmie-
m na twarzy. - Możemy upiec dwie pieczenie przy jednym
ogniu. Coś ci pokażę.

- Co?

Nie dowiesz się, dopóki nie zobaczysz. - Beetle wy-
zerzył się w uśmiechu.

DOZORCA SMOKA



- **Panie Pot!** - wrzasnęła Marcia, krocząc przez pałacowy trawnik. - **Panie Pot!**

Billy Pot nie odpowiadał. Pchał dużą taczkę, wypełnioną smoczymi odchodami, i nie był w najlepszym nastroju. Zupełnie już zapomniał, jak się ucieszył, kiedy **Septimus** pozwolił mu

rać kupy Ogniopluja. Ale to było kiedyś, gdy miał regu-
le zajęcie, polegające na koszeniu pałacowych trawników
omocą Ustrojstwa. Urządzenie to działało na zasadach
nicznych, czyli zawierało około dwudziestu głodnych
zurek trawnikowych, zamkniętych w pudełku, które
y bardzo wolno pchał po trawie, a zwierzaki zjadały tra-
albo i nie.

illy trzymał setki jaszczurek trawnikowych w domkach
rzeką i w miarę jak liczebność zwierzaków rosła, zaczął
kłopoty z utrzymaniem nad nimi kontroli. Smocze od-
y czyniły cuda - na początku. Ze strachu przed potwor-
ym jaszczurem, który pojawił się na ich terytorium, niewiel-
le gady stały się posłuszne. Gdy jednak minęło trochę czasu,
| potworny jaszczur się nie objawił, jaszczurki trawnikowe,
które nie były takie głupie, zdały sobie sprawę, że coś tu nie
na Teraz zapanowanie nad nimi było jeszcze trudniejsze
niż kiedykolwiek, a w dodatku, spłoszywszy - w swoim
mniemaniu - potężnego rywala, stały się aroganckie i zaczęły
firyżć Billy'ego w kostki. Miał już dosyć tych zwierząt.

Czara goryczy przelała się, gdy po całodziennym kosze-
niu i kilku wymianach jaszczurek Ustrojstwo - które nigdy
nie wróciło do poprzedniego stanu po tym, jak stratował je
l i m Simona Heapa - rozpadło się w końcu na kawałki. Sara
Heap dostrzegła szansę dla siebie. Zniesmaczona stertami
mocznych odchodów, zaśmiecających pałacowe trawniki,
wysłała Silasa do portu z poleceniem, by wrócił z nowocze-
nną kosiarką. Silas wypełnił zadanie nadzwyczaj sprawnie
i barką przywiózł z portu imponującą maszynę.

Billy jej nie cierpiał. Miała okropne ostrza zamiast jasz-
czurek i musiał ją ciągnąć koń. Jako miłośnik gadów, Billy
nie lubił koni.

Ale dostawy smoczych odchodów nie ustawały.

Sara Heap, która zaczęła w końcu nabierać **wpra** w mówieniu innym, co mają robić, obdarowała **Billy** dużym polem przy pałacowych trawnikach, po czym nazała, by natychmiast przeniósł tam smoczy nawóz i zauprawiać warzywa. To mu się nie spodobało. Warzyw nie lubił.

Postanowił teraz nie rozmawiać z nikim, kto na mógł przynieść mu kłopoty - a krzycząca na niego Cza dziejka Nadzwyczajna zwiastowała kłopoty jak nikt **in** Ale Marcia łatwo nie rezygnowała. Zaczęła gonić Billy'e. Zauważył to i próbował przyspieszyć kroku, choć - z **uw** na ciężką taczkę - bez większego powodzenia.

- Panie Pot! - Marcia skoczyła przed taczkę, lecz **o** cas jej szpiczastego buta z fioletowej skóry pytona wpadła do starej króliczej nory. W jednej chwili leżała jak dłu. Billy spojrzął ponad stertą nawozu i stwierdził, że Cza dziejka zniknęła, co jak najbardziej mu odpowiadało.

Dopiero gdy z trudem dźwignęła się na nogi z **odła** nym obcasem w ręce, włosami w nieładzie i błyskiem i tacji w zielonych oczach, uznał, że może lepiej zatrzymać taczkę.

Popatrzył na kobietę.

- Co?

- Panie Pot... **Auć...** Mam dla pana zadanie - oznajmi Marcia.

- Wasza **Nadzwyczajność**, zabrałem już, co było, i do końca tygodnia nie mam miejsca na nic więcej. Jasne?

- Och. - Marcia była nieco zaskoczona. Przez dwanaście lat w roli Czarodziejki Nadzwyczajnej przywykła do trochę większego szacunku.

Muszę ruszać dalej - warknął mężczyzna. Złapał wyty taczki i wolnym krokiem ruszył w stronę ogrodu przywnego.

Maria szybko pokuśtykała naprzód, stanęła przed nim znowu zatrzymała taczkę.

- fanie Pot - powtórzyła bardzo natarczywym tonem.

Westchnął i puścił uchwyty.

Co?

- Jak mówiłam, mam dla pana zadanie. Zaistniał wakat na stanowisku dozorca smoka. Myślę, że posiada pan odpowiednie kwalifikacje w tym względzie.

- Co to znaczy dozorca smoka? - spytał podejrzliwie.

Przygotowałam opis tej posady - odparła, podając mu Irszczącą kartkę.

Wziął ją z powątpiewaniem i wbił w nią wzrok. Papieru nie lubił, zwłaszcza grubego, eleganckiego papieru z napisami. Właściwie to nie lubił samych napisów, bo nie miał pojęcia, jak się do nich zabrać.

Odwrotnie - poinstruowała Marcia.

Aha. - Zdenerwowany, że papier znowu go pokonał, wrócił kartkę. - Proszę przeczytać. Nie mam okularów - mruknął.

Oddał kartkę Marcii, która wzięła ją ostrożnie między palec a palec wskazujący, starając się nie dotknąć brudnych, tłustych odcisków palców, pokrywających teraz manesę.

- „Opis posady dozorca smoków” - zaczęła. - „Punkt pierwszy: przeprowadzka smoka, na przykład do miejsca zamieszkania i/lub pracy dozorca”.

- Co? - Billy zmarszczył brwi.

- Ogniopluj będzie mieszkał tutaj - wyjaśniła Marcia.

- Tutaj?

- Tak, tutaj. **Pole** warzywne będzie jak znalazł.

- A co z warzywami? - spytał, nagle odkrywając w **S** troskę o **jarzyny**.

- Nie jest wybredny. **Może jeść** cokolwiek.

- I to mnie właśnie martwi - mruknął.

- „Punkt drugi: dozorca w pełni odpowiada za **smo** pod swoją opieką. Punkt trzeci: Uczeń może odwiedzi smoka tylko co drugi wieczór i w weekendy. Wolno wtedy odbyć półgodzinny lot. Punkt czwarty: **wynag** dzenie do uzgodnienia”. Ale proponuję dwa razy więc niż dostajesz teraz z Pałacu.

- Dwa razy? - **Billy** zachłysnął się, wstrząśnięty.

- No dobrze, niech będzie trzy razy. Ale to moje **Ostatni** słowo. Przyjmiesz tę pracę?

- Tak! Eee, tak, Czarodziejko Nadzwyczajna. To dla **mn** zaszczyt.

- Mój Uczeń dzisiaj przyprowadzi smoka. Budownicze wie zjawia się jeszcze tego ranka.

- Budowniczowie?

- Żeby zbudować smoczy dom. Życzę miłego dnia, pan Pot. Później przyślę umowę do podpisania.

- A. Dobrze. Eee, miłego dnia, Wasza **Nadzwyczajność**

Gdy Marcia oddaliła się, utykając, Billy Pot usiadł **n** brzegiem rzeki i ze zdziwieniem podrapał się po głowie. Natychmiast tego pożałował. Smocze odchody **nadzwycz** trudno usuwało się z włosów.

⇄ 1 2

TERRY TARSAL



Terry Tarsal, szewc i niechętny opiekun fioletowego pylona, lubił spokojne życie. Zwykle takie właśnie miał, dopóki nie musiał mieć do czynienia z butami z fioletowej węzowej skóry.

Terry był niskim, żyłastym mężczyzną o dużych, sprawnych dłoniach, stwardniałych po wielu latach obrabiania skóry. Pracował w podłużnym, wąskim warsztacie przy Alejce Rozbójników obok Drogi Czarodziejów. Pachniało tam kurzem, skórą i woskowaną nicią, a tego dnia także olejem lnianym. Terry lubił swoją pracę. Nie lubił natomiast fioletowego pytona, którego musiał trzymać na podwórku za warsztatem. Ale Marcia Overstrand należała

do jego najlepszych klientek, więc przez ponad dziesięć lat **zmuszał** się już do opieki nad wężem i zbieraniem **z** rzuconych skór na następne buty dla Czarodziejki **N** zwyczajnej.

Tego ranka **Terry właśnie** nakarmił pytona. Ta **czynn** zawsze wyprowadzała go z równowagi. Akurat **nabie** sił przy kubku gorącego cydru, gdy przez matową sz; warsztatu ujrzał fioletową plamę szat Marcii **Overstra**. W następnej chwili drzwi - które bardzo bały się **M** - otworzyły się na oścież.

Terry **Tarsal** był ulepiony z twardszej gliny.

- Dzień dobry, panno Overstrand - powiedział, nie cząc wstać. Pociągnął kolejny łyk cydru. - Nowa para jest jeszcze gotowa. Ciągle czekam, aż ten przekłety **pyt** zrzuci skórę.

- Nie po to przyszłam. - Marcia weszła do środka. - **Spr**wa jest pilna. - Pochyliła się, ściągnęła but i położyła na ladzie razem z odłamanym obcasem. - Odpadł, ot **t** po prostu. Bez ostrzeżenia. Mogłam złamać nogę.

Terry podniósł but i przyjrzał mu się, trzymając go w ciągniętej ręce.

- W coś pani weszła - stwierdził **oskarżycielskim tonem**

- Naprawdę? Miałam wrażenie, że to tego służyć bu - odparła. - Do wchodzenia na różne rzeczy.

- Tak, „na”. A nie „w”. No nic, myślę, że da się zrobić. Chce pani poczekać czy przyjść później?

- Nie mam zamiaru skakać na jednej nodze przez **ca** drogę do Wieży Czarodziejów, dziękuję, panie Tarsal. Poczekałam.

- Jak sobie pani życzy. Bardzo chętnie pożyczę pani parę kaloszy w uniwersalnym rozmiarze.

noszę kaloszy - odparła twardo Marcia. - A już
mnie za w uniwersalnym rozmiarze, dziękuję bardzo.

Tarsal wzięły buty i zniknął na zapleczu. Czarodziej-
niadła na niewygodnej, drewnianej ławie przy ladzie
nie cierpiał, gdy klienci spędzali u niego zbyt wiele
i rozejrzała się po niewielkim warsztacie.

lubiła przychodzić do Terry'ego Tarsala. Siedzieć w tym
kojnym, starym zakładzie szewskim w ciemnym zauł-
gdzie nikt nie mógł jej znaleźć. A jeśli ktoś się na nią
nał, napawała się wyrazem zdumienia na twarzy oso-
Czarodziejka Nadzwyczajna siedząca na chwiejnej
wie szewca i czekająca na buty jak każdy mieszkaniec
Zamku!

A zatem, podczas gdy Terry Tarsal zeskrobywał smocze
hody, szykował się do zrobienia nowego obcasa i szukał
ępu skóry pytona, by czymś ów obcas obciągnąć, zado-
wolona Marcia oglądała buty, które czekały na odbiór. Sta-
nowiły różnorodny zbiór. W większości było to tuzinkowe
obuwie z brązowej lub czarnej skóry z grubymi sznurowa-
kami i ciężkimi, skórzanymi podeszwami. Obok nich stały
zerwone i zielone chodaki robotników - wielu pracowni-
w warsztatów rzemieślniczych i niewielkich manufaktur
w Gmaszysku nosiło takie dla ochrony stóp. Było też trochę
małych, różowych baletek, ozdobionych wstążkami, dwie
pary rybackich buciorów z natłuszczonej skóry - jak się
Marcia domyśliła, to właśnie z nich pochodził odór oleju
lnianego - i para dziwacznych butów o najdłuższych, naj-
bardziej szpiczastych czubkach, jakie Czarodziejka kiedy-
kolwiek widziała.

Zaintrygowana, wstała i podeszła, by przyjrzeć im się
z bliska. Nie mogła się powstrzymać, by ich nie dotknąć.

Buty były piękne, uszyte z miękkiej, czerwonej skóry, o bione wijącymi się, złotymi listkami. Chociaż pasowały na stopy o przeciętnych rozmiarach, to z powodu **ciem** czubków, przymocowanych do reszty za pomocą czarnych wstążek, miały przynajmniej pół metra długości. **Kobi** trzymała je, zachwycona ich lekkością i znakomitą jako skóry, której użył **Terry Tarsal**. Przeciągnęła palcem po niach złotych zdobień. Im uważniej się im przyglądała, większą zyskiwała pewność, że eleganckie zawijasy ukłają się w literę **M**.

Wciąż trzymając miękkie, czerwone buty, Marcia cofnęła się na ławę. Wypełniało ją podekscytowanie, jakiego czuła od czasów, gdy była małą dziewczynką w przeddzień swoich urodzin. W przyszłym tygodniu rzeczywiście miały urodziny i w jej głowie powstało podejrzenie, że może razem **Septimus** naprawdę pomyślał nad prezentem - **Z** kle bowiem dostawała od niego bukiet kwiatów, zebrany pośpiesznie w pałacowym ogrodzie. Pamiętała, jak chłopak opowiadał o butach, noszonych w czasach, w które pojechał ten okropny Alchemik, **Marcellus Pye**. Powiedział wtedy, że najwyraźniej buty były wtedy jedyną dobrą rzeczą. Teraz pomyślała, że właśnie taki niezwykły prezent mógłby **myśleć** **Septimus**, gdyby się tylko trochę postarał.

Z lekkim poczuciem winy, że zobaczyła prezent przed urodzinami, właśnie pośpiesznie odkładała buty na półkę, gdy **Terry Tarsal** wrócił.

- Najdziwniejsze buty, jakie kiedykolwiek uszyte - skomentowała.

Obróciła się na pięcie, jakby przyłapano ją na czymś, czego nie powinna robić.

- Kto je zamówił? - spytała. Nie mogła się powstrzymać.

Pani Uczeń, o ile dobrze pamiętam - odparł szewc.

■ Tak przypuszczałam - stwierdziła z uśmiechem.

Jak miło z jego strony", pomyślała. Czasami potrafił za-
mować się bardzo ładnie. Musiała się postarać, by traktować
.....co łagodniej. Postanowiła, że jeśli chłopak się uspokoi
wraznie pracować nad Projekcją, weźmie pod uwagę słowa
Althera - że Septimus wkracza w wiek, w którym będzie
potrzebował więcej swobody - i nie będzie miała do niego
pretensji, jeśli wyjdzie, nie mówiąc jej, dokąd się wybiera.

Głos Terry'ego Tarsala przerwał jej podejmowanie po-
stawowień.

= Zapłaci pani za nie? - spytał.

Oczywiście, że nie! I nie chcę, by się dowiedział, że je
I |działam. Jasne?

Szewc wzruszył ramionami.

Nie wiem, o co chodzi z tymi butami - stwierdził. - Do-
|ładnie to samo powiedział pani uczeń. Marcia nie może ich
lobaczyć. Bardzo mu na tym zależało.

Nie dziwię się - odparła z aprobatą.

- W każdym razie mam je dostarczyć jutro. Chociaż nie
wiem, czemu sam nie może przyjść po odbiór. W końcu
Wężowa Pochylnia nie jest tak daleko, prawda?

- Wężowa Pochylnia? A co ma z tym wspólnego Wężowa
Pochylnia? - spytała Marcia.

- Tam mieszka - wyjaśnił cierpliwie Terry, jakby Cza-
rodziejka celowo udawała, że nie rozumie. - Co do tego
obcasa...

- Kto tam mieszka?

- Ten dziwny człowiek, który przyszedł z pani Uczniem.
Ten, dla którego przeznaczone są buty. Proszę posłuchać,
klej będzie secht przynajmniej godzinę i...

- Ten, dla którego przeznaczone są buty?

- Więc czy na pewno chce pani...

- Panie Tarsal, proszę mi odpowiedzieć. Dla kogo **kładnie** są te buty?

- Naprawdę nie mogę powiedzieć. To poufna **inform**

- Brednie! - wybuchła Marcia. - To tylko para but na litość. Chyba trudno tu mówić o wielkiej tajemnicy. Szewc nie ustępował.

- Chodzi o zaufanie klienta - odparł.

- Panie Tarsal. Jeśli nie powie mi pan, dla kogo są te buty będę zmuszona... - Zastanawiała się nad czymś, co szczególnie by go zdenerwowało. - Będę zmuszona zmniejszyć o połowę wszystkie buty, które czekają na odbiór.

- Nie zrobiłaby pani...

- Zrobiłabym. To kto jest odbiorcą?

- **Marcellus Pye**.

- Marcellus Pye? - wykrzyknęła Czarodziejka tak głośno, że drzwi zatrzęsły się ze strachu, a słoik, pełen zielonych ziczków, zeskoczył z lady i rozsypał zawartość po **podłogę**.

- Widzi pani, co pani narobiła? - jęknął **Terry**, opadając na czworaki i wyłapując guziczki. - Nigdy wszystkich nie znajdę. Poleciały wszędzie.

Popatrzyła na mężczyznę, macającego wokół rękami w poszukiwaniu guziczków, jakby pochodził z innej planety. To wszystko zdawało się nie mieć sensu. W jej głowie kłębiły się tylko trzy słowa, które zdawały się zajmować całą przestrzeń, przeznaczoną na myślenie. Słowa te brzmiały: „**Septimus**”, „**Marcellus**” i „**Pye**”.

- Mogłaby pani pomóc, zamiast gapić się przed siebie jak wielbłąd, cierpiący na zaparcie. - Nieuprzejmy głos **Terry’ego** Tarsala wdarł się w wirujące myśli Marcii.

Nie co dzień ktoś porównywał Czarodziejkę do wielbłąda, a słowa Tarsala na zaparcia, słowa dały jednak pożądany efekt. Marcia ocknęła się i przyłączyła do łowów na guziczki, lecz myśli ciągle tłukły jej się po głowie.

- Powiedział pan „Marcellus Pye”, mam rację? - spytała.

Tak - potwierdził ze złością szewc. Paznokciem wydukał ze szpary w podłodze mały, zielony przedmiot, by się przekonać, że to zielona pestka. - Marcellus Pye. Pamiętam, że napisałem „Pye” przez „i”, a pani Uczeń powiedziała, że pisze się „P-Y-E”.

Jest pan absolutnie pewien? - spytała Marcia. W jej myśle pojawiały się najróżniejsze nieprawdopodobne wywnioszenia. Żadne z nich nie miało sensu, a wszystkie dotyczyły Septimusa.

Terry Tarsal wyprostował się z jękiem i potarł plecy.

Mówię, że tak. Proszę, niech pani przestanie. Muszę się już upić. To guziczki z najlepszego nefrytu.

- Z najlepszego nefrytu? - powtórzyła Czarodziejka.

Tak. Już nigdy nie znajdę podobnych. Takie już moje szczęście...

Marcia wstała i otrzepała szatę, która pokryła się kurzem, Terry bowiem wolał szyć buty niż sprzątać. Pstryknęła palcami i wymamrotała formułę Odzyskania. Ze szpar i szczelin w podłodze wyłoniły się wszystkie guziczki i na oczach Terry’ego Tarsala, który gapił się na to z otwartymi ustami, zielony sznur poleciał z powrotem prosto do słoika.

Terry wstał na nogi z wyrazem zdumienia i ulgi na twarzy. Nigdy wcześniej nie widział działania Magii, ujął go zatem fakt, że Marcia użyła jej do czegoś tak przyziemnego, jak szukanie jego cennych guziczków.

- Dziękuję - bąknął. - To... bardzo miło z pani strony.

- Przynajmniej tyle mogłam zrobić - odparła. - A teraz czy mogę zobaczyć księgę zamówień?

- Księgę zamówień?

- Tak, proszę, panie Tarsal.

Zdezorientowany szewc pokręcił głową i poszedł po księgę. Po chwili wrócił z grubym, oprawnym w skórę tomiszczem, które z hukiem położył na ladzie.

- Chciałabym zobaczyć zamówienie na te buty - powiedziała Marcia. - Proszę.

Terry polizał palec i zaczął kartkować rejestr, szukając właściwej daty.

- Tutaj - oznajmił, wskazując wpis sprzed trzech tygodni.

Marcia wyjęła okulary, by przyjrzeć się bazgrołom rzemieślnika. Nazwisko „Marcellus Pye” dosłownie ją uderzyło.

- Nie do wiary - mruknęła.

- Tak. To on.

- Czy był bardzo stary? - spytała Czarodziejka, próbując znaleźć w tym wszystkim jakikolwiek sens.

- Nie, młody, około trzydziestki. Byłby całkiem przystojny, gdyby nie śmieszna fryzura. Teraz sobie przypominam, że musiałem mu zmierzyć stopy, bo nie wiedział, jaki rozmiar nosi. Ciągłe podawał mi dawną miarę, której przestaliśmy używać jakieś sto lat temu. Nawet mój stary tata by jej nie pamiętał. Miał też dziwny akcent, chociaż nie mówił zbyt wiele. O ile pamiętam, odzywał się głównie pani Uczeń.

- Naprawdę? - powiedziała Marcia, siadając gwałtownie na ławie. - No, nie wiem...

- Dobrze się pani czuje, panno Overstrand? - zaniepokoił się Terry. - Jest pani dość blada. Może przyniosę szklanek wody?

Czarodziejka nie czuła się dobrze. Miała wrażenie dziwnego oderwania, jakby świat okazał się nagle zupełnie inny, niepodobna. Mężczyzna podał jej wodę.

■ Dziękuję.

Idąc ze stopami w fioletowych pończochach na podłozie, piła pomalutku. Wiedziała, dlaczego przeżyła taki krótki czas. Nie chodziło o obecność młodego Marcellusa Pye w jej czasie - co samo w sobie było bardzo dziwne - ale o fakt, że Septimus, jej zaufany Septimus, dopuścił się zdrady.

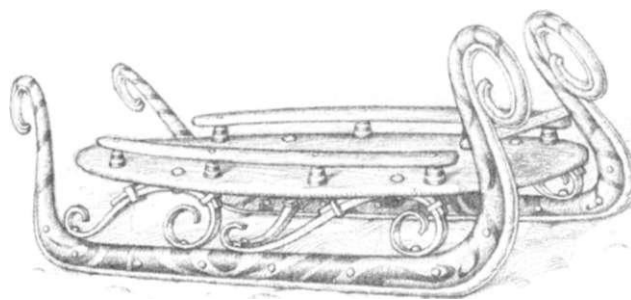
Pod okiem przejętego Terry'ego Tarsala dopiła wodę i wróciła do siebie.

Terry - odezwała się.

- Tak, Czarodziejko Nadzwyczajna?

Czekając, aż klej wyschnie, niech pan naszyje te nefryguziczki na moje buty, dobrze?

SANKI WIEŻY CZARODZIEJÓW



Podczas gdy Marcia czekała, aż klej wyschnie, **Septim** robił coś znacznie ciekawszego: przeciskał się przez wąski otwór w podłodze chatki Beetle'a.

- Nie wiedziałem, że można się tędy dostać do **Lodowej Tuneli** - zauważył, gdy jego stopy natrafiły na szczeble **dr** biny, przymocowanej do lodowej ściany.

- Wejście dla kupca. - Beetle wyszczerzył się **do przy** jaciela. Jego oddech w mroźnym powietrzu zamieniał **się** w parę, a twarz nabrała nieziemskiej barwy w blasku **roz-** migotanej niebieskiej lampy, którą właśnie zapalił. - Panna Djinn każe mi z niego korzystać. Możesz zamknąć klapę?

- Tak - odrzekł Septimus. Zatrzasnął nad głową ciężki, Zablokowany właz - o charakterystycznym wyglądzie

Wszystkich Zablockowanych włazów do Lodowych Tuneli kryty pod klapą i po chwili usłyszał cichy syk, gdy nastąpiło uszczelnienie. Spod szaty Ucznia wyciągnął Klucz mechaniczny, który nosił na szyi, i wcisnął go w okrągłe otwórzenie pośrodku włazu. Potem zszedł po zimnej, metalowej drabinie do podziemi pod chatką Beetle'a i stanął z nim na śliskim podłożu Lodowego Tunelu.

Wcisnął pierścień, który Septimus nosił na palcu wskazującym prawej dłoni, rozsiewał nikły żółty blask. Ale to ciemna lampa Beetle'a rzucała piękne, białobłękitne światło na, pokrywający wewnątrz tunelu lód, ukazując ich wykształcone cienie.

Wejść tylko i Zablockuję właz - powiedział Beetle. - Potem możemy iść.

Już jest Zablockowany - odparł Septimus.

Nie, Sep. Muszę użyć Pieczęci. Widzisz? - Beetle wyciągnął małe, woskowe kółko, wierną kopię szczerozłotego Klucza, który nosił Septimus. Ten w odpowiedzi wyciągnął Klucz i z uśmiechem pomachał nim przed oczami przyjaciela Beetle ze zdumieniem pokręcił głową. - Rany... Nawet nie będę cię pytał, skąd to masz.

Dostałem od Marcellusa - wyjaśnił Septimus. - Właśnie dzięki temu Jenna i ja mogliśmy się wydostać.

- Aha - mruknął Beetle, taktownie nie wspominając o Nicku, który pozostał uwięziony w innym Czasie. Wzmianki na ten temat denerwowały Septimusa, a Beetle nie lubił, kiedy przyjaciel się denerwował. Zdjął proste, drewniane sanki z haka, wbitego w lodową ścianę. - Wsiadasz? - spytał.

Przytrzymał sznurek, podczas gdy Septimus zajmował miejsce. Potem usiadł z przodu i ustawił lampę tak, by peł-

niła funkcję przedniego reflektora. Pamiętając, jak Bee kieruje sankami, Septimus mocno je chwycił - i **słusznie**. Zanim zdążył zaczerpnąć tchu, sanki wystrzeliły do przodu i już wchodziły w pierwszy, ostry zakręt w prawo.

- Gdzieeee... aaaaa! - wrzasnął. Lodowate powietrze porwało jego krzyk, który poniósł się całymi kilometrami i dołączył do lamentu licznych duchów, snujących po mroźnych tunelach.

Po niemal dwóch latach na stanowisku inspektora, **Bee** bardzo wprawnie kierował sankami, tyle że nie **przy**jął do pasażerów. Pokonywał zakręty w połowie wysokości lodowych ścian, wchodził w kontrolowane poślizgi, a gdy nie chciał się zatrzymać, stosował manewr, który nazywał ślizgiem do tyłu z podwójnym obrotem, kończąc go z sankami **od** **conymi** w kierunku, z którego przyjechał. Po kilku minutach twarz Septimusa nabrała wyrazistej zielonej barwy. **M**omentem wytchnienia, gdy sanie sunęły powoli w górę długiego wzniesienia, lecz gdy tylko zakołysały się na szczycie, zdał sobie sprawę, że najgorsze dopiero przed nim.

W błękitnym świetle lampy Beetle'a widział długi, **po**skłoniony, biały tunel, opadający w zupełną ciemność, **pod**czas gdy w górze sklepienie zdawało się kończyć przepastną kopułą.

- To mój ulubiony odcinek! - krzyknął **Beetle** przez ramię.
- Trzymaj się mocno!

Septimus już wcześniej trzymał się tak mocno, jak palce **przyspawano** mu do sanek. Wziął głęboki **wde**chy i przygotował się na najgorsze. Sanki zakołysały się, jakby i one nabierały tchu. A potem pomknęły nagle po lodzie z zawrotną prędkością, aż Septimus doznał dziwnego uczucia, że pod płozami nie ma już gruntu. Zerknął w dół

przerażeniem stwierdził, że pod płozami faktycznie go ma. Podłoże znajdowało się około sześciu metrów pod Lecieli.

Beeeeee... tle, stój! - wrzasnął Septimus, a wiatr po-
I jego głos.

Beetle nic nie usłyszał. Dla niego była to najlepsza część tygodnia. Odkąd opanował skok na sankach, chciał pokazać go przyjacielowi. W ogóle nie przyszło mu do głowy, że Septimus może mieć inne zdanie na ten temat.

Wylądowali zaskakująco łagodnie i przemknęli przez szeroką, płaską połąć lodu, po czym wjechali prosto w tunel tak wąski, że Septimus musiał puścić krawędzie sanek I obawy, że pokaleczy sobie kłykcie o ściany. Tunel był niemiłosiernie. Beetle zwolnił, żeby sanki się nie zaklinowały, gdy jednak sanie sunęły powoli, podskakując, pomiędzy dwiema wielkimi ścianami lodu, jego przyjaciel doznał okropnej klaustrofobii. Wreszcie tunel rozszerzył się i wpadł do wysoko sklepionej, okrągłej komory. Beetle zatrzymał pojazd nadzwyczaj spokojnie.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił cichym głosem.

Gdzie? - spytał Uczeń Czarodziejki Nadzwyczajnej, zglądając się dookoła. Otoczenie wydawało mu się znajome, ale nie był pewien, dlaczego.

Wiesz - powiedział Beetle głośnym szeptem. - W miejscu, które Marcia kazała nam sprawdzić.

- Marcia? - Septimus nie wiedział, o co chodzi.

Nie powiedziała ci? - spytał Beetle.

- Marcia nic mi nie mówi - odparł ponuro Uczeń.

Młody inspektor zsiadł z sanek.

- Tak czy owak, musimy coś sprawdzić, Sep. Coś się tu Iziało. Chodź.

Septimus ostrożnie stanął na lodzie i podążył za pr
cielem, który błękitnym promieniem oświetlał lodowe ś
ny. Nagle Septimus zdał sobie sprawę, co to za miejsce.

- Komnata Alchemii! - wykrzyknął. - Przychodziłem
przychodziłem tu codziennie. - W jego głosie pobrzz
wała nutka tęsknoty. - Marcellus pokazywał mi mnóst
różnych rzeczy. I nie strofował mnie przez cały czas.

- No tak, pewnie wtedy było też tu trochę cieplej - d
Beetle. - No, jest. Zobacz, stopniało, a potem znowu z~
zło. - Błękitne światło wychwyciło fragment lodu, pokr
jący stare drzwi do Komnaty. W przeciwieństwie do res
matowego lodu, ten był przejrzysty, a w środku widni
setki uwieczonych, maleńkich pęcherzyków powietrza.
dok skojarzył się Septimusowi z jednym z MusSoków,
o smaku cytrynowym, za którym nie przepadał.

- To świeży lód - szepnął.

Beetle zadrżał.

- Wiem. Ale przynajmniej zamarzył z powrotem. -
cisnął swój woskowy Klucz do metalowego kółka z b

- To wszystko robi się coraz dziwniejsze - stwierd

- Ktoś ponownie Zablockował drzwi. Chodź, Sep, musi
sprawdzić jedną rzecz. Ale najpierw coś ci pokażę.

Pięć minut później Beetle wprowadził sanki w ślizg do
łu z podwójnym obrotem i zatrzymał je, wzbijając des
kawałeczków lodu. Septimus spadł i leżał teraz na lod
patrząc na białobłękitne sklepienie tunelu.

- Chodź, Sep - Beetle złapał przyjaciela za rękę i pom
mu wstać. - W zeszłym tygodniu odkryłem skrót pr
jedno z wąskich przejść i zobaczyłem to. - Wskazał kró
kawałek fioletowego sznura, wystający z lodu.

Septimus opadł na kolana, by przyjrzeć mu się bliżej.

Tutaj nie ma kolorów - wyjaśnił Beetle. - Dlatego ten śnieg było na kilometr. Próbowałem wydobyć sznur, ale z tego. Lód go wciągnął. Tak bywa. Kiedyś zgubiłem swój szczęśliwy szalik i znalazłem go tydzień później pod centymetrowym lodem. Przez jakiś czas jeszcze był widoczny, kiedy tamtędy przejeżdżałem, ale zapadał się coraz dalej, aż w końcu zniknął. Dziwne więc, że ciągle widać śnieg. - Poskrobał lód swoim scyzorykiem i uwolnił jeszcze kawałek fioletowej plecionki. - No, dalej - rzucił.

Co dalej? - spytał Septimus ze zdziwieniem.

Złap za koniec i ciągnij. Mnie nie wyszedł, ale tobie może się uda.

Dlaczego?

Bo należy do ciebie.

Co należy do mnie?

Beetle uśmiechnął się tajemniczo.

Wystarczy pociągnąć, to się dowiesz, nie? - odparł.

Septimus pokręcił głową z niepewnym uśmiechem, i potem, spełniając zachciankę przyjaciela, pochwycił sznur i szarpnął. Dłonie mu się ślizgały, ale ku jego zaskoczeniu kawałek fioletowego sznura wysunął się z lodu tak łatwo, jakby wyciągał go ze świeżego śniegu.

Wychodzi! - krzyknął z podnieceniem Beetle. - Wiadziałem, że tak będzie. Ciągnij, Sep!

Septimus nie potrzebował dodatkowej zachęty. Ciągnął coraz mocniej, aż lód zaczął się kruszyć i wyłoniły się z niego złote płozy. Zaskoczony, szarpnął jeszcze raz i z głębi lodu wypadły najpiękniejsze sanki, jakie w życiu widział.

• Sanki Wieży Czarodziejów - wysapał. - Beetle, znalazł sanki Wieży Czarodziejów.

- Tak - potwierdził Beetle, wyszczerzając się w najszerszym uśmiechu, jaki Septimus widział od dłuższego czasu

- Nieźle, co?

- Nieźle? Są niewiarygodne. - Septimus otrzepał sanki z lodowego pyłu i postawił je na złotych płozach.

Czekały cierpliwie na lodzie, eleganckie, wysokie i delikatne niczym koń wyścigowy, Sanki Beetle'a wyglądały po nich jak osioł. Misternie rzeźbione drewno, inkrustowane pasmami lapis lazuli, wydawało się niemal ciepłe w dotyku a fioletowa, niebieska i złota farba, którymi je pomalowano skrzyła się w błękitnym blasku lampy. Na złotym drążku łączącym wygięte płozy, wisiał srebrny gwizdek, przywiązany zieloną wstążką.

- Nic dziwnego, że je zgubili - stwierdził Beetle. - stawili gwizdek na sankach. Czysta głupota. Zawsze powinienś nosić go przy sobie, Sep. Masz. - Odwiązał gwizdek i podał go przyjacielowi. - Przyjadą, kiedy zagwizdzą - oznajmił - a może się zdarzyć, że będziesz tego potrzebował. Te nerwowe sanki były znane z tego, że gdzieś sobie odjeżdżały. Dam głowę, że jakiś biedny Uczeń długo i szukał. To musiał być koszmar.

Septimus włożył gwizdek do kieszeni tuniki.

- Dzięki - powiedział. - Wiesz mnóstwo rzeczy. Taki których nie wie nawet Marcia.

- Nie byłbym taki pewien. Marcia wie więcej, niż ci wydaje. Po prostu nie chce o tym mówić i tyle.

- Na pewno nie chce mówić mnie - mruknął Septimus

- Dobra. - Beetle szybko zmienił temat (bo akurat je Marcia powiedziała tego ranka całkiem sporo). - Mówisz? Nauczę cię robić ślizg do tyłu z podwójnym obrotem, a nawet z potrójnym, jeśli będziesz chciał.

Hmm. No, może później, jak już się przyzwyczaję.
Drożnie usiadł na sankach, spodziewając się, że mogą
rzelić do przodu, tak jak tamte. Te jednak stały pod
cierpliwie, jakby czekały na polecenia. - Jak to się robi?
pytał Septimus, zdając sobie sprawę, że jeszcze nigdy
mawiał z przyjacielem o tym, w jaki sposób kieruje san-
mi byjechały w górę i w dół lodowych zboczy i czyniły
kładnie to, czego chciał.

Wystarczy pomyśleć, co chcesz zrobić, a one to robią,
warunkiem, że jesteś właściwą osobą. Gdybyś próbo-
I pojechać na moich, po prostu by cię zignorowały.

No dobra, w takim razie spróbuję - powiedział Septi-
m, a w duchu pomyślał: „powoli, tylko powoli”. A zatem
powoli, bardzo powoli - sanki ruszyły przy akompania-
mencie śmiechu Beetle'a.

Co im powiedziałaś, Sep? - krzyknął za nim przyjaciel.
Jak ślimak”?

Tylko próbuję - odparł Septimus, nieco urażony.

Więc spróbuj, jak prędko pojedą - podsunął Beetle.
Na pewno są niesamowicie szybkie. Znacznie szybsze od
tego starego grata. - Czułe kopnął swoje własne sanki.

Może później.

Dobra, Sep - rzucił Beetle, wsiadając na swoje sanki.
Ale Marcia prosiła, żebyśmy sprawdzili jeszcze jedną

Septimus uśmiechnął się. Jakie znaczenie miała Marcia,
dro wszedł w posiadanie takich pięknych sanek?

W porządku, Beetle - odrzekł. - Mogę ci teraz pomóc
inspekcji. Tak jak za dawnych lat.

Beetle uśmiechnął się.

Świetnie.

DOM NA WĘŻOWEJ POCHYLNI



Beetle oświetlił **właz** w sklepieniu tunelu. Znajdował się **nie** **zbyt** wysoko nad **ich** głowami, wystarczyło podskoczyć, **by** niemal go dotknąć. **W** **kół** włazu widniało owalne wgłębienie, a obok, **jak** zwykle, **meta-** **lowa** Pieczęć. Wszystko **ota-** **czała** cienka **li-** **nia** przezrzystego lodu.

■ Widzisz? - odezwał się Beetle. - Tutaj to samo. Lód
opadł, a potem zamarł na nowo. I... popatrzmy... tak,
został Zablockowany. Dziwne.

I Imm... - mruknął Septimus, nie do końca zaskoczony.
Ktoś tam, czyj to właz.
Beetle podniósł wzrok.

■ Oczywiście, to może być po prostu wadliwa Pieczęć
na drugiej stronie. Czasem się tak zdarza. Dobrze byłoby
iść i sprawdzić, ale niedawno wprowadził się tam bardzo
wzrostowy facet. Odludek, zdaje się. Nawet nie otwiera drzwi.

Wiem - odparł Septimus. - Szkoda. Ale jeszcze się nie
wyzwyczał.

■ Znasz go? - spytał zaskoczony Beetle.

Septimus podjął decyzję: zwierzył się przyjacielowi. Miał
dość utrzymywania swoich wizyt u Marcellusa w ta-
nymy.

No, tak. Znam. Ale... eee, Marcia nie wie, że się z nim
dużo. Zbieram się, żeby jej powiedzieć, ale ostatnio jest
p w sosie i... - Nagle coś sobie przypomniał. - O, kurczę.
Beetle, masz przy sobie zegarek?

Jasne. - Młody inspektor uśmiechnął się z dumą. Miał
najnowocześniejszy zegarek, który znaleziono na dnie
korytarza w Skrytorium i wyrzucono. Zabrał go i w ciągu
dwóch miesięcy, przy pomocy Skryby-Konserwatora, mo-
delnie poskładał. Było to piękne dzieło zegarmistrzowskie,
całkowicie ciche dzięki skomplikowanemu mechanizmowi
złożonemu z kołami zamachowym. A przede wszystkim zegarek bardzo
ładnie wskazywał czas.

Dumny Beetle wyciągnął zegarek z kieszeni. Był wyko-
ńczony ze srebra, łączącego ze złotem, i przywiązany do gru-
zy z rdzy. Na szczycie znajdował się spory uchwyt

z pokrętłem pośrodku. Zegarek spoczywał teraz na chłopaka niczym mały żółwik.

Septimus był pod wrażeniem.

- Jakim cudem sprawili, że jest taki mały? - spytał.

- Nie wiem - odparł Beetle. - Teraz już takich nie Wskazówki na tarczy zbliżały się do południa.

- O, do licha - mruknął Septimus. - Spóźnię się. J będzie bardzo zła.

- Jenna? - powtórzył przyjaciel piskliwym głosem.

- Tak. Mam się z nią tutaj spotkać i...

- Co? Tutaj?

- Nie, nie tu, na dole. Na górze. - **Wskazał** właz nimi. - W tym domu.

- Naprawdę?

Septimus wpadł na pewien pomysł.

- Może też byś poszedł? Spytałbym Marcellusa, czy **żemy** sprawdzić właz od wewnątrz.

- **Marcellus...** To ten dziwak, który tam mieszka?

- Wcale nie jest dziwakiem - odparł Septimus. - Po stu jest **trochę...** nieprzyzwyczajony.

- Nazwisko brzmi znajomo - stwierdził młody inspek

- Hej, czy to nie ten, który porwał cię przez Zwierciad Szalony stary Alchemik?

- No tak - przyznał Septimus. - Ale nie jest szalo I wcale już nie wygląda staro.

- Tak czy owak, to wciąż Alchemik - powiedział Beet

- Nic dziwnego, że ten właz sprawia problemy. Jejku, aż dziwię, że wszystko tu nie stopniało.

Septimus zaczął się zastanawiać, czy dobrze zrobił, **m** więc o całej sprawie przyjacielowi, ale teraz było już za p no.

„To otworzę właz, dobra? - zapytał. - Tylko na parę minut, jeśli się nie stanie. Zablokuję go z powrotem od wejścia.”

„Wydawał się wstrząśnięty.”

„Ciesz się otworzyć Zablokowany właz?”

„Tak. Wtedy będziemy mogli wejść z tej strony i spotkać Jenną...”

„Naprawdę jesteś umówiony na górze z Księżniczką? - spytał Beetle.”

„...Jus skinął głową, podskakując przy tym, by się rozprężyć. Miał wrażenie, że jego stopy zaczynają się zmieniać w bloki lodu.”

„Widziałam spotkanie z Jenną była dla Beetle'a nie do odpar-

„Niech będzie - zgodził się. - Ale naprawdę nie powinny być, Panna Djinn dostałaby szału, gdyby się dowiedziała.”

„Wyciągnął z sanek wyjął przedmiot, w którym Septimus poznał rozkładaną teleskopowo drabinę, po czym ją wyciągnął i oparł o ścianę. - Przytrzymam drabinę, Sep, a ty ciesz się otworzyć właz. Tak chyba będzie lepiej.”

„Dziesięć minut później obaj maszerowali długim, cuchnącym stęchlizną korytarzem, który prowadził od włazu do domu na Wężowej Pochylni. Septimus dobrze znał drogę. Pierwszy raz był tutaj, gdy dom należał do profesora Weasala Van Klampffa. Potworna gosposia profesora, Una Brakket, zaprowadziła chłopaka korytarzem do laboratorium. Wtedy przejście było ciemne i zakurzone, teraz jednak ktoś utrzymywał w nim porządek. W uchwyty na ścianach wetknięto w regularnych odstępach staromodne pochodnie. Wszystko wyglądało tak jak wtedy, gdy

Septimus mieszkał tu przez sześć szalonych miesięcy w tym Czasie jako Uczeń Alchemika Marcellusa Pye'a. T Beetle podążał za Septimusem, który szedł różnym krokiem przez korytarz, mijając odnogę, wiodącą do starego laboratorium, a dalej podążając długim, krętym korytarzem domami, wnoszącymi się nad Fosą.

Nie minęło wiele czasu, gdy Septimus i Beetle dotarli do krańca korytarza, i znaleźli się w dużej, łukowato sklepionej piwnicy pod domem. Septimus, zmartwiony, że spotka się na spotkanie z Jenną, przemierzył piwnicę, wbiegł po schodach i szarpnął drzwi.

- Marcellusie? - zawołał. - Marcellusie?

Nie doczekał się odpowiedzi.

Po cichu wszedł do domu, do środka wkroczył też spokojny Beetle. Woskowa woń świec mieszała się ze słodko-gorzkiem zapachem pomarańczy, goździków i czego Beetle nie umiał nazwać. Nie mógł się oprzeć wstrętni, że cofnął się w czasie. Septimus czuł się podobnie. Już do tego przywykł, ale gdy pierwszy raz przyszedł do starego Alchemika po tym, jak ten się wprowadził, nabrał nagle przekonania, że wciąż jest uwięziony w tym dawnym Czasie, a powrót do własnej epoki nastąpił tylko we śnie. W panice wybiegł z domu i poczuł ogromną ulgę na widok przechodzącej obok Jillie Djinn. Jillie nigdy nie zrozumie dlaczego Uczeń Marcii zarzucił jej ręce na szyję i powiedział, że bardzo się cieszy. Tego ranka wracała do Skryptyrium wyjątkowo zwawym krokiem. Nieczęsto ktoś zarzucił ręce na szyję Jillie Djinn.

Panująca w domu cisza spadła na obu chłopców niczym koc. Ruszyli wąskim holem, który oświetlało więcej światła niż Beetle kiedykolwiek widział w jednym miejscu. G

■ do stóp schodów z ciemnego dębu, chłopak ze zdumieniem zauważył, że na każdym stopniu stoi zapalona świeca.

Dziwne te wszystkie świece - szepnął z lękiem.

On nie lubi ciemności - odrzekł szeptem Septimus. **ii**, słyszę kroki na górze. **Marcellusie? Marcell...** usie! **wołał.**

Uczniu? - rozległ się głos z góry. - To ty?

Tak, to ja - **potwierdził** Septimus.

■ **wyżej** rozbrzmiały ciężkie kroki i po chwili **Beetle** ujrzał coś tak dziwnego, że zapamiętał ten widok do końca życia. Oświetlany od dołu przez kolejne świece, po schodach schodził ciemnowłosa, młody mężczyzna o **staromodnej fryzurze**. Miał na sobie szaty, które Beetle widział już w rycinach: czarno-złoty strój Alchemika. Rękawy tuniki wydawały się chłopakowi śmiesznie długie i **ślizgały się** po schodach za idącym. Pasowały do nich **dziwniejsze buty**, jakie Beetle widział w swoim życiu. **Ich** czubki miały z pół metra długości i były przywiązane **do** podwiązek, które mężczyzna nosił tuż poniżej kolan. **Chłopak** zdał sobie nagle sprawę, że mimowolnie otworzył **usta**, więc błyskawicznie je zamknął.

Mężczyzna zszedł na sam dół schodów. Septimus powiedział:

- **Marcellusie**, to mój przyjaciel, Beetle. Pracuje w Skryptorium. Beetle, to jest **Marcellus Pye**.

Beetle'a opadło poczucie nierzeczywistości. **Marcellus Pye** miał pięćset lat. Był Ostatnim Alchemikiem. Jego pisma były **zakazane** - nawet w Skryptorium - a tu on, Beetle został mu właśnie przedstawiony. Wydawało się to niemożliwe.

Mężczyzna wyciągnął rękę.

- Witaj - powiedział z dość dziwnym akcentem. -
młodzi skrybowie, wykonujecie wspaniałą pracę. **Wspani**

Niczym zabłąkana owca, **Beetle** gapił się na niego os-
łomiony, a nawet cicho zabeczał.

Septimus szturchnął owcę, by się opamiętała.

- **Och...** Dziękuję - wyjąkał **Beetle**, ściskając wyciągni-
dłoń Alchemika, która ku jego uldze okazała się ciepła, a
lodowata, jak się spodziewał. - Ale nie jestem skrybą, **tyl**
inspektorem. Sprawdzam Pieczęcie w Lodowych Tunela

- Aha - odrzekł **Marcellus**. - Zło konieczne, mam nadzie-
ję, że pewnego dnia zostanie usunięte.

- Nic mi o tym nie wiadomo - stwierdził **Beetle**, powr-
cając do urzędowego tonu. - Ale wiem, że włącz do te
domu został niedawno Odblokowany.

- Możliwe. Ale nie na długo. Zablockowałem go z powr-
tem. Nie masz powodu do obaw.

- **Ale...** - Chłopakowi przerwało dzwonięcie gdzieś n-
głową.

Marcellus wzdrygnął się na ten dźwięk. Wydawał s-
przerażony.

- To dzwonek przy wejściu - stwierdził, wbijając wzr-
w **drzwi**.

- Mam otworzyć? - zaproponował **Septimus**.

- A musisz? - spytał mężczyzna.

- Spróbuj być bardziej towarzyski - odparł chłopak. - **T**
ukrywanie się nie prowadzi do niczego dobrego.

- Ale słońce jest zbyt jasne, a hałas zbyt głośn-
Uczniu.

Dzwonek rozległ się ponownie, tym razem natarczywiej,

- Myślę, że to może być Jenna - stwierdził **Septimus**
którego korciło, by jak najszybciej otworzyć. - Powiedzia

i, że mogę ją tu przyprowadzić, pamiętasz? Powiedziałeś, powiesz nam, co się stało. Z Nickiem.

Marcellus wydawał się zdziwiony.

Z Nickiem? - spytał.

Septimus załamał się. Już od pół roku próbował nakłonić Ichemika, by powiedział mu, co wie o Nicku, i kilka dni ześniej Marcellus wreszcie na to przystał. Teraz wygłą-
ilo na to, że zapomniał. Znowu. Chłopakowi trudno było
rzywyknać do faktu, że choć Marcellus Pye znowu wygłą-
i jak młody mężczyzna, często zachowuje się jak starzec.
Od wieków miał nawyki, które ciężko było wykorzenić.
Nieraz powłóczył nogami niczym staruszek i przybierał
placzliwy ton. Ale Septimusa najbardziej drażniła jego
lepska pamięć. Kiedyś nieuprzejmym tonem powiedział
hemikowi, że to tylko lenistwo, Marcellus jednak odpa-
nwał, że ma w głowie wspomnienia z pięciu stuleci i gdzie
niby ma znaleźć miejsce na nowe?

Septimus westchnął. Zostawił w korytarzu wahającego
ię Marcellusa i poszedł otworzyć drzwi.

Sep! - zawołała Jenna z ulgą w głosie. Stała za progiem, potargana przez wiatr i przemarznięta. Kosmyki ciemnych, mokrych włosów okalały jej twarz. Ciasno opatuliła się czerwonym, zimowym płaszczem. - Nie spieszyles się stwierdziła, przytupując z zimna. - Na dworze jest okropnie. Nie wpuścisz mnie?

- Poproszę hasło - powiedział Septimus, nagle poważniejąc.

Jenna zmarszczyła brwi.

- Jakie hasło?

- Nie wiesz?

- Nie. O rany. Nie możesz mnie po prostu wpuścić?

- Hmm... Nie jestem pewien, Jen...

- Sep, marznę. Proszę.

- Niech będzie. Dlatego, że to ty.

Cofnął się. Jenna **wbiegła** do środka, umykając przed **de czem**, i zaczęła strzepywać z płaszcza krople wody. Nieo kiwanie przestała i popatrzyła podejrzliwie na brata.

- Nie ma żadnego hasła, prawda?

- Nie ma. - Septimus uśmiechnął się szeroko.

- Jesteś paskudny! - Jenna parsknęła śmiechem i pchnęła go. - O, cześć, **Beetle**. Miło cię widzieć.

Beetle zarumienił się i kolejny raz zapomniał języka w bie, ale Jenna najwyraźniej tego nie zauważyła. Była zajęta wyciąganiem rudego kota spod płaszcza i układaniem go sobie na rękach, co zaskoczyło chłopaka, bo nie myślał o **niej** jak o kimś, kto może mieć kota.

- Witaj, **Esmeraldo** - powiedział Marcellus z **jakiegoś** powodu, którego Beetle nie **rozumiał**.

- Witaj, **Marcellusie** - odparła Jenna. Uśmiechnęła **się**. Zdażyła już zapomnieć, że w jego czasach często brano ją za Księżniczkę Esmeraldę.

Alchemik oddał im staromodny ukłon.

- Pójdźcie, Księżniczko, Uczniu i Skrybo - powiedział.

Po chwili Beetle ruszył za **Jenną**, **Septimusem** i **Marcel** **lusem** po schodach, lawirując między kapiącymi woskiem świecami i zastanawiając się, w co też się wpakował. I jak to wyjaśni, kiedy o wszystkim dowie się panna Djinn - która zawsze się o wszystkim dowiadywała.

† 15 †

NA STRYCHU

Poszli za Marcellusem
do małego pomieszczenia
na najwyższym piętrze do-
mu. Była to ciemna prze-
strzeń, wciśnięta pod
pochyły dach i wyłożona
boazerią. Do nielicznych
zgromadzonych tam mebli
należały stary stół i dwie
ławki, a także kilka tkwiących
pod ścianami krzeseł, które
zostawił poprzedni właściciel,
Weasal van Klampff.
Pośrodku stołu stał rząd



W

świec, zapalonych tego ranka przez gospodarza i już do połowy wypalonych.

Gdy Marcellus wprowadził ich do środka, Septimus poczuł dreszcz, rozpoznając pomieszczenie - jeszcze nie tak dawno było jego pokojem. W istocie jednak - wręcz niemożliwie dawno. To tutaj przez kilka pierwszych nocy które chłopak spędził w Czasie Marcellusa, pod drzwiami spał Skryba Alchemiczny, by uniemożliwić mu ucieczkę. To tutaj Septimus rozpaczliwie obmyślał najróżniejsze szalone plany powrotu do własnej epoki. To tutaj przesiadywał całymi godzinami i wyglądał przez okno, wypatrując jakiejś znajomej twarzy wśród przechodniów na ulicy. Ogólnie biorąc, ten pokój nie zaliczał się do jego ulubionych miejsc na świecie, ale teraz tu wrócił, razem z Beetlem i Jenną. O tym nigdy nie śmiał nawet marzyć. Nagle poczuł się bardzo dziwnie. Usiadł z hukiem na jednej z ław przy stole.

Beetle i Jenna zajęli miejsca obok niego i po chwili wy czekujące spojrzenia trzech par oczu zwróciło się na Marcellusa. Mężczyzna patrzył na całą trójkę ze zdziwionym wyrazem twarzy.

- No dobrze... Po co tu weszliśmy? - spytał.

- Chodzi o Nicka. Pamiętasz... - powiedział Septimus z nadzieją w głosie, choć nie miał pojęcia, po co Alchemik przywiódł ich do tego pokoju.

- O Nicka? - powtórzył tępo Marcellus.

- O Nicka. Mojego brata. Został uwięziony w twoim Czasie. Musisz pamiętać - odparł Septimus z nutką desperacji w głosie. Od miesięcy zabiegał o to spotkanie, a teraz pamięć Alchemika znowu płątała im figła i czuł, że wszystko znowu wymyka mu się z rąk.

A, przypominam sobie - odezwał się **Marcellus**. W **chło-**
u odżyła nadzieja. - Położyłem gdzieś moje okulary. Na-
Ich potrzebuję. To bardzo irytujące. Gdzie one są?

Masz **je** na głowie - podpowiedział ostrożnie Septimus.

Ach, rzeczywiście. - Mężczyzna sięgnął po okulary
Wsunął je sobie na nos. - Dobrze - powiedział. - Będą mi
potrzebne do papierów Nicka.

Septimus poczuł podniecenie - nareszcie dokądś zmie-
rzali. Uśmiechnął się do Jenny, w której oczach lśnił podej-
my blask, jak zawsze, gdy padało imię Nicka.

Znowu powłócząc nogami niczym starzec - co Beetle
Wkladał na karb dziwnych butów - Marcellus podszedł
do kominka i nacisnął mały kafelek z boku, który otworzył
I **nie** ze smętnym skrzypnięciem. Wszyscy patrzyli, jak wy-
a plik postrzępionych, wyschniętych papierów. Wrócił
Ntóżnie położył je na stole.

Jenna aż się zachłysnęła, bo wszystkie **były** pokryte cha-
akterystycznymi gryzmołami Nicka.

Nicko i Snorri je zostawili - wyjaśnił Alchemik.

Dla bezpieczeństwa schowałem je w kominku. Bałem się,
że ktoś wyrzuci te zapiski, bo wyglądają na notatki i bazgro-
ly, pisane niewprawną ręką. Ale z biegiem lat, a minęło **ich**
wiele, bardzo **wiele**... zapomniałem o tej kryjówce. Zaiste,
Uczniu, nie pamiętałem o niej, aż kilka miesięcy później
opytałeś mnie o swojego brata.

- I powiedziałaś, że **nie** pamiętasz - przypomniał Septi-
mus.

- To prawda, tak było. Ale potem zaczęły **do** mnie wracać
różne sprawy z dawnego życia. Pewnego dnia wszedłem
do tego pokoju i sobie przypomniałem. Na krótko. Potem
przez wiele tygodni wspinałem **się** tutaj, by potem się zasta-

nawiać, czego właściwie chciałem. Ale kiedy ostatnim **F** wspomniałeś o Nicku, zapisałem to sobie. Wszędzie noszę ze sobą tę karteczkę i gdy znowu tu wszedłem, wszystko się przypomniało. Nawet ta kryjówka, która, o dziwo okazała się nietknięta. Dlatego wysłałem ci wiadomość, żebyś tu dzisiaj przyszedł.

- Dziękuję - powiedział chłopak.

- Jestem ci to winien, Uczniu. Przyznaję, że wielu pisków Nicka nie mogę odczytać, ale może ty lepiej z pismo swojego brata. Może te notatki opowiedzą ci historię. Wypełnię luki najlepiej, jak będę umiał.

Jenna niepewnie popatrzyła na notatki. Atrament **zl** i miał barwę bladej sepii, papier zaś był cienki i nierównie brązowy, jak litery. Mimo to miała pewność, że robota Nicka. Na kartkach widniały zarysy łodzi, **szl** różnych żagli, ślady licznych rozgrywek w kółko i **krzyż** okręty, wisielca oraz gry, których nie znała, a także **mn**stwo tabelki. Wcale jednak nie poczuła się bliżej **Nic** przeciwnie, widok jego **gryzmołów** na tak starym, **kruch** papierze zdawał się go jeszcze bardziej oddalać. Zaczęła przyglądać długiemu, wąskiemu kawałkowi papieru i napłynęły jej do oczu.

- Co tam jest napisane, Jen? - zainteresował się Seamus.

- Zrobił... zrobił listę.

- Typowe dla Nicka - stwierdził chłopak. - No, dał przeczytać na głos.

- A. Dobrze. Napisał:

^{lecałki}
Zmaty (jeśli będą) albo wilcze skóry z targu

- Prowiant na przynajmniej dwa tygodnie.
- Zapytać na tarau o solona żywność.
- Suchary i suszone owoce
- Hubka i krzesiwo
- Świece
- 2 bufelki wody albo jakieś dzbanu
- Pozwolenie na podróż? Spytać M.
- 2 ciepłe płaszcze
- Buty obszyte futerem jeśli to możliwe
- Szczęśliwe skarpetki ciotki Ells - nie zapomnieć
- 2 złote błyskotki. Aya myło.
- Pudełko na kompas Snorri.

Gdy skończyła odczytywać listę, papier zaczął kruszyć jej w palcach. Szybko odłożyła go na stół.

Ciekawe... dokąd się wybierał - powiedziała.

W jakieś zimne miejsce. To wynika z listy - stwierdził egle, który sam był wielkim miłośnikiem list i spisów.

Jennie nie podobała się myśl o Nicku, wyruszającym przed pięciuset laty - w jakieś zimne miejsce. Usiadła woli, głaszcząc Ullra, by się uspokoić. Kot leżał zwinięty jej kolanach i zdawało się, że śpi, ale Jenna wiedziała, to pozory. Bezruch i lekkie napięcie mięśni zdradzały uśpienie, jakby był gotów do skoku.

Septimus zerknął na Marcellusa. Dobrze znał dawnego mistrza i wiedział, że ten ma coś do powiedzenia - coś ważnego.

- Coś wiesz, prawda? - spytał. - Powiedz nam. Proszę.

Marcellus skinął głową, ale milczał. Siedział u krańcu stołu i jakby śnił na jawie, patrząc na rząd świec, na płomienie, tańczące pod wpływem ruchów powietrza, które wpadało

przez szpary w nieszczelnych oknach. Otrząsnął się z z
ślenia i podniósł wzrok.

- Najpierw - powiedział - trochę ciepła.

Podniósł się, wziął staromodny krzemień i skrze
iskrę, by rozniecić ogień w kominku.

Gdy z bierwion strzelił płomień, Alchemik pochylił
nad stołem i zaczął mówić bardzo powoli - Septimus
miętał, że mistrz wypowiadał się w ten sposób zawsze, ki
dy chciał, by Uczeń bez reszty się skupił. Lecz tego popoł
dnia Marcellus nie mógł narzekać na brak uwagi ze stro
słuchaczy - wszystkie oczy patrzyły tylko na niego. Pr
akompaniamencie odległego dudnienia burzy - a ta
znacznie mniej odległego burczenia w brzuchu zawstydn
nego Beetle'a - Marcellus Pye zaczął mówić.

†→ 16

MAPA SNORRI



Alchemik mówił cichym, spokojnym głosem.

Jak tylko zniknąłeś za Wielkimi Odrzwiami Czasu, Zwierciadło się stopiło - zaczął. - Nie umiem wyrazić, jak **nie** uszny był to widok. Mój wielki triumfzmiął się w czar-
na kałużę na podłodze... - Pokręcił głową, jakby wciąż **nie** mógł uwierzyć w to, co się stało. - Oczywiście wtedy **nie** wiedziałem, że Nicko to twój brat, zresztą omal mnie **nie** udusił, więc mało mnie obchodziło, kim jest. Ale parę fliulzin później wrócił z dziewczyną o imieniu Snorri i opo-
wiedział mi, jak przeszli przez inne Zwierciadło, żeby cię **ratować**, Uczniu. Byłem pod wrażeniem jego odwagi, lecz **kiedy** spytał, czy on i Snorri mogą przejść przez Zwiercia-

dło Czasu, mogłem tylko pokazać im tę koszmarną ckałużę. W tamtej chwili rozwiały się wszystkie moje przecucia co do Nicka. Wyglądał, jakby stracił wszystko miał na świecie. I tak właśnie było. Snorri też, ale nie zareagowała. Wszystkie jej emocje pozostawały głęboko ukryte, ale Nicko... przypominał otwartą księgę.

Jenna okręcała sobie kosmyk włosów wokół palca. Zwykle trudno słuchało jej się opowieści o Nicku i ciągle się wyobrażała, jak się musiał czuć.

Marcellus mówił dalej.

- Nie mogłem zrobić nic więcej niż tylko zapewnić dach nad głową, a także służyć pomocą w innych kwestiach. Zatem przez kilka miesięcy, nie pamiętam dokładnie, ile, mieszkali u mnie. Na początku byli udręczeni i spokojni, zupełnie jak ty, Uczniu. Ale po paru tygodniach zauważyłem, że to się zmieniło. Nabrali pewności siebie. Uśmiechali się, a czasem nawet głośno śmiali. Najbardziej myślałem, że przyzwyczaili się do mojego Czasu i może nawet bardziej im się w nim podoba, bo to był naprawdę dobry Czas. Ale pewnego wieczoru przyszli do mnie i powiedzieli mi o ciotce Ells. Wtedy poznałem prawdę i dowiedziałem, że wkrótce odejdą.

- Ciotka Ells - powtórzyła w zamyśleniu Jenna. - Jest pewna, że już słyszałam to imię.

- To możliwe, Księżniczko - odparł Marcellus. - Ells pracowała z praciotką Snorri. Spotkali ją na targu przy drodze. Sprzedawała marynowane śledzie.

- Spotkali praciotkę Snorri? - powtórzył Septimus
- W twoim Czasie?

- Owszem. Nicko kupił śledzie dla Snorri i okazało się, że sprzedaje je ciotka Ells. Wkrótce planowali już pod

głębokich lasów w Niskich Krainach. Ciotka Ells powiedziała im chyba, że znajduje się tam miejsce Połączenia (kich Czasów. Nazywa się ono Dom Foryksów.

Wokół stołu zapadła cisza, gdy obecni chłonęli usłyszane informacje. W oddali znowu zagrzmiało i podmuch wiatru wusił zasnął oknami.

Foryksy występują tylko w baśniach. Tak naprawdę nie istnieje - odezwał się Septimus.

Kto wie? - odparł Marcellus. - Kiedyś myślałem, że wiele rzeczy nie istnieje, a teraz nie jestem już taki pewien.

Nicko udawał Foryksa, jak byliśmy mali - powiedziała Jenna tęsknym tonem. - Naciągał sobie tunikę na głowę i głośno warczał. I straszył mnie historyjkami o watahach foryksów, które biegały, biegały, nigdy się nie zatrzymują i pożerają wszystko na swojej drodze, włącznie z małymi dziełeczkami. A kiedy musieliśmy przejść przez drogę, zaczął mi uważać na konie, wozy i Foryksy. - Roześmiała się.

Okropny był, co?

Septimus też popadł w melancholię. Zawsze gdy Jenna mówiła o „starych czasach” w Gmaszysku, kiedy to cała rodzina Heapów mieszkała jeszcze razem, przypominał sobie, co go ominęło. Nie zawsze było to miłe uczucie. Zmienił temat.

- Ale co z ciotką Ells? Jak to możliwe, że znalazła się w twoim Czasie?

- Przypomniałam sobie, co mówiła Snorri - odezwała się Jenna. - Jej ciotka Ells wpadła w Zwierciadło, kiedy była młoda. Nikt jej więcej nie widział.

- Zdaje się, że tak właśnie było - potwierdził Marcellus.

- Powiedziała, że przeleciała przez Zwierciadło i znalazła się w Domu Foryksów. Podobno było to miejsce jak ze snu,

którego większość ludzi nie chciała opuszczać. Ale Ells była upartym dzieckiem, więc postanowiła jak najciej stamtąd wyjść i wrócić do domu. I faktycznie ale niestety trafiła do niewłaściwego Czasu. Nicko był wien, że jeśli zdołają ze Snorri dotrzeć do Domu Foryk to znajdą drogę powrotną do swojego Czasu. Wydaje się, że ciotka Ells nie była tego taka pewna.

- A jak już wyruszyli - spytał Septimus - miałeś od ni jeszcze jakieś wieści?

Alchemik pokręcił głową.

- To były ciężkie dni. Powinna się odbyć koronacja Esraldy, ale Księżniczka miała tak zszargane nerwy, że odmó powrotu do Pałacu. Na kilka lat została na Mokradłach ram z moją kochaną żoną, Brodą. Objąłem funkcję reg musiałem zawiadywać Pałacem i do tego dalej prowadził doświadczenia alchemiczne. W pewnym momencie zdał sobie sprawę, że cały rok minął bez żadnej wieści od Ni i Snorri. Niepokoiłem się, bo wyraźnie ich poprosiłem, że przesłali mi wiadomość, że są bezpieczni. Lasy Niskich nie były wówczas zbyt przyjazne. Nie wiem, jak teraz wy dają lasy, ale w moim Czasie zamieszkiwały je najróżniej potwory i poczwary. Oczywiście powiedziałem o tym wszystkim Nickowi i Snorri, ale nie chcieli słuchać. Byli zdecydowa na tę podróż. Było mi bardzo przykro. To znaczy wtedy, bo m ślałem, że postradali swoje młode życie. Ale teraz... kto wie?

Jenna wyprostowała się, a w jej oczach załśnił blask n dziei.

- Czyli teraz wiesz coś jeszcze?

Marcellus ze smutnym uśmiechem pokręcił głową. Wiem teraz niewiele więcej, niż wtedy - odrzekł. - Ale co t oznacza? Opowiem wam o Demelzie Heap.

Demelzie? - powtórzył Septimus. - Nie wiedziałem, jak wyglądała jakaś Demelza Heap.

Teraz może nie ma - odparł Alchemik - ale kiedyś, I Demelza powiedziała mi, że widziała Nicka i Snorri. Dwieście lat po tym, jak mnie opuścili.

W pomieszczeniu zapadła cisza.

- Dwieście lat? - szepnęła Jenna.

Po grzbiecie Beetle'a przeszedł zimny dreszcz. To budziła ją myśl. Pomyślała, że Jillie Djinn miała rację co do Alchemików.

Marcellus zauważył minę chłopaka.

Widzisz, głodny Skrybo, ściągnąłem na siebie przekleństwo wiecznego życia bez wiecznej młodości. - Oczy Beetle'a zdumienia stały się większe. - Nie polecam. - Mężczyzna krzywił się. - Gdy osiągnąłem wiek mniej więcej dwustu lat, byłem tak stary, że nie mogłem już znieść jasnego światła i hałasów tego świata. Wszystko tak bardzo zmieniło, że nie pasowałem do rzeczywistości i pragnąłem ukryć się w jakimś ciemnym, cichym miejscu. Na swoje mieszkanie wybrałem Starą Drogę, która przebiega między Pałacem a moją Komnatą Alchemii. To tajne miejsce pod ziemią, które nie jest Zabłokowane lodem. Wydajesz się zaskoczony, skrybo. Ciągle pozostaje trochę miejsc, nietkniętych przez Zamrożenie. Tak czy owak, postanowiłem sprzedać dom, dopóki mogłem. I właśnie wtedy spotkałem Demelzę Heap. Ciągle pamiętam chwilę, kiedy otworzyłem drzwi i ją rozpoznałem. Była uderzająco piękna, wysoka, o zielonych oczach i takich samych włosach, jak twoje, Uczniu, chociaż chyba trochę częściej używała grzebienia. Gdy byłem młody, prowadziła sklep z przyrządami ze świetnego szkła, których używałem w swoich doświadczeniach. Przez lata dobrze ją

poznałem, ale zniknęła podczas podróży do mistrzów
chania szkła z Niskich Krain. Wyruszyła tam, żeby wysłać
dla mnie specjalne kolby, więc zawsze żle się z tym czu-

A zatem na progu moich drzwi stała Demelza
ponad dwieście lat po tym, jak wyruszyła do Niskich
in, a równie młoda, jak wtedy. Nie poznała mnie, m-
rozumieć, bo bardzo się zestarzałem. Kiedy powiedziałem
kim jestem, na początku mi nie uwierzyła, ale nie ch-
się spierać ze starcem. Zaczęliśmy rozmawiać przy ku-
miodu. Myślę, że miło gawędziło jej się z kimś, kto
nazywał jej wariatką, gdy opowiadała o tym, co ją spot-
Powiedziała, że zabłądziła w lesie i uciekając przed wa-
Foryksów (tak właśnie powiedziała) znalazła schronie-
w miejscu, jak mówiła, Połączenia Wszystkich Czas-
Nazywała je też Domem Foryksów.

Jenna z trudem się zdobyła, by zadać to pytanie.

- Spytałeś Demelzę, czy widziała Nicka?

- Tak.

Jenna i Septimus wymienili podekscytowane spojrzenia

- I co? - ponaglił chłopak.

Marcellus uśmiechnął się.

- Nie tylko go widziała, ale nawet z nim rozmawiała

Uznała, że jest jego pra-pra-pra-pra-pra-pra-pra-praciotką.

Wreszcie się dowiedziałem, co się z nimi stało.

- Nicko dotarł do Domu Foryksów - powiedziała z pod-
nieceniem dziewczyna.

- Na to wygląda - odparł Marcellus.

- Czyli może wrócić!

- Może za sto lat, więc i tak nigdy go nie zobaczymy

- odparł jej brat posępnym głosem. - A może wrócił sto la-
temu i teraz już nie ży...

na mu przerwała.

Sep, nie! Proszę, po **prostu**... nie.

Uczniu, dosyć - ofuknął go **Alchemik**. - Miewasz czasa-
naprawdę ponure myśli. Musimy mieć nadzieję, że szybko
umieli Zasadę Domu **Foryksów**, której biedna Demelza
pojęła, aż było za późno.

Jaką zasadę? - spytała Jenna.

Nie zdała sobie sprawy, że trzeba wyjść, kiedy przybę-
- **ł** I toś z twojego Czasu. Ten ktoś musi pozostać na ze-
- **mi** i nie wolno mu wejść. Kiedy przekroczysz
próg, nie należysz już do żadnego Czasu.

Więc tak właśnie zrobimy - powiedziała Jenna, podska-
ując z emocji. - Pójdziemy do Domu Foryksów, a Nicko
Wyjdzie z nami.

I Snorri. Nie zapominaj o Snorri - dodał Septimus.

Jego siostra pozostała niewzruszona.

Gdyby nie Snorri, Nicko byłby **tutaj**.

- Oj, Jen.

Ale to prawda - odparła. - Oczywiście, że Snorri też
wabierzemy - dodała wielkodusznie. - Skoro i tak już tam
będziemy.

Septimus westchnął.

- Wydaje ci się to zbyt proste. Wystarczy złapać okazję
wozem do Domu Foryksów, zapukać do drzwi i spytać
o Nicka. Szkoda, że to nie tak.

- To właśnie zamierzam zrobić, Sep, i nieważne, co o tym
myślisz. Nie musisz jechać.

- Oczywiście, że muszę - odparł cicho.

Z cichym jękiem Marcellus podźwignął się z krzesła. Po-
człapał do schowka w kominku i wyjął duży, złożony kawał
papieru, z którym wrócił następnie do stołu.

- Zamierzałem wam tego nie pokazywać, o ile nie pewien, że n^{ic} was nie powstrzyma przed wyprawą do mu Foryksów - powiedział, powoli rozkładając szelesz cą, brązową płachtę, na której ujrzeli mapę.

Mapa była bardzo schludnie narysowana. Na dole miały słowa: DLA MARCELLUSA Z PODZIĘKOWANI OD SNORRI I NICKA.

- To kopia, którą narysowała dla mnie Snorri - wyja Alchemik. - Pomyślałem, że jeśli kiedyś dojdą mnie słuc że mają kłopoty, będę przynajmniej wiedział, gdzie i szukać.

Z respektem patrzyli na cienkie linie, które Snorri n sowała ołówkiem tak precyzyjnie i tak dawno temu.

- Więc to jest droga do Nicka - westchnęła Jenna.

- Musicie traktować mapę z rozwagą - powiedział z n ciskiem Marcellus, czując, że chyba za bardzo ich zachęci - Pamiętajcie, że Ells rysowała oryginał z pamięci, przyw łując wspomnienia z czasów, kiedy miała tylko dziewięć l Miała przynajmniej (choć nigdy nie powiedziałbym jej te w oczy) pięćdziesiąt lat, żeby zapomnieć szczegóły. Ma może być niedokładna.

Przeglądali się mapie z bliska, usiłując dostrzec jakiś sen w plątaniu zatartych linii na pożółkłym papierze, gdy nagl huknął donośny grzmot. Marcellus podskoczył i jeden z dłu- gich rękawów jego szaty znalazł się nad skupiskiem świ pośrodku stołu. Obrębiony pierwszorzędnym jedwabie rękaw zajął się ogniem i pomieszczenie wypełnił okropn smród palonej wełny. Marcellus krzyknął z przerażenia i zaczął wymachiwać rękami niczym niezdarne ptaszysko. Udało mu się jedynie podsycić płomień i przewrócić świece Od jednej z nich zapłonął skraj mapy.

■ Nie! - krzyknęła Jenna. Złapała mapę i zdusiła ogień
■ **nie** zważając na piekące oparzenie.

Ratunku! - wydarł się **Marcellus**, tańcząc po pomieszczeniu z palącym się rękawem. - Uczniu, na pomoc!

■ **Wiadro!** - zawołał **Beetle**.

■ **Wiadro?** - spytał **Septimus**.

I **Wiadro!** - **Beetle** złapał wiadro wody, które zauważył przy kominku (**Marcellus** odczuwał lęk przed ogniem i trzymał jedno w każdym pokoju) i chlusnął jego zawartością na **Alchemika**.

Powietrze wypełnił głośny syk, a także znaczne ilości dymu. **Marcellus** opadł na krzesło.

Siedział teraz i ze smutkiem oglądał zniszczony rękaw, podczas gdy **Jenna** z powrotem składała cenną mapę, a **Septimus** i **Beetle** zbierali z podłogi notatki **Nicka**.

Marcellusie, dobrze się czujesz? - spytał ten pierwszy z **przemoczonego** i lekko dymiącego **Alchemika**.

Mężczyzna pokiwał głową i wstał na nogi.

- Ogień to straszna rzecz - stwierdził. - Dziękuję ci, **skrybo**, za szybkie działanie.

Nie ma za co - odparł **Beetle**. - Zawsze do usług.

Oby nie było potrzeby - odrzekł **Marcellus**.

Jenna ułożyła pozostałe notatki **Nicka** w schludną stertę na stole i **Alchemik** podszedł, by je zabrać. Dziewczyna zasłoniła je ręką.

- Chciałabym je zatrzymać - powiedziała.

- W porządku, **Księżniczko**. Są twoje. - **Marcellus** otworzył szufladę i wyciągnął z niej trochę bibuły. Z dużą ostrożnością owinał nią kruche papiery, przewiązał wstążką i podał **Jennie**. Wsunęła zawiniątko pod swój płaszcz, a potem podniosła **Ullra**.

- Może ja je wezmę, Jen? - zaproponował Septimus.
dasz rady nieść i papierów, i Ullra.

- Właśnie, że dam - odparła i zdecydowanym kr
wyszła z pomieszczenia, jakby już teraz zmierzała do
Foryksów.

Gdy schodzili po oblanych blaskiem świec sch;
Septimus odezwał się: - Marcellusie?

- Tak, Uczniu? Oj! Uważaj na płaszcz przy tej **świ**

- Och. Hmm... Myślisz, że Nick i Snorri nadal są w
mu Foryksów? Po takim czasie?

- Może... - odrzekł powoli Marcellus, gdy dotarli do
ciego piętra. Jenna przyspieszyła na następnym fragm
schodów, stukocząc cicho butami o drewniane sto
a tymczasem Alchemik zatrzymał się, by rozważyć tę k
stię. - A może ja będę się raczył herbatką z Czarodzie
Nadzwyczajną na szczycie Wieży Czarodziejów - **po**
dział. - Wysoce nieprawdopodobne, ale przecież nie zu
nie niemożliwe.

Septimus wolałby, żeby Marcellus podał inny **przyk**
Biorąc pod uwagę opinię Marcii na temat Alchemika - a
że całkowitą niewiedzę o jego istnieniu w obecnych czas
- słowa „zupełnie niemożliwe” całkiem tu pasowały.

Jenna czekała niecierpliwie w holu. Gdy dołączyli do
Septimus, **Beetle** i Marcellus, rozległo się natarczywe **pu**
nie do drzwi. Wszyscy aż podskoczyli.

- Racz drzwi odewrzeć, Uczniu - powiedział Marcelli
ze zdenerwowania powracając do starej mowy.

- Nie muszę, jeśli sobie tego nie życzysz - odparł **ch**
pak, który miał straszne przeczucie, że tylko jedna os
w Zamku zlekceważyłaby w pełni sprawny dzwonek i w
ki sposób zaatakowała kołatkę.

hemik z trudem się opanował.

le, nie. Masz rację, Uczniu. Nie powinienem się **ukry-**
rzed tym Czasem - powiedział. - Otwórz drzwi i bę-
y towarzyscy, jak radziłeś.

ptimus niepewnie pociągnął drzwi.

lyba się zacięły - stwierdził.

Duj, ja spróbuję - zaproponował **Beetle** i mocno szarp-
na klamkę. Drzwi otworzyły się na oścież i ich oczom
ła się stojąca na progu Marcia, potargana, **przemo-**
n i zła.

Och - jęknął Septimus. - Witaj.



- **No** - odezwała Marcia lodowatym tonem. - Nie zaprosić mnie do środka?

Septimus z przerażeniem rozejrzał się dookoła i napotkał wzrok Marcjusa.

- Z przyjemnością, pani **Marcia** - powiedział Alchemik, oddając jej jeden ze **SW**

staromodnych ukłonów. - Proszę wejść. - Odsunął się bok w samą porę, by Marcia nie podeptała jego butów, y wparowała do wnętrza.

Zamknięte - poinstruowała drzwi, a te zatrzasnęły z takim hukiem, że aż zatrzęsły się nadwątlone ściany arego domu.

Marcellus jednak pozostał nieporuszony. W swoim daw-
wym Czasie często miewał do czynienia z agresywnymi
zarodziejami Nadzwyczajnymi. Wiedział, że najlepiej za-
hować zimną krew i zawsze być uprzejmym, bez względu
■ prowokacje.

Drak pewności siebie, związany z przebywaniem poza
woim Czasem, nagle zupełnie go opuścił. Istniały w życiu
■prawy ponadczasowe i Czarodzieje Nadzwyczajni do nich
■należeli. Poczuł się całkiem swobodnie.

- Jak miło, że pani przyszła - powiedział. - Mogę zapro-
ponować coś do picia?

- Nie - warknęła Marcia. - Nie może pan.

Ach - mruknał i pomyślał, że kroi się jedno z trudniej-
szych spotkań.

Czarodziejka popatrzyła na Septimusa mniej więcej tak,
jak wąż spogląda na mysz w porze obiadu.

- Septimusi - powiedziała lodowatym głosem - może
zechciałbyś mnie przedstawić swojemu... przyjacielowi.

Chłopak rozpaczliwie pragnął być gdzieś indziej. Gdzie-
kolwiek. Pasowałoby mu nawet dno nory rosomaków
w Puszczy.

- Hmm - mruknał.

- No? - Marcia tupnęła lewą nogą, obutą w szpiczasty
trzewik z fioletowej wężowej skóry z nowymi, zielonymi
guziczkami.

Septimus wziął głęboki wdech.

- Marcio, to jest Marcellus Pye. Marcellusie, to jest Marcia Overstrand, Czarodziejka Nadzwyczajna.

- Dziękuję, Septimusi - powiedziała Marcia. - Tak śnie sądziłam. Panie Pye, mój Uczeń nie będzie już się p narzucał. Już tu nie wróci i przepraszam za wszelkie kł ty, jakie mógł sprawić przez ostatnie miesiące. Chodź, timusie. - Z tymi słowami ruszyła do drzwi, ale Marc znalazł się tam pierwszy i zagroził jej drogę.

- Mój dawny i bardzo ceniony przeze mnie Uczeń sprawiał żadnych kłopotów - stwierdził. - Bardzo z pani strony, że pozwalała mi go pani od czasu do c wypożyczać. Jestem nad wyraz wdzięczny.

- Wypożyczać! - wybuchnęła Czarodziejka. - Septi to nie książka z biblioteki. Nie zapomniałam, że go „wypożyczył”, jak pan to ujął, na całe sześć miesięcy i tował mu tak okropny los. Nie rozumiem, dlaczego jes chce pana widywać. Ale nie pozwolę, by dalej był po wany pańskim alchemicznym bzdurem. Żegnam. Otw - Ostatnie słowo skierowane było do drzwi. Te otwor się na oścież i niemal przygwoździły Marcellusa do ści Septimus, Jenna i Beetle z ociąganiem wyszli za Ma na deszcz i wiatr.

Septimus nieśmiało pomachał Marcellusowi.

- Zamknięte! - krzyknęła Marcia, a drzwi zatrzasn się, wstrząsając oknami starego domu. Huk grzmotu pr toczył się w oddali, gdy Czarodziejka besztła ich po kol - Beetle - warknęła. - Zaskoczyłeś mnie. Mam nadzieję, twojego dobra, że panna Djinn nie dowie się o brataniu z Alchemikiem, a już zwłaszcza z tym Alchemikiem. Jen spodziewałam się, że nauczyłaś się już trzymać z dala

człowieka. To syn Etheldreddy, na litość. Chodź, Sep-
tusie, chciałabym omówić z tobą kilka spraw.

Marcia i Beetle posłali mu współczujące spojrzenia, gdy
ona da gnała go szybko Wężową Aleją, prowadzącą do Dro-
gę Czarodziejów. Beetle chciał spytać Jennę, czy odprowadzić
do bramy Pałacu, ale rozżłościł się na siebie, bo nie miał
siły. Jenna pomachała mu i ruszyła po Wężowej Pochylni
w stronę Pałacu. Beetle włókł się w zółwym tempie, wybierając
najdłuższą drogę ku Skryptorium i ku możliwemu spotka-
niu z Jillie Djinn. Ta perspektywa zupełnie go nie pociągała.

Marcia i Septimus skręcili w Drogę Czarodziejów. Znad
rzeki powiał nagle gwałtowny wiatr, niosąc krople deszczu
wzdłuż szerokiego traktu. Opatulili się płaszczami, aż wy-
glądali jak roztrzęsione kokony. Żadne nie powiedziało ani
słowa.

W połowie drogi zielony kokon w końcu się odezwał.

Uważam, że byłeś bardzo nieuprzejma - stwierdził.

- Co? - Marcia nie wierzyła własnym uszom.

- Uważam, że byłeś bardzo nieuprzejma wobec Marcel-
lusa - powtórzył Septimus.

Ten człowiek - prychnęła Czarodziejka, której niemal
zabrakło słów - nie ma prawa oczekiwać niczego więcej.

On był dla ciebie bardzo miły.

- Hmm. Liczą się czyny, a nie tylko słowa. Uważam, że to
miłego, porwać mojego Ucznia i narazić go na ogromne
niebezpieczeństwo. Nie wspominając o tym, co robi teraz.
Za moimi plecami podsuwa Uczniowi najróżniejsze dziwne
I groźne pomysły.

- Nie ma żadnych dziwnych ani groźnych pomysłów
- zaprotestował Septimus. - I nie wiedział, że ci o nim nie
powiedziałem.

- Ale dlaczego mi nie powiedziałeś? - spytała. - miesiący wmawiasz mi, że odwiedzasz swoją nieszcz matkę. Nic dziwnego, że miała taką dziwną minę, spytałam, czy się cieszy, że tak często się widujecie. W" mi się trochę zbyt zgryźliwa. Gdybym dziś rano nie p do Terry'ego Tarsala, nigdy bym się nie dowiedziała. wiasem mówiąc, chciałabym się dowiedzieć, jak właśc Marcellus znowu uzyskał taki młody wygląd i dlac mieszka w domu starego, biednego Weasala.

- Najpierw to był dom Marcellusa - odparł chło ignorując pierwsze pytanie. - Też w nim mieszkałem w go Czasie. Opowiadałem ci. A ty w zeszłym roku nie m łaś: „Stary, biedny Weasal”. Mówiłaś, że ma szczęście, nie trafił na wygnanie razem ze swoją gosposią.

- Bo tak było - stwierdziła Czarodziejka.

Nie chcąc, by Marcia drażyła kwestię młodego wygl Marcellusa, Septimus szybko kontynuował.

- Kiedy więc Weasal przeprowadził się do Portu, Marc lus odkupił jego dom za część bryłek złota, które ukrył p błotem na Wężowej Pochylni.

- Naprawdę? Zdaje się, że zapiął wszystko na osta guzik, prawda? Ale rzecz w tym, że nie powinnam bie za swoim Uczniem tylko po to, by dowiedzieć się, co t właściwie robi. Naprawdę nie powinnam.

- Wiem. Przepraszam - mruknął chłopak. - Chciałem chciałem ci powiedzieć. Ciagle się do tego zbierałem, wiedziałem, że się zdenerwujesz i po prostu łatwiej b nie mówić.

- Denerwuję się tylko dlatego - odparła Marcia - że ch cię chronić. A jak mam to robić, jeśli nie jesteś ze m szczery?

Marcellus jest nieszkodliwy - powiedział ponuro
zeń.

W tej kwestii się nie zgadzamy - zauważyła.

Ale gdybyś chociaż chwilę z nim porozmawiała.
pewno byś...

t 'zekam, aż odpowiesz na moje pytanie.

Septimus próbował zyskać na czasie.

Jakie pytanie?

I Jak mówiłam, chciałabym wiedzieć, jak właściwie uży-
kał młodzięczy wygląd. Ma ponad pięćset lat na karku.
I nie próbuj mi wmawiać, że po prostu krył się przed słoń-
cem. Żadna ilość kremu nie dokonałaby czegoś takiego.

To była moja część umowy - powiedział cicho.

Jakiej umowy? - spytała podejrzliwie.

- Umowy, którą z nim zawarłem, żeby wrócić do swojego
Czasu. Zgodziłem się sporządzić dla niego eliksir wiecznej
młodości. Nastąpiła koniunkcja planet i...

- Co za brednie! - parsknęła Marcia. - Chyba nie wie-
rzysz w te śmieszne historyjki, co?

- Wierzę - odparł cichym głosem. - Więc w dzień po po-
wrocie do swojego Czasu zrobiłem eliksir.

Marcia poczuła się dotknięta. Pamiętała, jaka była pod-
ekscytowana i szczęśliwa, gdy odzyskała Septimusa, jak
czule go potraktowała, pozwalając, by przespał cały dzień
w swoim pokoju, bo uznała, że na pewno jest wyczerpany.
A on przez cały ten czas szykował w tajemnicy eliksir dla
(ego okropnego Alchemika, który go przecież porwał. Nie
mieściło jej się to w głowie.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - spytał.

- Bo byś stwierdziła, że to śmieszne. Tak zresztą właśnie
zrobiłaś. Może nawet próbowałaś mnie powstrzymać.

I nie mogłem pozwolić, żeby Marcellus dalej był taki szczęśliwy. Czuł się strasznie. Musiałem mu pomóc.

- Więc sporządziłeś eliksir wiecznej młodości? T prostu? - spytała z konsternacją kobieta.

- To nie było takie trudne. Planety weszły w odpowiedni układ... - Marcia stłumiła **prychnięcie**. - Stosowałem tylko do instrukcji, które Marcellus zostawił w Skrzyni dycznej. Włożyłem eliksir do złotej skrzynki, która też była, i wrzuciłem do Fosy przy Wężowej Pochylni, mógł ją potem wydobyć. Lubił nocne spacerować w Fosie.

- W Fosie?

- No, właściwie pod nią. Chodził po dnie. Pomagało to na różne bóle. Raz go widziałem na takiej przechad. Dziwnie to wyglądało.

- Chodził na **spacerować**... pod Fosą? - Marcia sama wydała teraz jak ryba, którą właśnie wyciągnięto z Fosy. Stoki deszczowej wody spływały jej po twarzy, a usta otwarte, jakby próbowała chwycić powietrze.

- Więc zabrał skrzynkę - ciągnął Septimus - a ja wiedziałem, że ją znalazł, bo w zamian włożył do środka **zaklęciem** Lotu. **Wylowilem** ją, chociaż szukałem jej parę tygodni. W Fosie jest strasznie dużo śmieci.

Marcia przypomniała sobie, jak Uczeń nagle zainteresował się wędkarstwem. Teraz wszystko miało sens... może nie do końca wszystko.

- A skąd miał zaklęcie Lotu?

- Zabrał je. Ale obiecał, że odda. Chociaż i tak nie wiedział, że je wziął.

- Co?

- To trochę skomplikowane. Eee, **Marcio**...

- Tak? - Głos Czarodziejki zabrzmiał trochę słabo.

I Mogę dostać zaklęcie Lotu z powrotem? Proszę. Nie się już więcej wygłupiał, obiecuję.

I trzymał dokładnie taką odpowiedź, jakiej się spodziewał.

Nie. Nie możesz.

Czarodziejka i Uczeń przeszli w milczeniu pozostałą drogą. Drogi Czarodziejów, gdy jednak przemierzali dziedzińce Wieży, węzowe buty Marcii z nowymi zielonymi sznurkami poślizgnęły się na czymś smoczym. Ta kropla przepelniła czarę.

Septimucie - warknęła kobieta - ten smok musi odejść, natychmiast. Nie pozwolę, żeby dłużej zanieczyszczał dziedziniec.

Ale...

Żadnych „ale”. Wszystko już ustalone. Pan Pot będzie nim opiekował na tym dużym polu obok Pałacu. Billy Pot? Ale...

Powiedziałam, żadnych „ale”. Pan Pot ma duże doświadczenie z jaszczurkami i na pewno świetnie sobie poradzi ze zwierzęciem, które jest w końcu niczym więcej jak ogromną jaszczurką z zaburzeniami zachowania. Deszcz już przechodzi. Możesz zabrać smoka teraz, zanim znowu się rozpada.

- Ale Ogniopluj jeszcze śpi - zaproponował Septimus. Wiesz, co się stanie, jeśli go obudzę.

Marcia wiedziała - właśnie zakończono montaż nowych szyb we wszystkich oknach na parterze Wieży Czarodziejów - ale jej to nie obchodziło.

- Bez wymówek. Zabierzesz go do pana Pota. Potem wrócisz prosto tutaj, żeby zacząć swoją pierwszą Projekcję. Najwyższa pora, żebyś znowu zajął się Magią i raz na zawsze zapomniał o tej całej Alchemii. Właśnie Magia będzie

od tej pory zajmować cały twój czas, bo przez następne tygodnie nie wyjdiesz za próg Wieży Czarodziejów.

- Dwa tygodnie? - próbował protestować.

- Może cztery - odparła. - Zobaczą, jak będzie. Za go spodziewam się ciebie z powrotem. - Z tymi słowami ruła przez dziedziniec. Wbiegła po marmurowych schodach a potem srebrne drzwi Wieży otworzyły się i Marciana w środku.

Ogniopluj obudził się, o dziwo, nie sprawiając żadnych kłopotów. Pozwolił, by Septimus wspiął się na jego grzybię i usiadł tam, gdzie zwykle, w zagłębieniu za smoczym kłosem. Nie parsknął przy tym i nie tłukł ogonem o ziemię, co miał ostatnio we zwyczaju, gdy pan go dosiadał. Długo był niemal potulny, nie licząc strumienia bardzo gorącego powietrza, wymierzonego w płaszczyznę przechodzącą przez Catchpole'a. Wokół rozniosła się woń palonej wełny i sypkich grzanek.

Jako że dla Czarodziejów była to ostatnia szansa, by z bliska zobaczyć zrywającego się do lotu smoka, Septimus postanowił zapewnić im dobry widok. Na jego komendę „W górę, Ogniopluj”, smok powoli i silnie załopo skrzydłami, omiatając dziedziniec podmuchem powietrza. Był to doskonały start. Chłopak sterował Ognioplujem tak, by niespiesznie minąć każde piętro, podlatując przy tym do Wieży najbliżej, jak się odważył. Okna otwierali się na oścież i wychylali się z nich podnieceni Czarodzieje w niebieskich szatach. Z Wieży podniosła się burza oklasków. Gdy smok osiągnął wysokość dwudziestego piętra kolejne duże okno otworzyło się na oścież, lecz tym razem Septimus spotkał się z mniej entuzjastycznym przyjęciem.

· Pięćdziesiąt minut! - wrzasnęła Marcia i zatrzasnęła no.

Zaskoczony Ogniopluj zaczął się oddalać od Wieży, ale idziec zawrócił smoka. Zrobili jeszcze jedno okrążenie - **lak** na szczęście - wokół złotej piramidy na szczycie budow-
| a a potem odlecieli. Burza minęła i niebo od strony Portu "częło się przejaśniać. Słońce przedarło się przez chmury daleko w dole załśniły mokre od deszczu dachy, a kałuże **nn** ulicach zaskrzyły się jasnymi rozbłyskami. Po sześciu **miesiącach** regularnego latania na smoku i wcześniejszych **nzech** miesiącach intensywnych nauk u Althera Melli Septimus stał się wytrawnym lotnikiem. Postanowił jak najlepiej wykorzystać ten lot, który miał być na jakiś czas ostatnim, i obrał długą trasę do Pałacu.

Skierował Ogniopluj nad Bramę Północną, a potem z powrotem nad swoją ulubioną część Zamku, czyli Gmaszysko. Zauroczony widokiem tak wielu ludzkich spraw toczących **się** poniżej, patrzył w dół, pozwalając, by smok sam wybierał kurs. Widział ludzi, wychodzących po burzy z domów, rozwieszających pranie, uprawiających ogródki na dachach albo obserwujących tęczę, która właśnie pojawiła się nad polami uprawnymi. Słyszac łopot smoczycy skrzydeł, zatrzymywali **się** i machali albo po prostu patrzyli w zdumieniu. Dzieci, wypuszczone z dusznych pokoi, by pobawiły się na słońcu, biegały po otwartych alejkach Gmaszyska. Septimus słyszał ich podniecone okrzyki: „Smok! **Smok!**”. W uszach wciąż jednak dźwięczały mu słowa Marcii i wiedział, że nie ma wiele czasu, więc obrócił Ogniopluj w kierunku Pałacu. Zbliżał się już do nowego pola warzywnego Billy'ego Pota.

Uznał lądowanie za całkiem udane, ale Billy Pot miał inne zdanie na ten temat.

- Ostrożnie! Uważaj na sałatę! - krzyknął mężczyzna
gdy Ogniopluj złożył skrzydła i z głuchym łoskotem po-
żył ogon na grządce młodej sałaty.

Septimus zsunął się z karku smoka.

- Przeprowadziłem Ogniopluj - oznajmił, chyba niepo-
trzebnie

- Widzę - stwierdził Billy.

Mężczyzna czekał, podczas gdy Septimus klepał sm
po szyi, głaskał gładkie łuski, wciąż chłodne po ich ws
nym locie. Po kilku minutach wreszcie się odezwał.

- No, nie przedstawisz nas sobie?

- Dobrze - powiedział chłopak, nie chcąc tak szybko
stawiać smoka.

- Smoki bardzo dbają o etykietę. Lubią, kiedy przed-
wia się je, jak należy.

- Naprawdę? - spytał Septimus ze zdziwieniem. - Hm
Ogniopluj, pozwolisz, że ci przedstawię Billy'ego Pot
Billy, to jest Ogniopluj, najlepszy smok wszech czasó
Prawda, Ogniopluj? - Pogładził aksamitny, smoczy nos

Ogniopluj pochylił głowę i parsknął strumieniem powi
trza, który przypalił nać kilku rosnących w pobliżu march
wek. Billy podszedł bliżej. Napotkał spojrzenie smoczy
oczu, okolonych czerwonymi obwódkami.

- To dla mnie zaszczyt, panie Ogniopluj.

Smok przechylił głowę na bok, rozważając słowa męzc
zny. Potem wcisnął nos w jego szorstki, tweedowy płaszcz
Popchnięty Billy zatoczył się w tył i padł na grządkę pie
truszki. Natychmiast jednak zerwał się na nogi, po czym
otarłszy dłoń o ubranie, poklepał gada po szyi.

- No - powiedział. - Od razu widać, że zostaniemy przy-
jaciółmi.

W STRZĘPACH



Jenna wracała do Pałacu. Ją także złapała burza, która zaskoczyła **Marcie** i **Septimusa** na Drodze Czarodziejów.

Oczy szczypały ją od zacinającego deszczu, a wiatr łopotał płaszczem na wysokości kostek, jakby próbował poderwać Księżniczkę w górę. Pochyliła głowę i zaczęła biec, jedną ręką przytrzymując **Ullra** i poję płaszcza, drugą zaś mocno ściskając notatki **Nicka**



i cenną mapę Snorri. **Minęła** bramę i popędziła ku st kowo osłoniętej alejce z boku budowli, którą mogła **d** się do ogródka kuchennego. Biegła przed siebie **b** szybko - tak szybko, że nawet gdyby patrzyła, nie **zdążyć** się zatrzymać - gdy zza rogu wypadła ciemna, patyko postać, pędząca prosto na nią.

Zderzyła się z Merrinem i poleciała w tył. Uderzenie **cami** o ścianę **pozbawiło** tchu zarówno ją samą, jak i U Merrin runął jak długi na ziemię, ale po chwili znów **w** na nogi na podobieństwo długonogiego pająka. Po dziewczynie gniewne spojrzenie, po czym pognął **pr** siebie, bo za żadne skarby nie chciał się spóźnić.

Oszołomiona Jenna pozwoliła, by **Ullr** wyswobodził z jej płaszcza. Wstała i potarła tył głowy, gdzie zaczął rosnąć spory guz. Otumaniona, spojrzała w dół, zast wiając się, co to za dziwne, brązowe konfetti pływają w k zach u jej stóp. Po chwili już wiedziała.

Czując nagłą falę mdłości, uklękła i patrzyła na z niedowierzaniem. Wszystkie notatki Nicka - a co **gor** także mapa Snorri - zostały zmiażdżone podczas **zderze** i zmieniły się w tysiące mokrych kawałków. Stracili **os** nią szansę na znalezienie Nicka.

Beetle przechadzał się powoli przed frontem **Pałacu**, zważając na deszcz, który przesiąkał przez jego wełni kurtkę i przedostawał się do butów. Emocje ostatniej **niez** kłej godziny, którą spędził z Septimusem i Jenna, **wypar** wały pośród ulewy i chłopak zaczął się martwić, co go cz w Skryptorium. Zastanawiał się, czy Marcia złożyła już t wizytę, by powiadomić **Jillie** Djinn, że widziała jej inspekto w towarzystwie Alchemika. Zastanawiał się też, jak **odzyśl**

banki. W przeciwieństwie do sanek Wieży Czarodziejów, banki chłopca nie reagowały na gwizdek. Co gorsza, miały skłonność do wędrówek, a nie pamiętał, czy je przywiązał, czy nie. Tak bardzo chciał zobaczyć Jennę, że kompletnie zapomniał o swojej pracy. Jak miał to wyjaśnić? Czuł się zły i niechętny i przysięgał w duchu, że już nigdy myśli o Jennie nie przeszkadzając w obowiązkach - właśnie wtedy dostrzegł ją, klęczącą w kałuży pośrodku alejki przy samym Pałacu.

Księżniczko Jenno? - Pełen troski głos chłopaka wdarł się w jej rozpacz. - Nic... nic ci nie jest?

Pokręciła głową. Nie podniosła wzroku.

Czując, że robi coś, czego nie powinien, coś, do czego prawo mieli tylko jej dobrzy znajomi, ukląkł obok.

Mogę ci pomóc? - spytał.

Popatrzyła na niego. Nie miał pewności, czy po jej twarzy spływają krople deszczu, czy łzy. Miał przeczucie, że jedno i drugie. Wskazała strzępy papieru, pływające w kałuży, i powiedziała ze złością: - Nawaliłam. To wszystko moja wina. Teraz już nigdy ich nie znajdziemy.

Beetle doznał strasznego wrażenia, że wie, co to za strzępy.

O, nie... - mruknął. - To nie są...

Żałośnie pokiwała głową.

Ostrożnie podniósł przemoczony skrawek papieru i położył go sobie na dłoni.

- Może... - powiedział powoli, intensywnie myśląc.

- Co?

Może jeśli wszystkie pozbieramy, da się coś zrobić.

- Naprawdę? - W jej głosie pojawiła się nikła nutka nadziei.

- Nie... nie chcę zbyt wiele obiecywać, ale w Skryptorium mają doświadczenie w takich sprawach. Warto spró-

bować. - Z kieszeni wyciągnął małe zawiniątko i roje, aż na jego kolanie znalazł się mały kwadrat z **jed** ~ Polizał palec wskazujący i kciuk, po czym potarł **kra** jedwabiu, by się **rozdzieliły**. Okazało się, że jest to jed sakiewka. - Zawsze mam taką przy sobie - wyjaśnił. - Nie wiadomo, kiedy znajdziesz coś, co chciałbyś zabrać.

- Ojej - powiedziała Jenna, która chyba nigdy nie nze sobą niczego użytecznego.

Przy ciągle padającym deszczu i przy **akompaniame** żałosnych miauków przemoczonego, rudego kota, Be i Jenna przez kolejne dziesięć minut zbierali kruche kwałki pięćsetletniego papieru i wkładali je do jedwab sakiewki. Kiedy z zadowoleniem stwierdzili, że znalazli wszystkie strzępy, Beetle ostrożnie zwinął jedwab.

- Zechcesz nieść to pod swoim płaszczem, **Księżnic** Jenno? - spytał.

- Jestem po prostu Jenna. Proszę. - Uśmiechnęła i wsunęła zawiniątko pod płaszcz.

- **Mhm. Mogę...** - Beetle wskazał trzęsącego się **Ullr** który wiernie **czekał** przy kałuży.

- **O** tak, proszę - odrzekła.

Podniósł zmoknięte zwierzę i wsunął je pod swoją kufę. Potem razem **ruszyli** do Skryptorium. Gdy szli **Drog** Czarodziejów, Beetle'owi przyszło do głowy, że gdyby ni dojmujący lęk przed niemożnością poskładania **papieró** w Skryptorium, byłby w tym momencie **zupełnie**, absolutnie szczęśliwy.

Wszystko się zmieniło, gdy pchnął drzwi do Skryptorium. Zobaczył za nimi **Jillie** Djinn i Merrina Mereditha, którzy właśnie mieli wejść do pracowni. Gdy rozległ się dźwięk otwieranych drzwi i przesuwanego kołowrotka, oboje się obejrzel.

■ Gdzieś ty się podziewał? - spytała panna Djinn.
■ Przeprowadzałem inspekcję włazów. Marcia... to zna-
pani Overstrand powiedziała mi...

Nie jesteś zatrudniony u pani Overstrand, tylko u mnie.

■ ze skrybów musiał cię zastąpić. Czyli tylko dziewięt-

tu wykonywało codzienne obowiązki. Dziewiętnastu to

I mało. Masz szczęście, że znalazł się obiecujący kandy-

■ na wakujące miejsce.

Heetle jęknął.

Merrin uśmiechnął się z drwiną.

I dlaczego - ciągnęła Jillie Djinn - zdjąłeś moje ogłosze-

nie, zgniotłeś je w kulkę i wyrzuciłeś do śmieci? Pozwalasz

■ sobie na zbyt wiele. Jak tak dalej pójdzie, zastanowię się

■ nad kandydaturą tego młodzieńca na twoje miejsce.

Beetle zbladł.

Przepraszam, panno Djinn - wtrąciła Jenna, wyłaniając

■ z cienia chwiejnej sterty ksiąg przy drzwiach.

Jillie Djinn wydawała się zaskoczona. Była tak wściekła

na Beetle'a, że nie zauważyła Jenny. Właściwie zawsze, kie-

dy miała do czynienia z więcej niż dwiema osobami naraz,

czuła się zagubiona. Ukłoniła się lekko.

- Czym mogę służyć, Księżniczko Jenno? - spytała nieco
niezdarnie.

Jenna przybrała swój najlepszy ton Księżniczki. Uważa-

ła, że ma on bardzo napuszone brzmienie, ale zauważyła,

ie gdy się nim posługuje, na ogół dostaje to, czego chce.

- Pan Beetle został zaangażowany do nadzwyczaj waż-

negu zlecenia z Pałacu. Przyszliśmy osobiście pani podzię-

kować za możliwość skorzystania z jego specjalistycznej

wiedzy. Przepraszamy, jeśli zajęło mu to zbyt wiele czasu.

To wyłącznie nasza wina.

Naczelną Skrybę wydawała się zmieszana.

- Nie wiedziałam o żadnych zleceniach z Pałacu dzisiaj rano - stwierdziła. - Nie było tego w harmonogramie.

- Ścisłe tajne - odparła Jenna. - Jesteśmy pewni, że powie.

Jillie Djinn nie wiedziała o niczym takim, ale chciała uniknąć kompromitacji w oczach potencjalnego nowego pracownika.

- A - powiedziała. - No tak. Ścisłe tajne. Cieszę się, że mogliśmy pomóc, Księżniczko. A teraz proszę o wyłączenie, ale muszę odbyć rozmowę wstępną, która opóźni się już o dwie i trzy czwarte minuty. - Z tymi słowami pchnęła Merrina w mrok Skryptorium, ponownie uklon się Jennie i już jej nie było.

Beetle wyciągnął zza pazuchy Ullra i delikatnie posadził go na biurku.

- Uff - odetchnął. - Nie wiem, jak ci się odwdzięczysz, Księżniczko. Naprawdę nie wiem.

- Owszem, wiesz. - Uśmiechnęła się i podała mu zwiniętą jedwabną sakiewkę.

- Tak - przyznał, patrząc na przedmiot. - Chyba wiem

PAN EPHANIAH GREBE

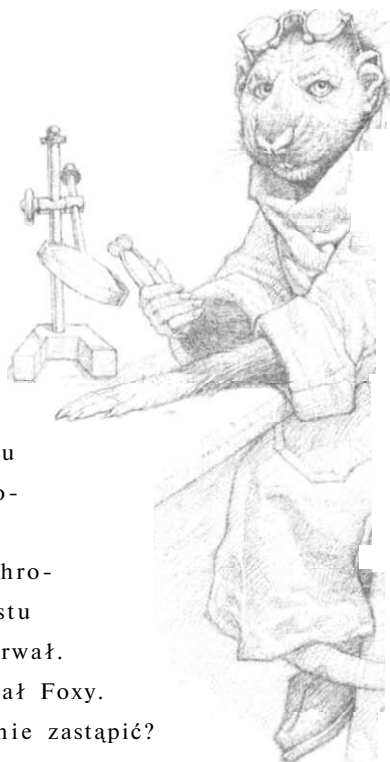
Foxy?
odezwał
Beetle
hryplym
szepciem.

Dziewiętnastu
kryków podnio-
sło głowy znad
wojej pracy i chro-
bot dziewiętnastu
piór nagle się urwał.

- Tak? - spytał Foxy.

- Możesz mnie zastąpić?

Muszę coś zrobić.



Foxy nie miał pewności.

- A co z nią? - szepnął, kciukiem wskazując zamknięte drzwi z tyłu, za którymi Jillie Djinn rozmawiała z Mennem.

- Nie wyjdzie stamtąd przez dwadzieścia dwie i pół minuty - stwierdził Beetle, myśląc, że czasami obsesja przetrwania na punkcie czasu ma swoje zalety.

- Na pewno?

Skinął głową.

Foxy, zadowolony, że ma pretekst, by przerwać kłótnię o wanie obliczeń Jillie Djinn, dotyczących cen dorobku; najbliższe trzy i pół roku, zeskoczył z wysokiego stołu i poszedł do pomieszczenia od frontu. Na widok ociekającej wodą, potarganej Jenny uniósł brwi, ale nic nie powiedział.

Beetle pokazał mu uniesiony kciuk, po czym zwrócił się do Księżniczki.

- Lepiej wezmę to na dół, dopóki mam okazję.

- Mogę też pójść? - spytała ku jego zaskoczeniu.

- Co... Ze mną?

- Tak. Chcę zobaczyć, co się będzie działo z mapą. - miała ochoty nawet na chwilę spuścić z oczu swojej nadziei na sprowadzenie Nicka do współczesności.

- No tak. Oczywiście. Eee, tędy. - Świadomy spojrzawszy Foxy'ego, przytrzymał drzwi, prowadzące do pracowni Skryptorium, i przepuścił Jennę. Chrobot osiemnastu lat i osiemnaście par oczu podniosło się, gdy Beetle i Księżniczka przechodzili między rzędami pulpitów w stronę schodów do podziemi.

Był to w istocie zespół piwnic. Przez wiele stuleci Skryptorium anektowało piwnice sąsiadów, czując z reguły nawet nie zauważali, i posiadało obecne

■ budowaną sieć podziemnych pomieszczeń, w któ-
■ Beetle miał nadzieję znaleźć pana Grebe'a, Skrybę-
■ watora.

■ Ephaniah Grebe nie tylko pracował w piwnicy - on tam
... .
■ . Żaden z obecnych skrybów nie pamiętał, by
■ widział go na górze, chociaż krążyły plot-
■ , że wychodzi z podziemi nocą, gdy wszyscy inni pój-
■ domu. Nawet Jillie Djinn widziała go tylko raz, w dniu,
■ którym objęła stanowisko Naczelnej Skryby Hermetycz-
■ . Ale Beetle dobrze go znał.

■ Zwykle to, co wymagało konserwacji, pozostawiano wie-
... .
■ na szczycie schodów. Rano już tego nie było, leżały
■ za to przedmioty, które już konserwacji poddano, zo-
■ stawione jakiś tydzień wcześniej. Beetle nie miał zamiaru
■ cennych strzępów w niepilnowanym koszu. Pod-
■ , gdy Foxy z niepokojem oglądał się, czy nie nadchodzi
■ I)jinn (klienci i tak nie mogli wejść, bo zamknął drzwi,
■ temu zapobiec), Beetle i Jenna ruszyli na poszukiwanie
■ 'a.

■ U podnóża schodów znajdował się długi, ciemny korytarz,
■ który kończył się drzwiami, pokrytymi zielonym suknem
■ abijanymi dużymi, mosiężnymi guzami. Beetle pchnął je
potno i drzwi otworzyły się na dobrze naoliwionych zawia-
■ h. Piwnica nie wyglądała tak, jak Jenna się spodziewała.
Była przewiewna, pachniała świeżością i czystością. Ściany
■ pomalowano na biało, kamienną posadzkę wyszorowano,
■ z łukowatego sklepienia zwieszały się lampy, palące się
■ jasnym białym płomieniem i wydające z siebie nieustanne
■ yczenie - jedyny dźwięk, jaki oboje słyszeli.

■ Pierwsze pomieszczenie Beetle dobrze znał, ponieważ
■ tutaj Ephaniah pomógł mu poskładać zegarek. Skryba-

-Konserwator nazywał je swoją mechaniczną piwnicą i r się tu od małych - i nie tylko małych –maszyn. Jedna z w kształcie wioślarza w łodzi z krążącą nad nim mewą, chomiła się nagle, gdy Jenna przeszła obok, i dziew z trudem powstrzymała się od krzyku. Nie dostrzegła nak ani śladu Grebe'a.

Następna piwnica pełna była półek, zastawionych **m** **stwem** różnokolorowych butelek, schludnie **oznaczo** etykietkami. Na stole, pod szklaną kopułką, leżało **po** szone zakłęcie Przypomnienia - Beetle pamiętał, że dni wcześniej przyniosła je jakaś roztargniona kob Także ta piwnica okazała się pusta.

Choć czuli się jak intruzi, weszli głębiej w labirynt łączonych piwnic, a dźwięk ich kroków odbijał się e " od ceglanych ścian. Beetle był zdumiony różnorodn toczących się prac. W jednej z piwnic natrafili na **mal** książkę, rozłożoną na poszczególne strony, przypięte pi kami do grubych płacht papieru. Obok leżała pinceta i słoik ze świeżo zebranymi larwami żuków **książko** W innym pomieszczeniu znajdował się niewielki wąż, chylony w tył, jakby szykował się do ataku. Beetle odskoc z przerażeniem i po chwili zawstydził się, widząc, że jest tylko wypchany, a stojące obok pudełko różnych ze świadczyło o tym, że właśnie one wymagały wymiany.

Wciąż jednak nie natknęli się na **Grebe'a**. Martwiąc uciekającym czasem, Beetle przyspieszył kroku. **Przed** **dzili** przez kolejne piwnice. We wszystkich natykali na rozpoczęte projekty, rozłożone starannie na stołac w żadnej natomiast nie spotkali **Skryby-Konserwato** W końcu dotarli do szerokiego, łukowatego przejścia, kt prowadziło do ostatniej, największej piwnicy.

W płaszczem Jenny Ullr wysunął pazury. Na pierwszy rzut oka ta piwnica także wydawała się pusta, a bliżej dużego, okrągłego stołu pośrodku i jasnej, syczącej kuchenki nad nim. Gdy jednak stanęli w wejściu, nieznacznie przyciągnął ich wzrok ku pochylonej nad pracą, niemal niewidocznej postaci, siedzącej na wysokim stołku przy barze w przeciwległym kącie. Odziana była w biały płaszcz, a twarz ukryta w cieniu, wtapiający się w tynkowaną ścianę za nią.

Ephaniah - odchrząknął cicho Beetle. Nie doczekał się reakcji. - Przepraszam - powiedział. Nadal nic. Postać nie przerywała swojej zmużonej czynności. Coraz bardziej przycisnęła się do stołu, że rozmowa panny Djinn dobiegnie wkrótce końca, a Ephaniah podszedł do siedzącego i lekko poklepał go w ramię. Ten podskoczył i odwrócił się.

Ephaniah, przepraszam, że przeszkadzam - powiedział Beetle - ale...

Aaach! - krzyknęła Jenna. Za późno spróbowała stłumić krzyk, dłonią zasłaniając usta. Twarz mężczyzny była w połowie przykryta pyskiem szczura. Miał szczurzy nos, wąsy i dwa długie, popękane zęby gryzonia. Szczurzy pysk otworzył się ze zdumienia, ukazując różowy, szpiczasty język. Mężczyzna szybko zasłonił jedną część twarzy długą, jedwabną płachtą, którą miał luźno przewieszoną przez szyję. Poprawił ją, zawijając kilka razy, a fałdy tkaniny zupełnie zakryły kształt szczurzego nosa.

- Och - jęknął Beetle, zdając sobie sprawę, że powinien był uprzedzić Jennę, czego ma się spodziewać. - Bardzo mi przykro, Ephaniah. Nie chciałem w ten sposób przerywać Ci pracy.

Ephaniah Grebe skinął głową i wydał z siebie jakiś pisk. Potem zsunął z oczu okulary grubości denek od butelek, nakładając je sobie na głowę. Jenna ujrzała parę skrzących

się, zdecydowanie ludzkich, zielonych oczu i nieco się odżyła. Beede zaczął znowu przeproszać, ale Ephaniah G powstrzymał go ruchem ręki, zgramolił się ze stołka i dziewczynie głęboki ukłon. Następnie wyjął z kieszeni dłużne, srebrne pudełko.

Wewnątrz znajdowały się setki małych, białych kczek. Zaczął je szybko przeglądać, po czym wyciągnął i położył na stole. Widniały na niej słowa: NIE BÓJ S JESTEM CZŁOWIEKIEM.

- Och. Co... się stało? - spytała Jenna.

Kolejna karteczka, równie pomięta, jak poprzednia, z laża się na stole: TRWAŁY SZCZURZY UROK. MIA 14 LAT. ZASADZKA WYKAZU MROCZNYCH UROKÓ I MROCZNYCH SZCZURZYCH REBUSÓW W SKŁAD STRASZNYCH KSIĄG.

Beetle przełknął ślinę. Nigdy nie pytał, co spotkało G be'a, ale nie był zaskoczony. Zawsze się zastanawiał, co się stało, gdyby dwie Mroczne księgi zmówiły się przeci niemu.

Następna karteczka: OCALIŁA MNIE MATKA WIED MORWENNA. UROK JUŻ TYLKO CZĘŚCIOWY. Wyci gnął ręce, które były ludzkie, choć Jennie wydawało si że paznokcie są dziwnie długie i chude, trochę jak szczur pazurki.

Beetle uświadomił sobie, że nie przedstawił towarzyszi

- To jest - powiedział - Księżniczka Jenna.

Ephaniah Grebe ukłonił się i po dłuższym przeszukiwani karteczek położył na stole jedną z nich, nieużywaną i śnie nobiałą: WITAJ, WASZA WYSOKOŚĆ.

Zaraz po niej przyszedł czas na kolejną, mocno sfaty waną: CZYM MOGĘ SŁUŻYĆ?

W odpowiedzi Beetle położył na stole jedwabne zawiniąt-
ki które następnie rozwinął. Aż jęknął na widok **przemo-
zonej**, papierowej masy, leżącej na materiale. Wcześniej
bardzo skupił się na pocieszeniu Jenny, że nie zauważył
tych zniszczeń, poczynionych nie tylko przez zderze-
nie, ale także przez wodę. Atrament się rozmazał, większość
wyrysowanych ołówkiem linii była teraz zatarta, wiele zaś
kilkatnych skrawków papieru posklejało się ze sobą. Chłó-
pakowi przypominało to papierową masę, którą bawił się
w przedszkolu.

W ephaniach Grebe wydał przeciągły dźwięk, który brzmiał
jak „aaaaa” i zdaniem Beetle'a kojarzył się raczej z zaniepo-
kojoną owcą niż ze szczurem. Z powrotem nasunął grube
okulary na długi nos, po czym popatrzył na ten tragiczny
widok. Wkrótce na stole wylądowała następna karteczka:
CZY TO JEST?

A zatem Beetle wyjaśnił, jak umiał najlepiej, co to takie-
go, i dlaczego papiery są w tak fatalnym stanie. Podczas
gdy mówił, Jenna wydawała się coraz bardziej niespokojna.
W końcu nie wytrzymała.

– Panie Grebe. Czy może pan **poskładać** je z powrotem?
Proszę.

Kolejna karteczka na stole: TO TRUDNE.

Potem, gdy mina Księżniczki zrzędała, jeszcze jedna: ALE
MOŻLIWE.

- Te kawałki papieru to dla mnie jedyna szansa, że jesz-
cze zobaczę brata - powiedziała po prostu.

Ephaniah Grebe uniósł ze zdziwieniem brwi i przechylił
głowę na bok, czym przypominał dziewczynie Stanleya, i to
skojarzenie podniosło ją na duchu. Sięgnął po notes i ołów-
ek, po czym napisał: *Zrobię, co będę mógł. Obiecuję.*

- Dziękuję, panie Grebe - powiedziała. - Dziękuję!

Gdy go zostawili, dźgał przemoczoną masę pincetą. chodząc z piwnicy, Jenna odwróciła się, by rzucić ostatnie spojrzenie na cenne kawałki papieru - i omal znowu krzyknęła. Spod obszernej, białej szaty Grebe'a wyłaniał się długi, różowy, szczurzy ogon.

Beetle szybko przemierzał kolejne podziemne pomieszczenia.

- Musimy się spieszyć - oznajmił, gdy go dogoniła. - na Djinn wyjdzie lada chwila.

Skinęła głową. Razem pognali przez piwnice, wbiegli po schodach... i zjawili się w samą porę, by zobaczyć uśmiechniętą Jillie Djinn, która wyszła z pokoiku wrat z wyszczerzonym Merrinem Meredithem.

Naczelna Skryba Hermetyczna przestała się uśmiechać, gdy zobaczyła Beetle'a, pojawiającego się w tylnej części Skryptorium.

- Co znowu robisz poza swoim stanowiskiem pracy? - spytała. Potem dostrzegła Jennę i dodała z lekką irytacją - Dzień dobry, Księżniczko Jenno. Jesteśmy zaszczytleni, widząc cię tak wiele razy jednego dnia. Czym mogę służyć?

- Nie, dziękuję, panno Djinn - odparła dziewczyna tonem Księżniczki. - Wasz inspektor Beetle pomógł nam już w wystarczającym stopniu. Przykro nam, że oderwaliśmy go od pracy na tak długo. Oczywiście dopilnował, by stal nowisko nie pozostało bez opieki. Teraz już idziemy, bo mamy ważne sprawy.

- Ach - powiedziała Jillie Djinn. Znowu czuła się trochę niezręcznie, choć nie wiedziała, dlaczego. Ukłoniła się nieznacznie i patrzyła, jak siedzący najbliżej drzwi skryba ze skakuje ze stołka i otwiera drzwi przed Jenną, która wyszła

Wznie krokiem Marcii Overstrand. Jillie Djinn zwróciła do Beetle'a.

- Skoro Księżniczka nie potrzebuje już twoich usług, żesz wykorzystać popołudnie, by oprowadzić naszego tego praktykanta.

- Co? - jęknął.

Zza niebieskiej, jedwabnej szaty nowej przełożonej Merrin Meredith wykonał obelżywy gest. Beetle chciał odpowiedzieć samym, ale w ostatniej chwili się powstrzymał.

A... ale on jeszcze nie złożył egzaminów. - Beetle nie flń^1 się powstrzymać.

Nie leży w twojej gestii sugerowanie kryteriów, którymi mam się kierować, przyjmując do pracy skrybów - odparła lidowatym tonem Jillie Djinn. - Ty musiałeś zdać egzaminy do Skryptorium, ale Daniel wykazał się wystarczającą wiedzą, by mnie przekonać, że egzaminy nie posłużą żadnemu celowi w procesie selekcji. A teraz będę wdzięczna, jeśli spełnisz moje polecenie i oprowadzisz naszego nowego skrybę. Macie godzinę i trzydzieści trzy minuty. Radzę nie wlekać. Decyzję, od czego zacząć, pozostawiam tobie.

Beetle uśmiechnął się. Doskonale wiedział, od czego zacząć. Od Składu Strasznych Ksiąg.

⇄ 20

POŁĄCZENIE



I

Wieczorem znad Portu znowu nadciągnęła wichura. Wiatr wył nad rzeką, zrywał dachówki i działał wszystkim na nerwy.

Septimus przebywał w Wieży Czarodziejów pod czujnym okiem Marcii Overstrand. Rozpoczął skomplikowane przygotowania do swojej pierwszej Projekcji, która stanowiła istny kamień milowy w nauce. Zgodnie z tradycją Uczeń wybierał jakiś drobny, zwyczajny przedmiot, a potem próbował dokonać Projekcji jego realistycznego obrazu. Projekcje pojawiały się we wszystkich częściach Wieży i chodziło o to, by wszyscy wzięli je za oryginał. Wszystkie Projekcje stanowiły lustrzane odbicie pierwowzoru, ale

wykle nie miało znaczenia, o ile Uczeń wykazał się rozsąd-
m i nie wybrał przedmiotu z jakimś napisem. Czasami
kaś z pozoru niewinna „miotła” stawała sobie oparta
l ciemnym kącie, niewielki „ornament” pojawiał się wyso-
li na niedostępnym parapecie albo nowy „płaszcz” zawi-
li w szafie. Podczas pierwszej Projekcji w Wieży panowała
mosfera podniecenia, a Czarodzieje, udając, że w istocie
jęci są czymś zupełnie innym, chodzili tu i tam, posztur-
chując przeróżne podejrzane przedmioty, a także przyjmu-
mu zakłady, co dokładnie Uczeń wybierze do Projekcji.

Zamknąwszy Septimusa w pokoju Projekcji, Marcia
przystąpiła do usuwania z dziedzińca wszelkich śladów
mu Ogniopluj - a raczej wydała Catchpole'owi polecenie,
ny się tym zajął. Catchpole jednak zamknął się w kredensie
na stare zaklęcia i nie wychodził. Marcia, doprowadzona
do rozpacz, posłała wiadomość do Hildegardy, Podczaro-
l lejki, strzegącej drzwi Pałacu, i poprosiła ją o natychmia-
owe przybycie.

Hildegarda przybyła potargana i bez tchu, przebie-
gła bowiem całą Drogę Czarodziejów, rozemocjonowana,
le wreszcie otrzymała wezwanie do Wieży Czarodziejów,
którym marzyła od tak dawna. Ale zamiast posady Cza-
rodziejki Zwyczajnej, dostała dużą miotłę i jeszcze więk-
sze wiadro. Jak zwykle zdecydowana, podciągnęła rękawy
l wzięła się do pracy, mówiąc sobie w duchu, że każda praca
w Wieży przybliży ją o krok do spełnienia marzeń. Nastę-
nego ranka była pierwszą klientką Terry'ego Tarsala. Kupi-
ła parę solidnych, wodoodpornych butów.

Gdy sokołooka Hildegarda zniknęła z Pałacu, Merrin stał
nie jeszcze śmielszy. Zamiast przemykać przez korytarze,
zaczął chodzić po nich dumnym krokiem. Dwa razy omal

nie wpadł na Jennę, która nieoczekiwanie wyłoniła rogu. Za drugim razem kusiło go, by przejść obok i sprawdzić, czy zauważy, ale w ostatniej chwili zaniechał i schował się za kotarą.

Całkiem możliwe, że Jenna nie zauważyłaby go, n gdyby faktycznie przeszedł obok niej. Była zbyt **pr** **myśleniem** o Nicku i o mapie. Niezdolna trzymać się z od Skryptorium, przynajmniej dwa razy dziennie **zagl** tam, by odwiedzić Beetle'a. Chłopak miał w tej mieszane uczucia. Lubił się z nią widywać, ale za każdym, gdy drzwi robiły „dzyń” - a raczej „dzy-dzyń”, w szczególny sposób, który jego zdaniem zawsze zwiast przybycie Księżniczki - zbierał się w sobie, by powiedzieć, że wciąż nie ma wieści od Grebe'a. Ale gdy przy trzeciego dnia, miał dla niej wieści - i nie były to wiadomości pomyślne.

Było późne popołudnie, a przez ciemne chmury wało się jeszcze później. Beetle właśnie **zapalił** świecę i stawiał ją na biurku. Szykował się do ostatniej rundy dnia, rundy Zamykania, gdy rozległo się „dzy-dzyń”, drzwi się otworzyły i podmuch wiatru wepchnął do środka Jennę. Zamknęła drzwi, odgarnęła włosy, które wiatr nasunął na oczy, poprawiła złoty diadem i z wyrazem **niecierpli** **ści** na twarzy spytała: - Jakież wieści?

Beetle obawiał się tej chwili.

- No, **tak...** ale niezbyt dobre, niestety. Dziś rano **na m** **im** biurku leżała ta wiadomość.

Podał Jennie dużą, białą kartkę. Było na niej napisane: **Dotyczy: Stare kawałki papieru. Brakuje ważnego fragmentu, Proszę o radę.**

- Chyba trudno się dziwić - stwierdził z westchnieniem

Ale szukaliśmy wszędzie - sprzeciwiła się Jenna. - A ja
byłam tam się jeszcze raz, kiedy wracałam. I jeszcze na-
tego dnia, tak dla pewności. Nie powinno... - Słowa
leżały jej w gardle. Teraz, gdy się nad tym zastanowiła,
nie do wniosku, że byłoby cudem, gdyby nie brakowało
tego fragmentu.

Poszedłem spytać Sepa, co robić, ale nie pozwalają mi się
...potkać - powiedział Beetle. - Nawet listu nie przyjęli.
I nie wiedzieli, że nie wolno mu przeszkadzać. Marcia dosłowo
zawięziła go na górze. Jestem pewien, że on znalazłby ten
zauważający kawałek. Musi istnieć takie zaklęcie albo coś.

Może Ephaniah by nam powiedział - odparła Jenna.
Możliwe, że wie o zaklęciu. A potem znajdziemy jakiegoś
rodzija Zwyczajnego, żeby je dla nas wykonał.

Hcetle uważał, że szanse są niewielkie, ale nie przycho-
dziła mu do głowy żadna inna propozycja.

I Jobra - zgodził się.

Skryptorium było puste. Wszyscy skrybowie mogli wcze-
niej iść do domów, bo o zmierzchu wiatr robił się silniejszy.
Nawet Jillie Djinn schroniła się na górze, w komnatach Na-
jnych Skrybów Hermetycznych. Drzwi w przepierzeniu ło-
towały o framugę, a Jenna i Beetle pełzli między rzędami pul-
pitów, które wznosiły się wysoko nad nimi niczym szkieletowi
wartownicy i przyprawiały dziewczynę o dreszcze. U szczytu
rodów do piwnicy stał kosz ze zleceniami z tego dnia - leża-
ł w nim kilka zaklęć do Regulacji i stara rozprawa, wymagają-
ca opracowania. Beetle podniósł kosz i zabrał go na dół.

Pchnęli drzwi, obite zielonym suknem, i ruszyli przez
piwnice, które wydawały się niemal oślepiająco jasne w po-
równaniu z półmrokiem, który panował w Skryptorium.
Podziemia znowu były puste, tym razem jednak szli różnym

krokiem, od razu kierując się do ostatniego pomieszczenia. Tam zobaczyli, że Ephaniah Grebe przygląda się czemuś przez duże szkło powiększające, pochylony nad stołem zasłanym setkami strzępów papieru, które przypominają ogromną, arcytrudną układankę.

- Przyniosłem kosz - oznajmił Beetle, stawiając go na podłodze.

Ephaniah wyprostował się i odwrócił, by ich przywitać. Zarówno Beetle, jak i Jenna spodziewali się widoku szczytowego pyska, ale tym razem oblicze mężczyzny zakryte było tkaniną i widzieli tylko zielone oczy, powiększone przez grube okulary do ogromnych rozmiarów. Skryba-Konserwator wydał z siebie cichy pisk i gestem przywołał ich bliżej. Podał im kartkę, na której widniały słowa: ***Udało się połączyć wszystkie dokumenty oprócz jednego.***

Ephaniah machnął ręką w kierunku równej sterty papierów na półce za nim.

- Popatrz, popatrz - powiedział Beetle, próbując podnieść Jennę na duchu. - ***Wszystkie*** znowu są całe. Brakuje tylko jednego. To chyba nieźle, co? Założę się, że brakujący fragment to jeden z tych rysuneków łodzi, było ich mnóstwo. Istnieje spora szansa, że to nie było nic ważnego tylko jakieś bazgroły.

Jenna już miała powiedzieć, że dla niej wszystkie bazgroły Nicka są ważne, gdy Ephaniah położył przed nimi kolejną kartkę: ***Wzmocniłem wszystkie papiery, ale na przyszłość chciałbym je dla bezpieczeństwa oprawić. Mam wasze pozwolenie?***

Jenna pokiwała głową.

Oczy Skryby-Konserwatora pojaśniały - uwielbiał tę pracę. Z szuflady w stole wyjął dwa kawałki kartonu, obciążone materiałem w nowym, zaleconym przez Jillie Djinn,

lowym kolorze Skryptorium. Za pomocą dziurkacza zro-
| pięć dziurek wzdłuż krawędzi każdego z nich, po czym
niósł plik połączonych papierów i wsunął je pomiędzy
wałki kartonu. Wziął niebieską wstążkę i wprawnie połą-
I okładki, tak że notatki i szkice Nicka były bezpiecznie
rawione w grubą, liliową okładkę. Następnie jeszcze jed-
ym kawałkiem wstążki związał ze sobą rogi. Na koniec wy-
nął dużą pieczęć i huknął nią o materiał. Gdy ją uniósł,
okładce widniały złoto-czerwono słowa: KONSERWACJA
GWARANCJA- EPHANIAH GREBE.

Faldy białej tkaniny zmarszczyły się, jakby szczurze wąsy
pod nimi powędrowały w górę w uśmiechu. Skryba-Kon-
wator z dumą podał Jennie pięknie oprawione papiery.

Och... Dziękuję - szepnęła.

Teraz przynajmniej papiery Nicka znowu znalazły się
w (ej rękach. Poczowała ogromną ulgę. Pomyślała, że wszyst-
I będzie dobrze. Pójdzie zobaczyć się z Sepem, razem po-
patrzą na mapę i znajdą drogę do Domu Foryksów, a potem
tam pójdą i sprowadzą Nicka z powrotem. Wybiegając my-
śłami w przyszłość, zaczęła się zastanawiać, jak przekonać
Jillie Djinn, by dała Beetle'owi trochę wolnego, bo byłoby
wspaniale, gdyby i on mógł iść z nimi. Gdy układała sobie
w głowie, co powie pannie Djinn, jeśli ta nie zechce go pu-
ścić, głos chłopaka wyrwał ją z zamyślenia.

- Widziałas, czego brakuje? - spytał z obawą.

- Brakuje? - Jenna stanęła jak wryta.

- Tak. Dokument, którego nie dało się połączyć. Który
to był?

- A.

Otworzyła pięknie oprawioną książkę Grebe'a i zaczęła
przeglądać kartki, które teraz były czyste i mocne, bez

śladów **łączenia**, z wyraźnym tekstem, bez żadnych s
Skryba-Konserwator znakomicie wywiązał się z **zadania** .

Było tu wiele rzeczy, których wcześniej nie widz
wykazy zapasów prowiantu, ubrań, pokreślone pod
o dwa pozwolenia na podróż, liczne listy rzeczy do **z**
bienia, w tym kilka bardzo pilnych. Rozpoznawała też
które widziała już u **Marcellusa** na strychu: rysunki ł
schematy węzłów, lista zakupów na zimowym targu,
w które grali Nicko i Snorri. Nie brakowało żadnej k
oprócz **jednej**: mapy.

Jenna z rozpaczą popatrzyła na bałagan na **stole**.
napłynęły jej do oczu, gdy dotarł do niej fakt, że **kl**
do odnalezienia Nicka leżał przed nimi w tysiącu **ka**
ków. Na karteczce obok Ephaniah napisał równymi lite
mi: **Niekompletne**.

Teraz zobaczył jej minę i pospiesznie naskrobał:
wszystko stracone. Może da się przeprowadzić Szukanie braku
czego kawałka. Spytaj CN.

- Kto to jest CN? - spytała dziewczyna.

Skryba-Konserwator znów uniósł pióro, ale Beetle
uprzedził.

- Czarodziejka Nadzwyczajna. Tutaj posługujemy
skrótami. Na przykład NSH to Naczelna Skryba Herm
tyczna a **UOBI** to ja.

- UOBI? - powtórzyła Jenna.

- Urzędnik do spraw Obsługi Biura i Inspekcji.

- Aha. Dobrze, UOBI, pójdziesz ze mną do Marcii? Pros
Może nas posłucha, jeśli przyjdziemy we dwoje. - **Od**
ciła się do **Skryby-Konserwatora**. - Dziękuję, panie **Gre**
Dziękuję, że zwrócił mi pan rzeczy Nicka. - Mocno przy
snęła do siebie pięknie oprawioną książkę.

I phaniah skinął głową i wyjął kartkę, pokrytą schludnym memem, po czym wytwornym gestem podał ją dziewczynie. *Wizyty to dla mnie czysta przyjemność, Księżniczko. Będę zadowolony, jeśli ujrzę cię znowu i mam nadzieję, że w przyszłości czegoś przydam.*

Jenna uśmiechnęła się.

— Dziękuję, panie Grebe. Wkrótce wrócę tu z CN, a wtedy będzie mógł pan dokonać ostatniego Połączenia - połączyła z większą pewnością w głosie niż w duszy.

TERTIUS FUME



Jenna i Beetle opuścili jasno oświetlone terytorium Grebe'a i ruszyli w mrok piwnicy Skryptorium.

– Muszę sprawdzić, czy Krypta jest zabezpieczona i dokonać Zamknięcia. Nie potrwa to długo – stwierdził Beetle.

I Jenna chciała jak najszybciej pognać do Marcii, ale rozumiała, że Beetle ma obowiązki do spełnienia.

Możę iść z tobą i pomóc ci sprawdzić Kryptę, jeśli chcesz ■ proponowała.

Beetle chciał, i to bardzo.

Dobra. Tak. Świetnie - powiedział. Próbował ukryć oś, ale nieco z tym przesadził.

Nie chciałabym jednak przeszkadzać.

Nie! To znaczy nie, oczywiście nie będziesz przeszkadzać.

Jenna poszła za nim przez cuchnący stęchłąz, kręty feorytarz, wiodący w dół do Krypty, wydrążonej głęboko w skalnej podstawie Zamku, pod piwnicami. Gdy doszli do ostatniego zakrętu, dały się słyszeć głosy. W jednym z nich, głębokim, rezonującym, Beetle rozpoznał głos Ter-musa Fume'a. Zaskoczył go natomiast drugi głos. Chłopak przyłożył palec do ust i zaczął się poruszać bardzo cicho. Jenna posłała mu pytające spojrzenie.

- Kłopoty - szepnął niemal bezgłośnie w odpowiedzi. Wśliznął się do wnęki na szczycie stromych schodów. Dziewczyna poszła w jego ślady. Serce Beetle'a biło tak szybko, że z początku nie słyszał toczącej się rozmowy. Kilka razy głęboko odetchnął i się uspokoił.

- Kto to jest? - spytała Księżniczka.

Beetle zaryzykował i wyjrzał na chwilę. Zobaczył dokładnie tych, których się spodziewał. Na najniższym stopniu, na wpół ukryty w roztańczonych cieniach, rzucanych przez dwie świece, siedział nowy pracownik Jillie Djinn, wpatrzony uważnie w Ducha Krypty. Ich rozmowa niosła się po schodach, a głosy rozbrzmiewały głucho w pustym, ceglany przejściu.

- Oczywiście, że to trudne, chłopcze. - Echo słów T: sa Fume'a dotarło do dwojga podsłuchujących we W Głos wydawał się nawiedzony. - Dlatego zamieszczon na końcu książki. Powinieneś najpierw zrobić to, co wcześniej.

- Ale ja nie chciałem. Chciałem zrobić tylko to osta

- Praktyka czyni mistrza. Tylko głupiec podąża na s
- odparł Tertius.

- Ale zrobiłem wszystko, co było tam napisane. I p łało. Wywołałem nawet Stwora. Właściwie masę Stwor

- Masę? A co to znaczy?

- Mnóstwo. Ee... Dużo. Bardzo dużo.

- Dużo? Czyli ile?

- Nie wiem. Dwadzieścia, może więcej.

- Dwadzieścia Stworów? Doprawdy, ogromna jest twoj
głupota. Będą cię prześladować przez resztę życia.

- Nie będą. Zamknąłem je pod kluczem. Teraz mnie dopadną.

- Tak postąpiłeś? I myślisz, że puszczą to płazem, zobaczą cię jeszcze gdzieś następnym razem?

- Zawsze mówi pan do rymu?

- Czego chcesz, chłopcze? Znudziła mnie już ta poga wędka.

- Chciałem zapytać o ten numer z Zaprowadzaniem Mroku.

- Numer?

- Chodzi mi o Mroczny czar. Rzuciłem go na kogoś, chyba nie podziałał. Nic mu się jeszcze nie stało, a na pewno bym o tym usłyszał.

W głosie Tertiusa Fume'a dało się słyszeć rozbawienie i lekką drwinę.

■ **A** zatem próbowałeś Zaprowadzić Mrok w przeznacze-
■ drugiego, tak? - spytał. - Ale czemu taki młody wąż,
■ **ly**, chciał obrać tę Mroczną drogę, **hmm?** Kiedy byłem
■ **twoim** wieku, najpierw próbowałem szczęścia z zimnym
■ **szem**. To znacznie większa satysfakcja. - Duch zachicho-
■ **l** przywołując miłe wspomnienia.

Nowy skryba wydawał się zaskoczony.

Ac h. No, w sumie nie lubię noży - bąknął.

A, wolisz, żeby inni wykonali pracę za ciebie, tak? Posłu-
■ **się** drobnym podstępem, oszustwem, co? Widziałem już
■ **kich** jak ty. Chcesz pociągać za sznurki. Kierować mario-
■ **nkami**. Ale uprzedzam, gdy parasz się Mrokiem, możesz
■ **m** stać się marionetką.

Oj... - Głos chłopaka załamał się i gdyby **Beetle** odważył
zerknąć jeszcze raz, zobaczyłby, że tamten bawi się ner-
wo pierścieniem na swoim lewym kciuku. - **Ale** myślałem,
.. skoro to pan napisał tę **książkę**... a uważam, że to bardzo,
rdo dobra książka, właściwie najlepsza, jaką czytałem **!**...

Nie strzép sobie języka na pochlebstwa, chłopcze.
! Twoje zdanie o książce obchodzi mnie **tyle**, co zarobki dru-
■ **ciarza** - warknął Tertius **Fume**. - Po prostu powiedz, czego
■ **ode** mnie chcesz. No dalej, gadaj.

- Chciałbym, żeby pomógł mi pan w Zaprowadzaniu
Mroku. Bardzo.

- A czemu miałbym ci pomagać? Co będę z tego miał?

- Też mógłbym panu pomóc. Moglibyśmy współpracować.

Duch Krypty głośno **prychnął**.

- Ja... miałbym współpracować z tobą? Ja, pierwszy
w dziejach Naczelnny Skryba Hermetyczny, miałbym współ-
pracować z napuszonym półgłówkiem? Po co? Podaj mi choć
jeden dobry powód.

Na chwilę zapadła cisza, a potem Jenna i Beetle usłyszeli głośne i wyraźne słowa.

- Bo ja żyję, a pan jest martwy.

Beetle spojrział na Jennę i uniósł brwi. Ten Daniel miał tupet.

- Uważaj, chłopcze - warknął Tertius Fume. - Taki rzeczy można łatwo zmienić.

- Och. Ale ja nie miałem na myśli... - Głos chłopaka teraz piskliwy i przestraszony.

Duch Krypty zignorował go i mówił dalej.

- Jednakże prawdą jest, że brakuje mi niektórych możliwości żyjących. I choć nie powierzyłbym żadnego zadania takiemu cherlakowi jak ty, to mógłbym zaufać twojemu nadzwyczaj interesującemu towarzyszowi.

Beetle znowu uniósł brwi, jakby chciał spytać: „Jakie interesującemu towarzyszowi?”. Zaryzykował i na chwilę wyjrzał z wnęki, ale pośród cieni zobaczył tylko dwóch i ciemnowłosego chłopaka, nikogo więcej.

- Może go pan zabrać. - W głosie chłopaka pojawiła nutka ulgi. - Przyprawia mnie o dreszcze, kiedy tak wstępuje za mną łązi.

- Dobrze, Przenieś jego oddanie na mnie, a ja zajmę się Zaprowadzeniem Mroku.

- Pomoże mi pan?

- Zwykle dotrzymywałem słowa, nawet jeśli niektórzy mówią co innego - odparł Tertius Fume. - Ten, w którego przeznaczeniu ma zapanować Mrok, zostanie rzucony w Otchłań Niebezpieczeństw. Jak ci się to podoba?

- Bardzo! - wykrzyknął nowy skryba. - Naprawdę bardzo! To mu pokaże. Ten nadęty, lalusiowaty Septimus Heap pożałuje, że ukradł mi nazwisko.

Jenna i Beetle popatrzyli po sobie.

Beep! - jęknęli oboje, po czym zakryli sobie usta dłońmi.
późno.

Co to było? - Echo poniosło na schody podejrzliwe
nięcie Tertiusa.

Ale co?

Zdawało mi się, że słyszę... szczura. Albo szczury.
wyczajone na szczycie schodów. Idź zobaczyć, chłopcze.
Idź. Już.

Przerażony Beetle złapał Jennę za rękę i oboje rzucili się
ucieczki.

Nikogo tam nie ma - oznajmił Merrin, wróciwszy
swoje miejsce u stóp Tertiusa Fume'a.

Bardzo dobrze - odrzekł duch. - Zatem teraz musimy
wrzeć umowę, prawda?

Merrin niepewnie pokiwał głową. Nieoczekiwanie ogar-
nął go silny lęk.

Tertius Fume przeszył go spojrzeniem swoich ciemnych
oczu.

- Popatrz na mnie, chłopcze - rozkazał. - Popatrz... na...
mnie.

Niezdolny do oporu Merrin napotkał jego wzrok.

- Umowa - ciągnął duch - brzmi tak: Przeniesiesz odda-
nie swojego Stwora Służebnego po Wsze Czasy, w całym
Wszechświecie i w Nieznanym. W zamian ja sprawię,
że twe żalosne starania o Zaprowadzenie Mroku w prze-
znaczeniu niejakiego Septimusa Heapa odniosą skutek.
Zgadzasz się?

Z gardła Merrina dobył się jedynie słaby skrzek.

-Jak?

- Powiedz tylko „tak”, chłopcze. To nie takie skomplikowane - warknął Tertius Fume.

- Ale, eee, jak pan Zaprowadzi Mrok w jego przeznaczeniu?

- Śmiesz we mnie wątpić?

Merrin pokręcił głową, z przerażenia szeroko otwierając oczy.

- Jeśli kwestionujesz Umowę, muszę odpowiedzieć na pytanie, **choćby** było bardzo głupie - stwierdził Tertius Fume. Merrin wzdrygnął się, bo znowu uważano go za głupca. - Zaprowadzę Mrok w przeznaczeniu tego Heapa, wysyłając go na Wyprawę. Nikt nie wraca z Wyprawy. Nikt. Nie patrz na mnie jak idiota, chłopcze. - Duch westchnął. Na początku chłopak wydawał się obiecujący, ale okazywał się coraz większym rozczarowaniem. Pragnąc mieć pewność, że Umowa zachowa ważność, Tertius ciągnął: - Mroczna Magia działa najlepiej, kiedy nikt nie podejrzewa jej istnienia. Ci, którzy mogliby chcieć jej przeciwdziałać, nie mogą mieć takiej możliwości. - Nie zważając na zmieszane spojrzenie Merrina, mówił dalej: - Nikt nie będzie podejrzewał, że Wyprawa to Zaprowadzenie Mroku, bo przez wieki w drogę ruszyło mniej więcej dwudziestu innych Uczniów. Czy to rozwiało twoje wątpliwości przed Umową?

- Hmm... - mruknął Merrin.

- Oj, dajcie mi cierpliwość. Chcesz Zaprowadzić Mrok w przeznaczeniu tego Heapa czy nie? Tak czy nie?

- Tak.

- Dobrze. - Duch niecierpliwie zatarł ręce. - A teraz, jeśli Umowa ma obowiązywać, musisz dać swojemu Stworowi Służebnemu coś cennego w podziękę za jego służbę. Coś,

byłby nosił jako symbol Umowy. Może to być ten pierścionek na twoim kciuku, chociaż to tylko nędzna kopia.

Ale to... - Merrin urwał i stwierdził, że lepiej powiedzieć coś innego. - Nie chce zejść - powiedział niezbyt przekonująco.

Tertius Fume uśmiechnął się złośliwie.

Gdybym ciągle mógł władać nożem, toby zszedł. - Znajdź innego, chłopcze, zanim zechcę spróbować.

W panice Merrin przeszukał kieszenie i już był gotów oddać Szpiela, gdy niespodziewanie znalazł ostatniego lutniczego węża.

To! - wykrzyknął, triumfalnym gestem wyciągając węża z kieszeni.

* * *

Beetle i Jenna byli już niemal przy końcu długiego, krętego korytarza, wiodącego do Skryptorium, gdy dziewczyna zdała sobie sprawę, że czegoś brakuje.

- Szpilka od Nicka! - wykrzyknęła, aż się zachłystując. Nie ma jej!

Beetle zatrzymał się. W blasku świec zobaczył, że w oczach Księżniczki zbierają się łzy.

- Jak wyglądała? - spytał.

- Złota litera „J”. Nicko przyniósł ją z Portu. Zawsze nosiłam ją przy płaszczu... zawsze, a teraz jej nie ma.

- Miałaś ją w Krypcie. Pamiętam.

- Naprawdę?

- Tak, jestem pewien. - Beetle już wcześniej zauważył, że Jenna co jakiś czas sprawdza, czy ma szpilkę, i zastanawiał się, od kogo ją dostała. - Zaczekaj tutaj. Pójdę po nią.

- Ale ten **duch**...

- Będę bardzo cicho. Nie zorientuje się. Zaraz wr
Jenna oparła się o chłodną, ceglana ścianę ko
i nasłuchiwała kroków Beetle'a, wracającego w kier
Krypty. Jego bliskość podnosiła ją na duchu, ale **t**
rozświetlony blaskiem świec korytarz i roztańczone ci
na ścianach budziły w niej lęk, więc mocniej przyt
Ullra, by dodać sobie odwagi. **Ullr** miauknął z niezad
leniem i poczuła przechodzący przez kocie ciało dres
Nagle wyrwał się z jej uścisku i ciężko wylądował na
łodze przed nią. Przez krótką chwilę Jenna miała stra
przecucie, że zwierzak pogna za **Beetlem** i zdradzi
obecność. A potem zrozumiała, co się dzieje. Słońce **zas**
Ullr przechodził transformację.

Choć już wiele razy widziała, jak kot ulega **przemi**
proces ten wciąż ją fascynował. Z podziwem patrzyła, j
czarny koniuszek kociego ogona zaczyna się rozrastać. **W**
działa, jak marszczy się sierść, gdy mięśnie pod skórą **sti**
wały się grubsze i twardsze. Kot rósł coraz szybciej, **a cze**
z ogona rozprzestrzeniała się na całe jego ciało niczym ci
zaćmienia, ogarniający ziemię, przemieniając potargan
rudą sierść w gładkie, lśniące, czarne futro. Na koniec ni
bieskie oczy kota nabrały barwy błyszczącej zieleni. W **ci**
gu czterdziestu dziewięciu sekund Dzienny **Ullr** stał s
Nocnym **Ullrem** i Jenna miała teraz do towarzystwa cz
panterę z rudym koniuszkiem ogona.

Beetle znalazł szpilkę Jenny we wnęce. Podniósł ją z z
dowoleniem. Gdy miał już pognać z powrotem do Księż
niczki, po schodach rozniosło się echo złowieszczonego **śmi**
chu Tertiusa Fume'a. Chłopak zamarł.

Widzę, że podzielasz moje dawne zamiłowanie do lu-
ji - dobiegł go głos ducha.

„O czym on mówi?”, zastanawiał się Beetle. Zaciekawio-
, ociągał się przez chwilę.

Co to jest? - spytał Tertius Fume szyderczym tonem.

Wąż. Mój ostatni. - Chłopak wydawał się dotknięty.

Beetle nie mógł się powstrzymać i wyjrzał jeszcze raz.

»wy skryba próbował niezdarnie związać węża w kółko.

Widzi pan - powiedział z nutką paniki w głosie.

■ Umiem go zmniejszyć. Umiem. Wtedy można będzie
| niego zrobić pierścień. Bardzo ładny. - Beetle zobaczył,

| tamten zamyka oczy, i domyślił się, że wypowiada

zaklęcie Kurczenia. Ku jego zaskoczeniu, najwyraźniej za-

działało. Wąż zniknął w obłoczku czarnego dymu i chłopak
wyciągnął rękę, pokazując coś Tertiusowi.

Niech będzie - orzekł duch. - Daj pierścień Stworowi
I możemy kontynuować.

Beetle nie odważył się zostać. Jenna i tak zbyt długo była
■ sama. Popędził z powrotem krętym korytarzem. Gdy zbli-
żał się do końca, serce mocniej zabiło mu ze strachu. W mro-
ku, gdzie zostawił Jennę, połyskiwała para zielonych oczu.

- Jenna? - szepnął, bojąc się myśleć, co się mogło stać.
Jenna?

Księżniczka wyłoniła się z cienia pod ścianą.

- Znalazłeś? - spytała z napięciem.

- Ćśśś - syknął Beetle. - Nie ruszaj się.

- Dlaczego? Oj, Beetle, nie było jej tam?

- Po prostu... się nie ruszaj. Dobrze?

Jenna zamarła. Coś było nie tak. Patrzyła, jak chłopak
bezwzględnie skrada się wzdłuż ściany, kryjąc się w cieniu.

Z gardła Ullra dobył się niski warkot.

- Ullr, ćśśś - szepnęła.

Beetle skoczył.

Ullr warknął.

- Nie! Stój! Beetle, to tylko Ullr. Ullr, puszczaj! - Rozl
się odgłos dartego materiału, gdy chłopak wyrywał rękaw spomiędzy zębów zwierzęcia. Jenna odciągnęła U
la. Pantera gniewnie patrzyła na Beetle'a. Nie lubiła,
po niej skakano. To ona była od skakania.

- Ullr? - zdumiał się chłopak.

- Tak. Wiesz, że był kotem Snorri? Umie dokonyw
Transformacji.

- Naprawdę? - spytał słabo Beetle. - No, no...

- Beetle, eee, czy...

Chłopak otrząsnął się z dojmującego strachu, że Je
spotkało coś złego. Rozwarł palce, pokazując małe, zł
„J”, które trzymał w dłoni.

- Och, Beetle! - Jenna wzięła szpilkę i wpięła ją w płas
- Dziękuję! - Zarzuciła mu ręce na szyję.

Uśmiechnął się. Za coś takiego warto było walczyć ch
by i z setką panter.

Na dole, przy Krypcie, Stwór nie zareagował z podobn
entuzjazmem. Patrzył z pogardą na lukrecjowy pierścień. „
tandeta”, pomyślał i głośno westchnął. Niestety, nie m
liczyć na nic więcej. Jednak w sumie sprawy nie przedstawi
się najgorzej. Nowy pan wyglądał obiecująco. Stwór z odr
jakby podnosił nadzwyczaj obrzydliwego owada, włożył pie
ścień na lewy kciuk. Umowa została ostatecznie zawarta.

ZWOLNIENIE



Beetle, Jenna i Nocny Ullr przeszli przez drzwi ukryte w regałach z książkami do pograżonego w półmroku Skryptorium, oświetlanego jedynie blaskiem owiewanych wiatrem pochodni na Drodze Czardziejów. Płomienie rzucały czerwone, tańczące rozbłyski na szklane drzwi w przepierzeniu.

- Ten chłopak - odezwała się Jenna, podążając za Bee między wysokimi rzędami ciemnych, pustych pulpitów.

- Zdaje się, że wiem, kto to.

- Tak - odparł ponuro Beetle. - To nowy skryba. Panna Djinn ma nie po kolei w głowie, skoro zatrudnia kogoś takiego. Myślisz, że by zrozumiała...

- Co zrozumiała, Beetle? - rozległ się w ciemności głos Jillie Djinn.

- Ach! - krzyknął chłopak, wciąż nerwowo po zdarzeniu z Ullrem. - Co... gdzie?

- Tutaj - odparła Jillie Djinn gdzieś nad nimi. Beetle niósł głowę i z przerażeniem stwierdził, że kobieta siedzi na miejscu Partridge'a i patrzy na plik papierów przez swą małą, podświetlaną szkloną powiększającą. Spojrzała na własnego i Jennę, nie zauważając w mroku Nocnego Ullre'a. Zgromiła ich wzrokiem. - Byłam zajęta kontrolowaniem prac pana Partridge'a, który od trzech dni nie spełnia wszystkich wymogów. Sprawdziałam jego obliczenia średniej ilości papieru, zmarnowanego przez pracujących krócej niż rok skrybów w ciągu ostatnich trzech lat i trzech kwartałów - poinformowała. - Zaczęłam dochodzić do wniosku, że kalkule nie spełniają standardów dokładności, których wymagam moich skrybów, a teraz nie dość, że słyszę, jak bezczelnie dyktuje się o mojej głowie z osobą z zewnątrz, to jeszcze.

- Jenna nie jest osobą...

- Nie przerywaj. Niezależnie od tego, jak ważną osobą jest Księżniczka Jenna, nie pracuje w Skryptorium, ergo jest osobą z zewnątrz. A ty, Beetle, właśnie przeprowadziłaś osobę z zewnątrz przez przejście tylko dla upoważnionych.

- Ale ja...

Jillie Djinn nie przerywała swojej tyrady.

DNIENIE

Malo tego, z wyżej wymienioną osobą z zewnątrz roz-
awiałeś o poufnych sprawach Skryptorium, a także obrazi-
i swoją Naczelną Skrybę Hermetyczną, której przysięgłeś
awazze okazywać szacunek. Złamałeś trzy zasady Skrypto-
i m n których pod przysięgą zobowiązałeś się przestrzegać.

Ale...

Nie przerywaj. Nie skończyłam. Poza tym nie umknęło
i uwadze, że nie zadbałeś, jak należy, o sanki inspekcyjne.

Beetle'owi wyrwał się cichy jęk.

Mój nowy skryba, Daniel Łowca, powiadomił mnie
II rozmowie między tobą a panem Foxem, którą podsłuchał.
Ile zrozumiałam, dwa dni temu bez pozwolenia zabrałeś
Foxa do Lodowych Tuneli, by odzyskać sanki, których nie
i zabezpieczyłeś we właściwy sposób. Wiem też, że pan Fox
i spędził resztę dnia w sali chorych po napotkaniu Lodowej
Zławy, a zatem tego popołudnia musieliśmy znowu radzić
Ibie bez jednego skryby. Czy mam rację?

Beetle załośnie pokiwał głową.

Odpowiedz!

Tak. Ma pani rację - mruknął. Jenna posłała mu współ-
fetujące spojrzenie, ale chłopak, wpatrujący się posępnie
W swoje buty, w ogóle tego nie zauważył.

Niestety, Jillie Djinn jeszcze nie skończyła.

Normalnie po pisemnych przeprosinach i zobowiązaniu
nie do przestrzegania obowiązujących przepisów w każdej
ytuacji, byłabym gotowa przymknąć oko na takie niegodne
zachowanie.

Beetle zerknął na przełożoną, ale patrzyła na niego jak
I n powietrze. Nawet w czerwonym blasku pochodni, wpada-
jącym przez okno, wyglądał blado. Wiedział, że zaraz usłyszy
„ale”. Wielkie „ale”.

- Ale - powiedziała Jillie Djinn – nie mogę patrzeć palce, kiedy mój Inspektor uczestniczy w zмовie w celu blokowania włazu. A potem, o ile rozumiem, wchodzi w właz do strefy zakazanej.

Beetle poczuł mdłności. Jillie Djinn się dowiedziała, jak się spodziewał.

Popatrzyła na niego ze swojego podwyższenia. Najniej nie miała ochoty zejść z pulpitu. „Może dlatego”, porśłała Jenna, „że Beetle jest od niej o dobre dziesięć centarów wyższy”. Ale w tamtej chwili czuł się zupełnie malutki. Chciał się tylko skulić i zniknąć gdzieś na bardzo długo.

- Beetle. - Kobieta wyprostowała się i przyjęła ton dziego, wydającego nadzwyczaj surowy wyrok. - Informujemy że niniejszym kończę okres twojego zatrudnienia w Skryptorium ze skutkiem natychmiastowym. Twoja umowa została spalona. Masz stąd wyjść i zabrać wszystkie rzeczy osobiste.

Zarówno Jenna, jak i Beetle aż się zachłysłni.

- Co?

- Zwalniam cię - wyjaśniła Jillie Djinn, która potrafi wyrażać się zwięźle, jeśli chciała.

- Nie może pani tego zrobić! - zaprotestowała Jenna. Beetle znakomicie się tu sprawdza. Bez niego Skryptorium nie mogłoby funkcjonować. Wyrzucanie go to wariactwo. Jest najlepszym pracownikiem. - Urwała, zbyt późno zdając sobie sprawę, co właściwie powiedziała.

- To nie twoja sprawa, Księżniczko Jenno - odparła chłć kobieta. - Będę prowadziła Skryptorium tak, jak uznaję za słowne i nikt nie będzie narzucał mi swojej woli. Nawet ty.

Beetle nie mógł wydobyć z siebie głosu. Górujące nad nim kształty pulpitu zdawały się szyderczo tańczyć dookoła, gdy próbował przyjąć do wiadomości to, co właśnie usłyszał.

Wzięła go pod ramię i poprowadziła do pomieszczenia wejściu.

Nic martw się - szepnęła. - Nie mówi poważnie. Nie-
liwie, żeby mówiła poważnie.

Ale Beetle wiedział lepiej. Wiedział, że gdy Jillie Djinn
Coś się uprze, to już koniec - nic tego nie zmieni.

Gdy Jenna otworzyła drzwi, po pustym Skryptorium po-
I się echem głos Jillie Djinn.

Masz pięć minut na posprzątanie biurka.

Polem Naczelną Skryba Hermetyczna nie wyrzekła już
I słowa, zobaczyła bowiem Nocnego Ullra, kroczącego
ład za Jenną. Dzikie zwierzęta budziły w niej grozę. Ani
drgnęła, pozostając przy pulpicie Partridge'a jeszcze długo
po północy, aż w końcu zebrała się na odwagę i pognała
po schodach na górę, do swojej bezpiecznej komnaty.

Jenna wepchnęła Beetle'a, który szedł krokiem lunatyka,
do pomieszczenia od frontu, po czym ze złością zatrzęsnęła
drzwi. Wystarczyło jedno spojrzenie na chłopaka, by wie-
dzieć, że o sprzątaniu biurka nie było mowy. Beetle tylko stał
I rozglądał się dookoła, patrząc na wszystko, co tak uwiel-
biał: stopy papierów i ksiąg pod oknem, swoje biurko, obro-
towe krzesło, niedokończoną kanapkę z kiełbasą, którą tego
ranka kupił mu Foxy, a nawet na drzwi do Składu Strasznych
Ksiąg. Gapił się na swoje otoczenie, wiedząc, że już więcej
nie zobaczy go z takiej perspektywy. Nawet gdyby kiedyś od-
ważył się zapuścić do Skryptorium - a sądził, że się odważy
- nic nie będzie już takie samo. Wszystkim będzie się zaj-
mował inny urzędnik, siedzący przy jego biurku i zjadający
kanapki z kiełbasą, kupione przez Foxy'ego.

- Chcesz zabrać coś ze sobą? - spytała Jenna.

Pokręcił głową.

Jenna popatrzyła na jego biurko, które zdążył już rządować przed końcem dnia pracy. Jego regulamin pióro Skryptorium stało w stojaku wraz z innymi, codziennymi piórami.

- Wezmę twoje pióro. Na pewno nie chcesz go **zosta**

Beetle jednak nie zamierzał zabierać nic, co przypominałoby mu obecne czasy.

- Foxy - wychrypiał. - Daj je Foxy'emu

- Dobra.

Jenna szybko napisała krótki liścik do Foxy'ego, znalazła kawałek sznurka do związki zakłęk i przymocowała liścik do pióra. Było to piękne, onyksowe pióro, **inkru**stowane nefrytem. Przy bliższych oględzinach okazało się, że ozdobna inkrustacja układa się w litery: BEETLE. Jenna położyła je na biurku z nadzieją, że Foxy zauważy s~ imię, wypisane na zewnętrznej stronie karteczki zamkniętym piórem, na które tak narzekał jej nauczyciel kaligrafii.

Jenna łagodnie złapała Beetle'a za łokieć i poprowadziła go ku drzwiom. Mocno pociągnęła za klamkę i drzwi otworzyły się z donośnym „dzy-dzyń”. Na zewnątrz wiał wiatr a zimny deszcz siekł okiennice. Wieczór był przygnębiająco ciemny, mroku niemal zupełnie nie rozpraszał blask **pod**świetlenia, niektóre z nich zresztą zgasty. Podmuch cisnął do Skryptorium naręcze śmieci i liście, które zawirowały wokół nóg. Beetle stał bez ruchu na progu, aż Jenna wzięła go za łokieć i wyszła na zewnątrz, ciągnąc go za sobą.

Za nimi drzwi zamknęły się z głośnym trzaskiem.

PROJEKCJA

U krańca Drogi Czaro-
rodziejów, ostatnie
po godzinie, umieszco-
ne wysoko na srebrnych
tożakach, walczyły, by
nie zgasnąć na wietrze.
Ich płomienie łopotały
niczym mokre szmaty
podczas burzy.



- Chodź, Beetle, musisz to
pokonać! - krzyknęła Jenna
ponad wyciem wichury,
gdy zbliżyli się do Wiel-
kiego Łuku. - Nie może



cię tak po prostu wywalić. Poczekaj. Kiedy Marcia o usłyszysz, Jillie Djinn nie będzie miała szans.

Beetle nie miał dość energii, by odpowiedzieć. Jenna wprowadziła go pod Łukiem na dziedziniec, **my** tylko o tym, jak przekazać wieść swojej matce, która **czę** mówiła każdemu, kto chciał słuchać, że najbardziej du w całym swoim życiu była wtedy, gdy **Beetle** zdał egzamin wstępny do Skryptorium. Nigdy natomiast nie **wspominała** o fakcie, że to tygodniowa płaca syna - srebrne pół **korony** - pozwala im opłacić czynsz za małe izby w **Gmaszysku**. **Ń** nie narzekać na brak ziemniaków oraz ryb.

Dziedziniec Wieży Czarodziejów był osłonięty od **wiatru** a światło pochodni, zamocowanych do ścian, trwało **jasne** i nieruchome. Jenna miała wrażenie, że dziedziniec **wygląda** niezwykle czysto - zniknęły paskudne niespodzianki, a **na** wet poczucie śliskości pod stopami. Gdy wraz z **Beetlem** **po-** deszła do wielkich schodów z białego marmuru, **wiodących** do Wieży Czarodziejów, pojawiła się przyczyna tego **nagle** go ataku higieny, niosąca łopatę i bardzo duże wiadro.

- **Hildegarda!** - wykrzyknęła zaskoczona **Księżniczka**
- Co ty tu robisz? Myślałam, że masz wolne.

Hildegarda przeciągnęła brudną dłońią po czole, **przysta-** nęła i oparła się o łopatę.

- **Chciałabym...** - odparła

Jenna zauważyła, że niebieskie szaty Podczarodziejki są przemoczone i uwalane błotem - albo czymś gorszym - a **je** krótkie, kasztanowe włosy przypominają ptasie gniazdo.

- Pewnie nie na taką pracę w Wieży liczyłaś - **powiedzia-** **ła** ze współczuciem w głosie.

- Zgadza się - odrzekła Hildegarda, a po chwili, zdając sobie sprawę, że odpowiedziała nieco zbyt lakonicznie, **do-**

|l Ale oczywiście cieszę się, że mogę się przydać, kiedy
tleń nie może opiekować się swoim smokiem i...

I dlaczego? Co się stało? - przerwała jej Jenna z niepo-
m. - Czy Sep jest chory? Miał wypadek?

O, nie ma się czym martwić, Księżniczko Jenno. Do-
muje swojej pierwszej Projekcji. To trudne i nie wolno
■ przeszkadzać, dopóki nie skończy. Niedługo Projekcja
legnie końca i wtedy wszyscy się dowiemy, co to było.
z pewnością dobrze mu idzie, bo jak dotąd nikt nie
dł, co to takiego. - W głosie Hildegardy pojawiła się
tka dezaprobaty. - Niektórzy starsi Czarodzieje zawierali
lady.

No to całe szczęście. - Jenna westchnęła. - Przez chwi-
myślałam, że przyszliśmy za późno.

Za późno? Nie, zdaje się, że do końca zostało mu jesz-
tę parę minut.

Do końca?

Do końca Projekcji. Radzę spróbować w Wielkim Holu.
Mam wrażenie, że nie wszystko gra w kredensie na stare
■ kłęcia. - Hildegarda mrugnęła porozumiewawczo. - Prze-
praszam na chwilę, muszę odnieść te rzeczy, a potem do was
dołączę. - Oddaliła się spieszonym krokiem.

Jenna i Beetle wspięli się po schodach do masywnych,
srebrnych drzwi, stanowiących wejście do Wieży Czar-
odziejów. Jenna półgłosem wypowiedziała hasło i drzwi
bezglśnie się otworzyły. Gdy weszli do Wielkiego Holu,
po podłodze przebiegły wielobarwne litery, układające
się w słowa WITAJ, KSIĘŻNICZKO. Uwadze Beetle'a nie
umknął fakt, że zabrakło witającego go napisu WITAJ, IN-
SPEKTORZE, który w przeszłości się pojawiał. Zastanawiał
się, jak to możliwe, że Wieża Czarodziejów już o wszyst-

kim wie. Poczuli się jeszcze gorzej, o ile to w ogóle mogli. W pewnym sensie sprawa stała się oficjalna.

W Wielkim Holu panował gwar i atmosfera oczekiwań. Grupa Czarodziejów krążyła po pomieszczeniu. Niektórzy mieli kawałki różowego papieru, inni gawędzili albo chodzili z kąta w kąt, udając, że do Wielkiego Holu sprowadziła jakaś ważna sprawa. Jenna nigdy nie widziała tylu Czarodziejów w jednym miejscu. Była to barwna scena: niebieskie Czarodziejów Zwyczajnych na de jasnych, ruchomych obrazach na ścianach, ukazujących ważne wydarzenia z historii Wi

Jenna jak zwykle czuła się nieco przytłoczona Wieżą rodziejów. Chociaż jako Księżniczka zawsze była tu widziana, a nawet znała hasło, ta dziwna budowla budziła w niej lęk. Jenna miała wrażenie, że ma do czynienia z żywą istotą. Obrazy na ścianach to jaśniały, to ciemniały, jakby Wieża oddychała. Wdech, wydech, wdech, wydech, jaśniej, ciemniej, jaśniej, ciemniej. Drażniąca woń kadzideł i dymu z zapach Magii, starych i nowych zaklęć dawało jej poczucie, które wprawiało ją w niepokoje. Księżniczka chciała rozpytać wszystko, co działo się w Zamku, i nie podobało jej się, że nie umie pojąć, co właściwie robią Czarodzieje. Raz spacerowała z Marcii, czym zajmuje się przez cały dzień, i choć odpowiedź wydawała się bardzo treściwa, później nie pamiętała z nią ani słowa. Przyszło jej nawet na myśl, że Marcia rzuciła na nią zaklęcie Zapomnienia, ale gdy wspomniała o tym Septimusowi, ten się roześmiał i stwierdził, że sam nigdy nie pamięta, co mówiła Czarodziejka. Tak czy owak, Jenna zaczynała rozumieć stare powiedzonko, powtarzane w Zamku:

„Królowa i Czarodziej nie wiedzą, co zgoda.
Gdzie on widzi ogień, tam dla niej jest woda”.

Jej rozmyślania przerwał nagły szmer, który rozległ się wśród zgromadzonych Czarodziejów. W odległym końcu Ickiego Holu, tam, gdzie spiralne schody wyłaniały się z poziomu, Jenna ujrzała charakterystyczne, fioletowe buty wężowej skóry, należące do Marcii Overstrand. Aby dodać do tego pojawieniu się dramatyzmu, Marcia przełączyła schody w powolny tryb nocny. Z doświadczenia wiedziała, że dość szybkie obroty trybu dziennego mogą wywołać wśród zebranych Czarodziejów wybuch wesołości. A zatem, zupełnie jakby zstępowała z niebios, powoli zjeżdżała przez Wielki Hol, aż znalazła się na podłodze. Zeskoczyła i chodów i klasnęła w dłonie, by wszyscy umilkli.

- Rozniosła się wieść, że mój Uczeń, Septimus Heap, zakończy wkrótce swoją pierwszą Projekcję - oznajmiła. Rozległy się podniecone głosy. - Nie do końca podoba mi się to zamieszanie - ciągnęła. - Szczerze mówiąc, liczyłam, że macie lepsze rzeczy do roboty. Ale niestety, takie spotkania Czarodziejów należą już do tradycji. Pamiętam nawet, że swego czasu mnie spotkało to samo. Przypuszczam, że skoro się tu zgromadziliście, podejrzewacie, że Projekcja została umieszczona właśnie gdzieś tutaj.

Podniósł się ogólny gwar, a jakiś odważny Czarodziej wykrzyknął: - Udziel nam odpowiedzi, Nadzwyczajna!

- Wiem tyle samo, co wy - odparła. - Mój uczeń sam dokonał wyboru Projekcji. Nie poinformował mnie o swojej decyzji.

Wybuchł rozgardiasz, gdy Czarodzieje zaczęli dzielić się swoimi teoriami na temat wyboru Septimusa. Marcia podniosła głos.

- Jednakże... Przepraszam, czy mogę prosić o ciszę? Już? Dziękuję. W kilku kwestiach muszę być stanowcza.

Po pierwsze: dopóki Projekcja nie dobiegnie końca, nie wołujcie, proszę, większego zamieszania, niż to koniec. Po drugie: jeśli po zakończeniu Projekcji nie będzie już co to było, nie chcę widzieć tabunów, biegających po Wł w poszukiwaniu odpowiedzi. Jeśli do tej pory nie złuczycie Projekcji, trudno, żebyście ją zauważyli, kiedy zniknie, prawda?

Tłum posłusznie pokiwał głowami.

- I po trzecie: absolutnie żadnych zakładów.

Wśród Czarodziejów poniósł się stłumiony jęk. Kawał różowego papieru, które wcześniej zauważyła Jenna, sko powędrowały do głębokich kieszeni.

- Zaczynam odliczanie do końca Projekcji. Pięć... cztery... trzy...

Z kredensu na stare zakłęcia rozległ się głośny trzask i chwilę później ze schowka wyłonił się Catchpole, ścigany przez dużego, klekoczącego kosza na śmieci. Kosz ganiał nieszczęśliwego Catchpole'a po Wielkim Holu, ku ogromnemu rozbawieniu widzów. Marcia patrzyła z niedowierzaniem. Jeśli to była Projekcja, jeszcze nigdy takiej nie widziała. Miała materiał kształt i wydawała dźwięki, co dotąd wydawało jej się niemożliwe. Gdy była młodą Uczennicą, raz udało jej się wywołać ciche beczenie stadka tańczących owiec, których Projekcji dokonano w ramach żartu na urodziny Althera. Ten jednak miał już wtedy kłopoty ze słuchem i nawet tego nie usłyszał.

- Dlaczego tak się boi starego kosza na śmieci? - zawała Jenna do Beetle'a, przekrzykując chór podnieconych komentarzy.

- Przypuszczam, że Sep wymyślił podwójny blef - odpowiedział chłopak.

- Co takiego?

My widzimy kosz na śmieci. Catchpole widzi coś innego.
Na przykład co?

Pewnie coś, co budzi w nim największy lęk. To zwykle je egzamin. I oznacza, że Sep nie musiał decydować, Catchpole ma zobaczyć. Sam Catchpole zrobił to za niego. Jenna posłała mu pełne podziwu spojrzenie. Skąd on to wszystko wiedział? Beetle zauważył, że na niego patrzy, poczerwieniał.

Catchpole, ścigany - jak sądził - przez swojego dawnego Mfa, czyli Łowcę, wpadł z powrotem do kredensu i zatrzymał drzwi, pozostawiając kosz na zewnątrz. Kosz/Łowca wsunął nóżki, wyprostował pokrywę, złożył małe, włochate ręce i usadowił się przed drzwiami. Po chwili wyglądał już jak każdy normalny kosz na śmieci z rączkami do przenoszenia.

Pośród podniecenia nikt nie zauważył, że schody przyspieszyły nagle do nadzwyczaj wysokiej prędkości awaryjnej i zjechały nimi jakaś zielona plama. Kilka sekund później Septimus, nadzwyczaj punktualny, zeskoczył ze schodów i zatrzymał się przed Marcją. Wokół jego stóp tańczyły słowa UCZNIU, GRACJACJE Z OKAZJI UDANEJ PIERWSZEJ PROJEKCJI.

Przywitał go wybuch aplauzu. Septimus uśmiechnął się radośnie. Ręką wskazał kosz i pstryknął palcami. Pośród okrzyków zachwyty kosz zniknął z hukiem w obłoku zielonego dymu.

Marcia nie była zachwycona.

- To niepotrzebne. Nie urządzamy tu jakiegoś tandetnego Magicznego przedstawienia. To poważna sprawa.

Nawet nie wiedziała, jak prawdziwe wymówiła słowa. W tym momencie drzwi Wieży Czarodziejów otworzyły się na oścież i ukazała się w nich sylwetka Tertiusa Fume'a na tle oślepiającego światła błyskawicy.